ZNAK

MIESIĘCZNIK

49

KRAKÓW

ROK X LIPIEC (7) 1958

REDAGUJE ZESPÓŁ

Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefan Swieżawski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zawieyski.

Redaktor Naczelny: **Jacek Woźniakowski**

Sekretarz Redakcji: **Stefan Wilkanowicz**

Adres redakcji: Kraków, Sławkowska 32, I p. tel. 556-21

Redakcja przyjmuje: we wtorki i piątki, godz. 11—14.

Adres administracji: Kraków, Wiślna 12, I p. tel. 213-72.

Administracja przyjmuje codzień, od godz. 9—13.

PRENUMERATA

	w kraju	zagranicą
Cena pojedyńczego zeszytu	10.— zł	14.— zł
Prenumerata kwartalna (za 3 n-ry)	30.— zł	42.— zł
Prenumerata roczna (za 12 n-rów)	120.— zł	168.— zł

Prenumeratę krajową należy wpłacać na konto administracji PKO Kraków Nr 4-9-831
lub na konto „Ruchu", Kraków, Worcella 6, PKO 4-6-777.

Wpłaty przyjmują również urzędy pocztowe i listonosze.

Prenumeratę zagraniczną należy wpłacać na konto PKWZ „Ruch" Warszawa, ul. Wilcza 46 — PKO 1-6-100024
lub na konto administracji PKO Kraków Nr. 4-9-831.

Maszynopis otrzymano 9. VI. 1958. Druk ukończono w lipcu 1958
Format A5 Papier druk. sat. V kl. 61×86 60 g. Ark. druk. 8,5
Zam. 241, 9. VI. 1958. Nakład 7000+200 egz. S-41

Krakowskie Zakłady Graficzne, Zakład 7, Kazim. Wielkiego 95

ZNAK ROK X — Nr 49 (7)
MIESIĘCZNIK LIPIEC 1958
KRAKÓW

Trzeba wyjść z siebie żeby siebie zrozumieć i lepiej stać się sobą — czyli, mówiąc mniej koturnowo, trzeba się porównać z innymi aby odkryć własną mądrość i głupotę. Nie jest tajemnicą, że niezbyt lubimy zajmować się w odpowiedzialny sposób tymi zagadnieniami i dość często — kierując myśl ku sprawom zagranicznym — wpadamy w gromowładną frazeologię, narodową mitologię albo — dla kontrastu — w tępe uwielbienie wszystkiego co cudze.

Oddając do rąk czytelników numer poświęcony zawiłym sprawom współczesności i państwu, które w nich niewątpliwie ważną odgrywa rolę, pragniemy się trochę przyczynić do uniknięcia wyżej wymienionych postaw i do zrozumienia świata, w którym — chcąc nie chcąc — żyjemy i za który jakąś cząstkę odpowiedzialności ponosimy.

ADAM KRZYŻANOWSKI

ROZPAD KOALICJI ANTYNIEMIECKIEJ

Churchill w r. 1936 zasiadał w parlamencie. Był członkiem większości konserwatywnej sprawującej rządy. Nie piastował teki ministerialnej. Wyrażał się krytycznie o polityce zagranicznej i wojskowej rządu. Zarzucał, że nie docenia wielkości zbrojeń niemieckich, zwłaszcza lotniczych, niebezpieczeństwa wszczęcia wojny przez Hitlera. Domagał się budowania przez Anglię potężnej floty powietrznej, tworzenia koalicji antyniemieckiej — z udziałem Rosji i Francji — którą chrzcił mianem „wielkiej koalicji" *(great alliance).* Hitler wtargnął do Rosji radzieckiej 22 czerwca 1941 r. Churchill pełnił wówczas obowiązki premiera. Zyskał stanowisko umożliwiające mu odegranie pierwszorzędnej roli w ziszczeniu programu, który głosił wytrwale i konsekwentnie od lat kilku. W 24 godziny po wybuchu wojny złożył Stalinowi ofertę zawarcia przymierza. Zostało ono sfinalizowane 13 lipca tego roku. Dwójka sprzymierzeńców rozrosła się wkrótce w trójkę (na skutek przystąpienia Stanów Zjednoczonych do walki z Niemcami), nazywanej powszechnie „Wielką Trójką".

Solidarność sprzymierzeńców stanowiła ważki współczynnik odniesienia przez nich zwycięstwa. W czasie wojny oczywiste walory wspólnego przeciwstawienia się wspólnemu wrogowi usuwały w cień sprzeczności interesów, dzielące sprzymierzeńców. Przytłumione w czasie wojny odżyły od razu w chwili jej wygasania.

Okazało się, że są znaczne, żywotne, bo godzące w byt państw. Podanie ich do publicznej wiadomości zaostrzało antagonizmy stąd się wywodzące.

Rozpad koalicji antyniemieckiej uzewnętrzniał się długą przerwą w zjazdach naczelników sprzymierzonych rządów, zwanych konfeferencjami na najwyższym szczeblu. Wielka Trójka w osobach Stalina, szefa Rosji radzieckiej, Roosevelta i Churchilla, przywódców państw anglosaskich, zjechała się po raz pierwszy w Teheranie z końcem listopada 1943 r., po raz drugi w Jałcie na Krymie z końcem stycznia 1945 r. Na ten rok przypada jeszcze jedna konferencja

na najwyższym szczeblu. Zebrała się w lipcu w Poczdamie. W międzyczasie Roosevelt umarł. Delegacji amerykańskiej przewodniczył jego następca, Truman. Zjazd jałtański był szczytem solidarności sprzymierzeńców. Kończył się w atmosferze bliskiej, bezwarunkowej kapitulacji Niemiec, sprzyjającej rozłamowi, który wystąpił na jaw w Poczdamie, a jaskrawo uwidocznił się *urbi et orbi* w fakcie dojścia do skutku następnego, czwartego zjazdu dopiero po dziesięciu latach. Ukończenie wojny koreańsko-indochińskiej w roku poprzedzającym zjazd (1954) oraz zgodne wycofanie wojsk okupacyjnych z Austrii w maju tegoż roku uzasadniało przewidywania, rozbudzało nadzieje, że najbliższy zjazd na najwyższym szczeblu doprowadzi do dalszego złagodzenia konfliktów między Wschodem a Zachodem. Zjazd doszedł do skutku w Genewie w lipcu 1955 r. Wywołał rezultaty, wręcz przeciwne oczekiwaniom. Scysja w sprawie zjednoczenia Niemiec spotęgowała wyścig zbrojeń.

Koalicja antyniemiecka rozpadła się na dwa bloki państw. Rosji radzieckiej przypadła rola przewodnia w bloku wschodnim, w zachodnim Stanom Zjednoczonym. Zrodzony z wojny nowy układ sił politycznych wyraził się antagonizmem Waszyngton-Moskwa. Ścierały się dążenia do łagodzenia i pogłębiania antagonizmów. Zdołano część sporów załatwić polubownie. Wycofanie wszystkich wojsk okupacyjnych jednego i drugiego bloku (z Persji w r. 1946, z Austrii w r. 1954) doszło do skutku na zasadzie porozumienia się sprzymierzeńców z lat wojny. Mniej pokojowy był przebieg wypadków na innych obszarach globu ziemskiego. Wybuchały małe wojny lokalne, które jednak nie rozrosły się do rozmiarów wielkiej wojny światowej.

Już od chwili powstania koalicji antyniemieckiej spoistość państw anglosaskich zataczała szersze i głębsze kręgi niż ich solidarność wobec Rosji radzieckiej. Dojście do kompromisu między nimi stanowiło zadanie łatwiejsze do rozwiązania niż polubowne rozwiązanie sporów z Rosją Radziecką. Konflikt zbrojny, niemal wykluczony między Stanami Zjednoczonymi i Anglią, był ewentualnością wstawianą w rachubę anglosaskich i radzieckich mężów stanu. Wzajemne ustosunkowanie się Anglosasów układało się na płaszczyźnie psychologicznej, diametralnie odmiennej od podłoża współpracy polityków radzieckich i anglosaskich. Anglicy i Amerykanie łatwo dochodzili do porozumienia. Łączył ich spadek po przodkach, wspólność języka, pokrewieństwo mentalności, obyczajów, ustroju, instytucji politycznych. Jedni i drudzy byli świadomi zasad i metod postępowania wspólnika. Łączyła ich spora doza wzajemnego zaufania, wiary w prawdomówność, lojalność, dobrą wolę partnera w dotrzymaniu obietnic. Jedni i drudzy na ogół chętnie, rzetelnie wymieniali in-

formacje. Między sobą grali w otwarte karty. Ich współdziałanie podlegało uwarunkowaniu, wynikającemu ze znacznej jawności życia publicznego w obu państwach. Trudno im było dogadać się z radzieckimi mężami stanu, wychowanymi w niezrozumiałej dla nich, niesympatycznej atmosferze podziemia politycznego, nielegalnej, konspiracyjnej walki z caratem. Brak wzajemnego zaufania utrudniał współpracę przywódców trzech wielkich mocarstw. Ograniczał owocność ich wysiłków. Anglosasi podejrzewali naczelników Rosji radzieckiej o chęć zawarcia, wbrew umowie, poza swymi plecami odrębnego pokoju z Niemcami. Przywódcy Związku SRR byli przekonani, że Anglosasi żywią podobne zamiary.

Podejrzenia tego rodzaju upadły po ukończeniu wojny. Zrodziły się inne. Wczorajsi sprzymierzeńcy przypisywali jeden drugiemu zamiary zaborcze. Obustronne ujawnianie zarzutu stawało się nowym kamieniem obrazy. Nabierało niemiłego posmaku w związku z sądzeniem głównych niemieckich zbrodniarzy wojennych przez aliancki Wojskowy Trybunał w Norymberdze, oskarżonych o popełnienie zbrodni agresji, zakazanej nowoczesnym prawem międzynarodowym. Odzywały się głosy, że sprzymierzeńcy stają się winni zbrodni, której popełnienie zarzucają władcom Niemiec. Dojrzewała atmosfera sprzymierzania się przeciwko sobie wczorajszych sprzymierzeńców ze „swymi" Niemcami. Stalina niepokoiły i drażniły nawoływania Churchilla do ścisłego współdziałania Anglosasów; dopatrywał się w tym bowiem zamiaru pozbawienia Rosji radzieckiej owoców zwycięstwa (*Fulton Speech*, marzec 1946). Wojenny przymus solidarności zelżał. Pojednawczość sprzymierzeńców, gotowość czynienia ustępstw w imię kompromisowego zażegnania sprzeczności interesów weszła w fazę recesji. Inne ustosunkowanie się sprzymierzeńców do siebie wynikło z faktu ukończenia wojny i poniekąd pozostawało w związku ze zmianą na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kilkunastodniowa konferencja jałtańska skończyła się 11 lutego 1945 r. Roosevelt zmarł 12 kwietnia tego roku. Hopkins, główny negocjator wstępnych, tajnych porozumień, kulminujących w doprowadzeniu do skutku trzech zjazdów na najwyższym szczeblu, teherańskiego, jałtańskiego, poczdamskiego, zmarł w rok później. Dwaj przyjaciele polityczni i osobiści, jak świadczy ich biograf, Sherwood, wyjechali z Jałty w nastroju entuzjastycznym; byli głęboko przekonani, że udało im się nawiązać przyjazne stosunki ze Stalinem i Mołotowem, stanowiące w ich oczach niezawodną rękojmię długoletniego pokoju. Koła rządzące w Moskwie oceniły śmierć Roosevelta jako zdarzenie ujemne dla zrealizowania ich polityki. Nie myliły się. Po filoradziecko nastawionym Roosevelcie objął prezydenturę jego zastępca, senator Truman, od początku uprze-

dzony do władców Kremla. Hamował się przez kilka pierwszych miesięcy sprawowania władzy pod wpływem przekonania, że pomoc wojskowa Rosji w wojnie z Japonią jest pożądana. Po ukończeniu wojny z Japonią w końcu sierpnia 1945 r. nie oskarżał wprost państwa radzieckiego o agresję, ale wzywał do walki z komunizmem. Roosevelt wyjeżdżał z Jałty w zamiarze kontynuowania współpracy z Rosją, Truman z Poczdamu z postanowieniem przeciwstawiania się jej. Okolicznością pomyślną dla Rosji było, iż w tym roku w Anglii nastąpił proces przeciwny. Po ujemnie wobec Rosji nastawionym Churchillu premierem został labourzysta Attlee, skłonny do porozumienia się z nią.

Szef sztabu generalnego, Marshall, *persona gratissima* dla obu prezydentów — Truman w II tomie swych pamiętników wynosi pod niebiosy jego kwalifikacje polityczne i wojskowe — w czasie wojny usilnie, konsekwentnie zalecał kupowanie jak najdalej posuniętą ustępliwością radzieckiej pomocy wojskowej. Zaraz po ukończeniu działań wojennych publicznie nawoływał naród do zbrojeń. Przeciw komu? Tego nie napisał. Każdy wiedział, że przeciw Rosji.

Rozdźwięki między sprzymierzeńcami, już w Jałcie ciążące na toku rokowań, pogłębiały się w ciągu następnych lat. Spierano się o metody organizowania pokoju. Powstały spory finansowe i terytorialne. Zadrażniło współpracę: udzielanie przez Stany Zjednoczone pożyczek jednym, odmawianie drugim; zagadnienie wycofania wojsk anglosaskich z radzieckiej strefy okupacyjnej; uznanie *de iure* przez Anglosasów rządów państw, powstałych w krajach zdobytych przez Niemców, następnie zajętych przez wojska radzieckie; wydawanie władzom radzieckim obywateli radzieckich, osadzonych przez Niemców w obozach jenieckich i innych, które wraz z ich obsadą wpadły w ręce wojsk anglosaskich, posuwających się w głąb Niemiec. Wielkie nieporozumienia zrodziło używanie słowa: „demokracja" w innym znaczeniu, pojmowanym przez Anglosasów, w odmiennym przez Sowietów. Z rozwikłania jednych sporów wyrastały nowe. Ich przebieg bywał różny. Liczne były zatargi nie połączone ze strzelaniną. Inne rozsadzały ramy pokojowego współżycia. Spór, który wyładował się blokadą Berlina (1 IV 1948—12 V 1949), został zażegnany rokowaniami, podjętymi na życzenie Stalina przez wielkie mocarstwa, poza ONZ, z chwilą gdy rozbiła się próba Anglosasów skierowania sporu przed ten trybunał. Inne spory wiodły do rozlewu krwi. Kto wie, czy Chiny nie są krajem w bieżącym stuleciu najbardziej nawiedzanym wojnami domowymi i zagranicznymi. Od upadku monarchii w r. 1911 są niemal bez przerwy widownią wojen jednych i drugich. Wojna chińsko-japońska trwała od r. 1931 do 1945, wojna domowa między nacjonalistami Czang-

Kai-Szeka i komunistami Mao-Tse-Tunga od 1941—1949 r. Jej bezpośrednim potomkiem koreańska (24 czerwca 1950—12 lipca 1953) i indo-chińska 1954. Na lata 1948 i 1956 przypadają dwie krótkie wojny żydowsko-arabskie. Długo ciągnęła się wojna domowa w Grecji (1944—1948). Wojskowi amerykańscy sprawowali w Grecji dowództwo. Po ukończeniu drugiej wielkiej wojny bieżącego stulecia dochodziło do wojen lokalnych z udziałem pośrednim wielkich mocarstw jako dostawców broni, żywności, walut. Usiłowania uniknięcia bezpośredniej wojny wielkich mocarstw między sobą zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Predylekcje Roosevelta — odbicie nastrojów amerykańskiej opinii publicznej — rzeźbiły w pewnej mierze tok wydarzeń także po jego śmierci. Całkiem opacznie wyobrażał sobie Roosevelt przyszłą rolę Anglii i Rosji radzieckiej Przeceniał możliwości wywarcia wpływu na bieg wypadków poprzez ONZ. Wydawało się Amerykanom i jemu, że szczodre finansowanie przez Stany Zjednoczone państw, skłonnych ubiegać się o ich pomoc finansową, wystarcza do ich politycznego uzależnienia od Stanów. Spodziewał się, że Chiny staną się rychło wielką potęgą, możnym sprzymierzeńcem USA. Faworyzował załamanie się zamorskiego kolonializmu europejskiego w złudnej nadziei włączenia tych obszarów do sfery wpływów amerykańskich. Chimerycznych spekulacji Roosevelta nie podzielali ani Stalin, ani Churchill. Rozwój wypadków potwierdził słuszność ich horoskopów. Powtórzyła się sytuacja z czasów paryskich rokowań pokojowych anno 1919. Wtedy Clémenceau i Lloyd George okazywali więcej trafnego sądu i rozeznania rzeczywistości niż Wilson. Roosevelt zaręczył publicznie, iż nie popełni błędów Wilsona. Nie zdzierżył ziścić zapowiedzi. Jego polityka jałtańska zawierała w sobie dużo elementów identycznych z nastawieniem Wilsona, nie wyłączając nastawienia do Rosji, którą od dawna politycy amerykańscy uważali ze względu na sytuację geograficzną za naturalnego sprzymierzeńca w rozgrywce z Japonią. Wilson i Roosevelt słabo orientowali się w stosunkach europejskich.

W Jałcie Wielka Trójka obradowała w atmosferze kończącej się wojny, i organizowania przyszłego pokoju. Stalin chciał przedłużyć rządy Wielkiej Trójki, która tak świetnie sprostała zadaniu doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca. Zachowywał się odpornie wobec propozycji stworzenia ONZ, popieranej gorąco i uporczywie przez Roosevelta, któremu Churchill chłodno, bez przekonania sekundował. Stalin uważał za sprawniejszą dyplomację wielkich mocarstw, obradujących tajnie w szczupłym gronie.

Nie spodziewał się niczego dobrego po rozwlekłych, jawnych rokowaniach wielkiej ilości uczestników przyszłej ONZ, rozgłasza-

nych w prasie całego świata, w audycjach radiowych, stających się publicznym widowiskiem, rozświetlanym na ekranach telewizyjnych. Nie da się zaprzeczyć, że taka technika działania obniża rzeczowość obrad, premiuje posługiwanie się frazesami, spycha rokowania na manowce propagandy, skłania do pozyskiwania poklasku mas nieustępliwością. Stalin dostrzegł, że w czasie wojny władza Roosevelta i Churchilla była swym zasięgiem niemal równa jego własnej. Wiedział, że pokój jego władzy nie ukróci. Przeoczył konieczność zmniejszenia się po zakończeniu wojny zasięgu władzy szefów rządów w Anglii i Stanach Zjednoczonych, wynikającą z właściwości anglosaskich ustrojów i instytucji politycznych. Przeoczył, że amerykańscy i angielscy mężowie stanu muszą obstawać przy tworzeniu ONZ, ażeby nie popaść w jaskrawy konflikt z wolą wyborców. Ostatecznie przyjął projekt powołania do życia ONZ z udziałem Rosji radzieckiej.

Na instrumencie stworzonym zabiegami amerykańskimi dyplomaci sowieccy zagrali lepiej od nich. Stalin widział w Organizacji NZ narzędzie skrępowania wielkich mocarstw przez małe. Gdy powstała, dyplomaci sowieccy zdołali wśród małych państw zdobyć więcej poparcia niż Stany Zjednoczone. Skrępowanym wielkim mocarstwem okazały się w wyższej mierze Stany niż Rosja radziecka. Apele, rozbrzmiewające na sali obrad ONZ, rozchodzą się po całym świecie. W wyścigu o propagandowe wyzyskiwanie tej trybuny Rosja radziecka wiedzie prym. Usiłowania Stanów Zjednoczonych zmierzające do podjęcia za pośrednictwem ONZ działań, kolidujących z interesami ZSRR, kończyły się z reguły kompromitacją ONZ i jej inspiratorów: Korea 1953, Węgry 1957. Interwencja Stanów Zjednoczonych poprzez ONZ w sprawie Kanału Sueskiego skończyła się także ich porażką, a zwycięstwem państw arabskich, pobitego przez Izrael, Egiptu i Syrii, obecnie złączonych węzłem federacyjnym. Postawa Rosji radzieckiej w zatargu koreańskim oburzała koła oficjalne Stanów Zjednoczonych i ich sympatyków. Zarzucały one, że ZSRR, członek ONZ statutowo zobowiązany do solidaryzowania się z jej akcją, dowodzi uzbrojonymi przez siebie wojskami Korei Północnej i Chin Ludowych, wojującymi z armią ONZ. Jej członkowie zadowolili się uznaniem Korei i Chin za agresorów. Obawa wywołania wielkiej wojny usposabiała powściągliwie. Wojny koreańskiej bezpośrednim ciągiem dalszym — akcja indochińska. Nie wybuchła wojna między wielkimi mocarstwami, lecz osad wrogości pozostał. Fakt zawarcia zawieszenia broni, niepodpisania pokoju zachował po dziś dzień znaczenie więcej niż formalne.

Skarb Stanów Zjednoczonych i ich obywatele w bieżącym stuleciu utopili dziesiątki miliardów dolarów w Chinach. Pożyczali chiń-

skiemu skarbowi państwa. Budowali koleje. Zakładali przedsiębiorstwa państwowe i prywatne. Fundowali szkoły wyższe i niższe, szpitale, laboratoria, muzea. Wysyłali misje religijne i sanitarne. Niewiele z tego się ostało. W rzędzie burzycieli ekspansji wpływów amerykańskich odznaczyli się studenci chińscy, działacze i sympatycy rewolucji, wychowankowie uniwersytetów czynnych w Stanach Zjednoczonych. Prawie wszyscy Amerykanie zostali wygnani. Misjonarze różnych wyznań i narodowości także.

Roosevelt przewidywał, że Chiny staną się wielkim mocarstwem, przyjaźnie nastawionym do swego hojnego mecenasa. Tymczasem przeszły do obozu współzawodników Ameryki w walce o przodowanie światu. Przewidywał, że po ukończeniu wojny Anglia będzie zaczynem sporów międzynarodowych. Liczył na przyjazną współpracę z Rosją radziecką, ujętą w karby ONZ. W sporach między Anglikami a Rosją radziecką przechylał się na jej stronę. Tkwił w nim uraz walki o niepodległość między macierzą a kolonistami angielskimi, osiadłymi na zachodnim pobrzeżu atlantyckim Ameryki Północnej, którzy poczuli się odrębnym narodem w szóstym dziesięcioleciu XVIII wieku. Oderwali się od macierzy, legitymując swe poczynania prawem samostanowienia narodów wedle ich rewolucyjnego sumienia, prawem naturalnym, przeważającym pozytywne. Stąd wywodziła się antypatia Amerykanów do wszelkiego sprawowania rządów przez państwa europejskie w ich zamorskich posiadłościach kolonialnych, ich sympatia do porywów, legitymujących się ideałem samostanowienia narodów. Amerykanie nie zorientowali się na czas w wygrywaniu tego ideału przeciw samym sobie. Myśleli, że oderwanie się europejskich kolonii zamorskich pod hasłem samostanowienia narodów wyjdzie im na korzyść, że władcy tych obszarów sprzymierzą się z nimi. Nie dostrzegli ich zerkania w stronę Kremla. Roosevelt w czasie wojny popierał dążności wyzwoleńcze Indii. Wspominał o oddaniu angielskiego Hongkongu Chinom. Gotów był świadczyć dobrodziejstwa z cudzej kieszeni.

Roosevelt i Hopkins w Jałcie poszli na rękę Kremlowi, gdy chodziło o określenie wysokości odszkodowań, które miały być podyktowane Niemcom. Stalin, powołując się na znaczne zniszczenia, dokonane na terenie Rosji radzieckiej przez armie i władze okupacyjne niemieckie, wysuwał daleko sięgające żądania. Churchill oświadczył się za ich redukcją. Roosevelt na wniosek Hopkinsa przechylił szalę na korzyść Rosji. Odrzucił jednak, jak i jego następcy, aluzje Mołotowa, który wyraźnie dał do zrozumienia, co się przecie rozumiało samo przez się, że Rosji wyczerpanej finansowo i gospodarczo wojną, dogadzałoby otrzymanie pożyczki amerykańskiej. Stany Zjednoczone w czasie wojny zasilały wszystkich sprzymie-

rzeńców żywnością, bronią, umundurowaniem, w myśl ustawy znanej pod nazwą *Lend-Lease*. W maju 1945 r., zaraz po kapitulacji Niemiec, Stany przerwały te świadczenia wojenne bez uprzedzania sprzymierzeńców, co Kreml ocenił jako akt nieprzyjazny. To uczucie pogłębiło się, gdy wkrótce potem, na innej podstawie prawnej, Stany zaczęły w dalszym ciągu zasilać państwa im przyjazne z wykluczeniem Rosji radzieckiej i włączeniem do tego grona Niemiec Zachodnich. Zaczęła się licytacja między sprzymierzeńcami o pozyskanie Niemców. Ta amerykańska polityka finansowa została skodyfikowana w planie Marshalla (1947) i w północno-atlantyckim traktacie wzajemnej pomocy (1949). Stany po dziś dzień nie udzielają pożyczek ZSRR. Uznały, że straty przewyższałyby korzyści pójścia na rękę Rosji radzieckiej w tym względzie. Obawiają się zużycia pożyczek na zbrojenia przeciw sobie. Sporadycznie udzielają pożyczek sprzymierzeńcom Rosji radzieckiej. A może uda się tym sposobem osłabić jedność bloku wschodniego? Ta akcja rządu napotyka na silny sprzeciw w Kongresie. Wielu posłów i senatorów uważa te wydatki za nieopłacalne, a nawet za szkodliwe, bo wzmacniające pozycję radziecką.

Wybuchł w roku 1945 zatarg między sprzymierzeńcami o interpretację umowy jałtańskiej, ustalającej normy wzajemnego wydawania jeńców wojennych oraz innych obywateli państw sprzymierzonych, na skutek działań wojennych popadłych pod jurysdykcję władz państwa sprzymierzonego, którego nie byli obywatelami. Sowieci domagali się od Amerykanów wydawania obywateli sowieckich, jako to: jeńców wojennych, zbiegów, osób wywiezionych przez Niemców z obszarów okupowanych i osadzonych w różnego rodzaju obozach, które wraz z ich obsadą wpadły w ręce amerykańskich wojsk. W Jałcie przedstawiciele rządu radzieckiego żądali bezwarunkowego wydawania wszystkich swych obywateli. Anglosasi przyjęli to żądanie. Początkowo wypełniali ściśle swe zobowiązanie. W kilka tygodni później Eisenhower, naczelny wódz armii Zachodu w Europie, orzekł i postanowił, że sztywne wykonywanie zobowiązania w wypadkach sprzeciwu osób, objętych zobowiązaniem wydawania, byłoby niewskazane (*Crusade in Europe*, s. 480). Podczas rokowań koreańskich o zawieszenie broni przedstawiciele Korei Północnej i Chin Ludowych żądali przyjęcia zasady jałtańskiej. Dowództwo wojsk ONZ godziło się na wydawanie ograniczone do kręgu osób nie sprzeciwiających się temu. Spór odwlekł dojście do skutku zawieszenia broni o dobrych kilka miesięcy. W końcu dowództwo koreańsko-chińskie cofnęło swe żądanie. Władze radzieckie w r. 1945 protestowały przeciwko amerykańskiej interpretacji —

ścieśniającej umowę o wzajemnym wydawaniu obywateli państw sprzymierzonych — lecz nie wywierały zbyt wielkiego nacisku.

W Jałcie Anglosasi przyjęli wniosek radziecki, aby w państwach wyzwolonych przez wojska radzieckie spod okupacji hitlerowskiej utworzyć rządy demokratyczne na zasadzie tymczasowego ograniczenia powszechności wyborów do ciał ustawodawczych, polegającego na odmówieniu faszystom i nazistom, współdziałającym podczas wojny z wojskami i władzami niemieckimi, prawa głosowania. Postanowiono wszystkie inne stronnictwa uznać za demokratyczne z komunistami włącznie. Później powiał inny wiatr na Zachodzie. Przypomniano sobie, że — zdaniem Szwajcarów — wzywanie do stosowania metod rewolucyjnych dla ziszczenia celów politycznych jest sprzeczne z praworządnością demokratyczną, że ustawy szwajcarskie, w wykonaniu tego założenia, nakazują przeprowadzić rozwiązanie stronnictw pomawianych o rewolucyjność, faszystowskich i komunistycznych. Zachód począł się dopatrywać w „pozbawieniu prawa głosu faszystów" maski, ukrywającej zdelegalizowanie wszystkich stronnictw nie komunistycznych, i na tej podstawie ochrzcił ustroje państw, ziszczających demokrację ludową, mianem monopartyjności. Wschód uznał to za oszczerstwo. Zachód począł domagać się dopuszczenia korespondentów prasy zachodniej i niecenzurowania ich korespondencji, co Wschód uznał za popieranie akcji szpiegowskiej i prowokacyjnej pod płaszczykiem demokracji.

Zachód zwlekał z postulowanym przez Rosję radziecką uznaniem *de iure* państw wyzwolonych przez wojska radzieckie, wykazując sprzeczność między ich ustrojem a deklaracją jałtańską trzech mocarstw, zapowiadającą stworzenie w tych państwach rządów demokratycznych. Zwlekał z dopuszczeniem ich delegatów do ONZ. Rosja radziecka wygrała te spory po wieloletnich targach w wielu wypadkach. Nie we wszystkich. Zachód dotąd nie pogodził się z istnieniem *de iure* Niemiec Wschodnich, Korei Północnej, Vietnamu Północnego, Chin Ludowych. Sprzeciwia się przyjęciu tych państw w poczet członków ONZ. Wschód blokuje dopuszczenie do ONZ Korei Południowej, Niemiec Zachodnich, żąda wyłączenia z ONZ Chin Czang-Kai-Szeka. Sytuacja państw indochińskich jest także tematem sporów.

W jesieni 1944 r. doszło do porozumienia między trzema wielkimi mocarstwami w sprawie rozgraniczenia stref okupacyjnych w Niemczech, przypaść mających każdemu z nich po rozgromieniu armii niemieckiej. W chwili kapitulacji Niemiec (Reims 8 maja 1945, Berlin 9 maja 1945) armie anglosaskie były w posiadaniu obszarów im przyznanych oraz znacznej części strefy, przyznanej Rosji radzieckiej. Churchill namawiał bezskutecznie Trumana, Marshalla i Eisen-

howera, aby uwarunkowano wycofanie się wojsk anglosaskich ze strefy okupacyjnej rosyjskiej, sięgającej po Łabę, przyjęciem przez rząd radziecki interpretacji anglosaskiej układów jałtańskich. Amerykanie odrzucili propozycję Churchilla, bo uważali ciągle pomoc wojsk sowieckich w wojnie z Japonią za pożądaną wbrew przeciwnej opinii angielskich mężów stanu.

Obrady jałtańskie toczyły się w cieniu sporu o Polskę. Istniały wówczas dwa rządy polskie, uznane za prawowite, londyński przez Anglosasów, lubelski przez ZSRR. Ambasadorowie Anglii i Stanów Zjednoczonych byli akredytowani przy rządzie londyńskim, przedstawiciel ZSRR w Lublinie. Nad żadną sprawą nie debatowano w Jałcie tak długo jak nad polską. Stettinius, uczestnik konferencji, amerykański sekretarz stanu wspomina w swej relacji z zachwytem kunszt oratorski Churchilla, który w ciągu tych debat zabłysnął w całej pełni. Projekt stworzenia jednego rządu polskiego wówczas upadł. Anglosasi dopiero w pierwszych dniach lipca 1945 r. cofnęli uznanie rządu londyńskiego, wysłali swych ambasadorów do Warszawy, akredytowanych przy „tymczasowym rządzie Jedności Narodowej", w terminologii emigracji londyńskiej: „przy stałym rządzie tymczasowej Jedności Narodowej". Uchwały jałtańskie w sprawie polskiej były zatwierdzeniem teherańskich porozumień Wielkiej Trójki (listopad i grudzień 1943) oraz moskiewskich rozmów Stalina z Churchillem (jesień 1944). Churchill uzyskał w zamian za ustępstwa w sprawie polskiej zgodę Stalina na włączenie Grecji do sfery wpływów angielskich, co wywołało niezadowolenie w waszyngtońskim departamencie stanu (Pamiętniki Cordell Hulla). Amerykańscy dyplomaci uważali wówczas tworzenie sfer wpływów za sprzeczne ze swymi mocarstwowymi interesami. W niespełna trzy lata po potępieniu ustosunkowania się Churchilla do rozgrywek politycznych w Atenach przyjęli jego politykę, czego Churchill nie omieszkał zanotować z zadowoleniem w swych pamiętnikach. Jedną z faz rozejścia się dróg sprzymierzeńców było zainteresowanie się Stanów losami Grecji.

Stalin i Churchill wiedli spór o granice i ustrój Polski w Teheranie i Jałcie. Roosevelt zadowalniał się rolą drugoplanową. Rezerwował sobie głos rozstrzygający w ustosunkowaniu się do Japonii.

Wtedy gdy Wielka Trójka debatowała w Jałcie, Stany Zjednoczone wojowały z Japonią bez udziału Rosji radzieckiej. Miały prawo zawarcia pokoju z Japonią, nie pytając o zgodę Rosji. Nie skorzystały z tej możności ponieważ uważały pomoc wojskową rosyjską za niezbędny warunek w skróceniu czasu wojny, czego pragnęły niemal za każdą cenę, a co nie uszło uwagi Stalina.

Stalin, zjeżdżając do Poczdamu, uzbroił się z góry w silne atuty. Część sporów odpadła, bo przed rozpoczęciem obrad Anglosasi zadośćuczynili jego żądaniom w sprawie wycofania swych wojsk z radzieckiej strefy okupacyjnej i uznania rządu polskiego, rezydującego w Warszawie. Atutem był także fakt nieukończenia wojny z Japonią. Toczyły się rokowania między Trumanem a Stalinem o warunki przystąpienia Rosji do tej wojny.

W Poczdamie Anglosasi zgodzili się na żądanie ZSRR uznania linii Odra-Nysa zachodnia (łużycka) za granicę polsko-niemiecką. Wałbrzych przypadł Polsce. W Jałcie Churchill opowiedział się za rozgraniczeniem wzdłuż Odry i Nysy wschodniej. Anglosasi w Poczdamie wycofali się z tego stanowiska. Zgodnie ze wstępnym, ustnym, teherańskim porozumieniem przyrzekli na konferencji pokojowej poprzeć żądanie ZSRR o włączenie Królewca do jego posiadłości. Zgodzili się na wyłom w zasadzie przez siebie proponowanej, że ostateczne określenie rozgraniczeń terytorialnych nastąpi dopiero na konferencji pokojowej. Nie złożyli podobnego przyrzeczenia w odniesieniu do linii Nysa-Odra, co nie miało praktycznego znaczenia, bo nastała era długoletniej tymczasowości porozumień, niezakłócona po dziś dzień zwołaniem konferencji pokojowej. Istotę rzeczy odsłonił fakt uznania, niemal nazajutrz po zamknięciu konferencji poczdamskiej, przez ZSRR linii Nysa-Odra zachodnia za granicę definitywną. W sprzeczności ze swoim stanowiskiem zgodzili się Anglosasi na wysiedlenie Niemców z terenów położonych na wschód od linii Odra—Nysa łużycka.

Stalin i Mołotow nie zdołali przeforsować w Poczdamie uznania *de iure* rządu rumuńskiego, powstałego w Bukareszcie tuż po ukończeniu konferencji jałtańskiej przy współudziale Wyszyńskiego. Zachód kwestionował jego demokratyczność wbrew odmiennej opinii ZSRR. Ten spór wkrótce wziął obrót pomyślny dla Kremla. W grudniu 1946 r. zjechali się ministrowie spraw zagranicznych trzech wielkich mocarstw w Moskwie. Amerykański sekretarz stanu Byrnes przyjął żądanie ZSRR uznania *de iure* rządu rumuńskiego. Truman zatwierdził oświadczenie Byrnesa *à contre coeur*. Postanowił w odpowiedniej chwili usunąć Byrnesa na rzecz osobistości bardziej antyradziecko nastawionej. Na umocnienie się wpływów radzieckich na Bałkanach reagował zbliżeniem się do Niemców.

Amerykanie byli głównymi inscenizatorami procesu norymberskiego. Kończył się. Zbrodniarzy wojennych powieszono. Amerykańscy mężowie stanu nabrali przekonania, że aktualność procesu przeminęła z wiatrem. Podczas obrad jałtańskich Stalin zagadnął Roosevelta znienacka, jak długo wojska amerykańskie pozostaną w Europie po ukończeniu wojny. Roosevelt odpowiedział natychmiast bez

namysłu, bez ogródek: „najwyżej dwa lata". Stalin mniemał, że postój amerykańskich sił okupacyjnych pociągnie za sobą wzrost ingerencji Stanów Zjednoczonych w europejskie spory polityczne, krępując rząd radziecki w działaniach, skierowanych ku obronie swych interesów. Z pewnością czuł się wówczas uspokojony i zadowolony zapowiedzią Roosevelta, a wielce zawiedziony w swych oczekiwaniach, gdy półtora roku później Byrnes tuż po wykonaniu wyroku norymberskiego zjechał do Stuttgartu, gdzie przemawiał publicznie na tłumnym, jawnym zgromadzeniu.

Mówił Niemcom: zwalczyliśmy hitlerowców. Z Niemcami chcemy żyć w zgodzie. Jego kolega w radzie ministrów, minister handlu Wallace, wypowiedział się publicznie przeciw antyradzieckiej polityce Trumana i Byrnesa. Minister spraw zagranicznych zaprotestował przeciw wtargnięciu kolegi w jego rejon. Truman natychmiast usunął Wallace'a. Poprzednio w marcu 1946 r. zjechał do Stanów b. premier, Sir Winston Churchill. Wzywał Anglosasów do jedności. Opinia publiczna amerykańska zajęła odporne stanowisko wobec propozycji Churchilla. Szybko się odmieniła. Po upływie kilku miesięcy usunięcie Wallace'a, nawołującego do zgody z ZSRR, zostało przychylnie przyjęte przez opinię publiczną. W pierwszych dniach stycznia 1947 r. Truman mianował gen. Marshalla następcą Byrnesa.

Lata 1947—1949 stały pod znakiem drobnych sukcesów Zachodu w Europie, wielkiej klęski w Azji. Roosevelt w r. 1940 przewidywał bliskie uczestnictwo Stanów w toczącej się wojnie europejskiej i w spodziewanej lada dzień azjatyckiej. Począł ustalać wytyczne strategiczne z udziałem szefa sztabu, Marshalla i premiera Winstona Churchilla, który umyślnie w tym celu zjechał do Waszyngtonu. Postanowiono uznać za główny teren działań wojennych Europę, przystąpić zaś do rozstrzygających uderzeń w Azji dopiero po pogromieniu Niemców. Wypadki stają się zrozumialsze zakładając, że i po zakończeniu wojny w r. 1945 Anglosasi zgodnie działają na płaszczyźnie uznania nadal Europy za główne pole rozgrywki dyplomatycznej i wojskowej. Wynik tak pomyślanej polityki wypadł po ukończeniu wojny *per saldo* na korzyść ZSRR.

W czasie wojny wojska sowieckie obsadziły północną, anglosaskie południową Persję (Iran). W pierwszym kwartale 1946 r. wybuchł spór o wycofanie z północnej Persji garnizonów sowieckich oskrzydlających Turcję. W ciągu tego roku nastąpiło wycofanie wszystkich obcych wojsk z Persji. Zachód uważał Turcję nadal za zagrożoną. Podejrzewał ZSRR o popieranie greckich komunistów. Anglicy uznali finansowanie Grecji za zbyt kosztowne. Porozumieli się ze Stanami. Truman orędziem z 12 marca 1947 r. przyrzekł pomoc Grecji i Turcji.

Dzieci Północy tęsknią za słonecznym Południem, za ciepłymi krajami dojrzewania winogron. W r. 1936 wybuchła wojna domowa hiszpańska. Po obu stronach walczyli Hiszpanie, ramię w ramię z zagranicznymi ochotnikami. Komintern organizował przypływ międzynarodowych brygad ochotniczych. Popierał lewicowy Front Jedności Narodowej, przeciw któremu zbuntowała się część armii hiszpańskiej pod wodzą generała Francisco Franco de Bahamonde. Generał zwyciężył przy pomocy faszystowskich włoskich i niemieckich ochotników. Za wzorem Czang-Kai-Szeka kazał się tytułować: generalissimus. Dobiera ambasadorów spośród arystokracji.

Nowy zatarg między Wschodem i Zachodem na Morzu Śródziemnym wybuchł w r. 1947, gdy Zachód osądził, że nadeszła chwila przeciwstawienia się narastaniu sympatii sowieckich w Grecji i Turcji. Po raz pierwszy w dziejach potężna flota amerykańska (VI) zagościła na dłuższy pobyt na wschodnich wodach Morza Śródziemnego, wyposażona obficie w najnowocześniejsze lotniskowce, z których każdy gnieździł dziesiątki aeroplanów i odpowiedni zapas bomb. Ogłoszony w połowie roku 1947 plan Marshalla uchodził w oczach Kremla za wyraz zamiarów agresywnych Zachodu. Do wojny jednak nie doszło. Politycy zachodni spekulujący na wojnę, doznali raz jeszcze zawodu.

Anglosasi zadowolili się rozbudową pomocy finansowej przewidzianej planem Marshalla na zachód od linii Szczecin-Triest. Marshall, objąwszy kierownictwo departamentu stanu, w styczniu 1947 po spełnieniu w roku poprzednim nieudałej misji w Chinach, zajął się najpierw udzieleniem pomocy Grecji i Turcji. Grecja stała się po ukończeniu wojny pierwszym państwem Europy kontynentalnej, wydatnie subwencjonowanym przez skarb Stanów Zjednoczonych. Strategom i dyplomatom amerykańskim przyświecała myśl zatarasowania Rosji dostępu na Morze Śródziemne. Grecja, licząc przeciętnie na głowę mieszkańca, otrzymała ze skarbu Stanów zasiłki najwyższe spośród wszystkich krajów Europy kontynentalnej. Marshall w przemówieniu, wygłoszonym 5 czerwca 1947 r. w Harvard University, obwieścił gotowość Stanów dopomagania wszystkim innym państwom europejskim na zasadach zbliżonych do przyjętych w układzie grecko-amerykańskim. Na skutek zaproszenia, wystosowanego przez rządy Francji i Anglii zebrała się w Paryżu 17 lipca 1947 r. konferencja państw, skłonnych do przyjęcia amerykańskiej oferty, bez udziału przedstawiciela ZSRR. Anglia i Francja proponowały Związkowi SRR uczestniczenie w tej akcji. Mołotow oświadczył, że Stany chcą w formie udzielania pomocy finansowej ograniczyć niezależność polityczną państw, przyjmujących pomoc. Odmówił uczestniczenia. Prasa zachodnia pisała o przełomie w roz-

woju stosunków międzynarodowych. Marshall otrzymał nagrodę pokoju, ufundowaną przez fabrykanta środków wybuchowych Nobla, rozdawaną rokrocznie przez parlament Norwegii. Zasiadają w nim sympatycy Zachodu. Ani jeden Rosjanin nie otrzymał dotychczas nagrody pokoju Nobla. Rząd Związku Radzieckiego przystąpił ze swej strony do przyznawania nagród pokoju. Dwadzieścia jeden uniwersytetów zachodnich nadało Marshallowi doktorat *honoris causa*. Churchill nie dociągnął do tej cyfry. Dotacje Stanów wielce przyspieszyły proces odbudowy gospodarczej Anglii i Europy Zachodniej. Zwiększyły popyt na siłę roboczą w Stanach, zagrożonych wzrostem bezrobocia. Pokojowość planu Marshalla — „Martialplan" grzmiał Wallace — jest wątpliwa. Utrwalił on bowiem dojrzewający rozłam społeczności międzynarodowej na bloki; wschodni i zachodni, wzmógł wyścig zbrojeń, dostarczył argumentów zwolennikom zapuszczenia żelaznej kurtyny.

Zwieranie się państw w bloki ograniczało swobodę decyzji niektórych spośród ich uczestników w sprawach międzynarodowych, a nawet dawało asumpt do mieszania się wielkich mocarstw w politykę wewnętrzną państw małych. Wzmożone napięcie międzynarodowe wyraziło się zawarciem w Waszyngtonie w kwietniu 1949 Związku Północno-Atlantyckiego (North Atlantic Treaty Organisation — NATO). Imieniem Stanów podpisał układ Dean Acheson, wiceminister spraw zagranicznych, mianowany w styczniu 1949 r. następcą Marshalla. On i Marshall w czasie wojny opowiadali się za ustępstwami na rzecz Rosji. Po ukończeniu wojny bronili programu „containment of Russia".

Acheson odegrał wielką rolę w zainicjowaniu i doprowadzeniu do końca planu Marshalla. Kontynuował tę politykę, kładąc swój podpis na pakcie atlantyckim. Traktat północno-atlantycki był pierwszym przyrzeczeniem pomocy wojskowej, udzielonym przez Stany Zjednoczone w latach pokoju. W r. 1954 wojska Vietnamu Północnego pobiły wojska francuskie. We wrześnie roku następnego Stany Zjednoczone przystąpiły do umowy, ściśle wzorowanej na traktacie północno-atlantyckim, określanej skrótem SEATO (South-East Treaty Organisation).

Rosja reagowała na zawarcie NATO w jesieni tego samego roku natychmiastowym uznaniem *de facto* i *de iure* dwóch nowych państw, powstałych w wyniku klęsk Hitlera i Czang-Kai-Szeka: Niemieckiej Republiki Demokratycznej (NRD) i Chin Ludowych Mao-Tse-Tunga, dotąd nie figurujących w gronie członków ONZ. W tym samym czasie Rokossowski objął stanowisko ministra obrony narodowej w Warszawie. Blok Wschodni związał się 14 maja 1955 r. umową wojskową, zwaną paktem warszawskim.

Ministrowie spraw zagranicznych trzech wielkich mocarstw zjechali się w grudniu 1946 r. w Moskwie, w rok później w Londynie. W Moskwie Byrnes przyłożył ręki do zaklajstrowania rozłamu. Marshall w Londynie był mniej pojednawczy. Nie osiągnięto porozumienia w żadnej z rozpatrywanych spraw. W trzy miesiące później rozpoczęła się jednoroczna blokada Berlina. Na 30 marca przypada pierwsze zarządzenie generała komenderującego rosyjską armią okupacyjną w Berlinie Wschodnim, ograniczające komunikację między Berlinem Zachodnim a Zachodnimi Niemcami. Gen. Lucjan Clay, dowódca armii okupacyjnej amerykańskiej w Berlinie Zachodnim, uznał ten akt za naruszenie ustnych przyrzeczeń, danych przez generalicję sowiecką w czasie wycofywania się wojsk anglosaskich ze strefy rosyjskiej, mocą których zobowiązała się nie ograniczać komunikacji między Berlinem Zachodnim a Niemcami Zachodnimi (NRF). Gen. Clay oskarża sam siebie w swych pamiętnikach o zaniedbanie spisania protokołu. Sowieci oświadczyli, że żadnego przyrzeczenia nie składali. Truman w swych pamiętnikach komentuje samooskarżenie Claya, jak zawsze, w duchu wrogim wobec Sowietów.

Clay proponował swym przełożonym w Waszyngtonie zaopatrywanie w żywność i węgiel Berlińczyków autami ciężarowymi pod eskortą wojskową, zaręczając, że Sowieci nie wykonają groźby strzelania. Waszyngton kategorycznie zakazał podjęcia próby. Polecił zorganizować *air-lift* — powietrzny transport żywności i węgla — *(sic)* z Frankfurtu nad Menem. Sowieci nie strzelali do amerykańskich aeroplanów ciężarowych.

Władze sowieckie były wówczas bardziej zainteresowane rozwojem ofensywy Mao-Tse-Tunga. W jesieni tego roku uznały Chiny Ludowe, a w lutym następnego roku sprzymierzyły się z nimi w formie publicznej umowy pisemnej. Ruchy narodowo-wyzwoleńcze poparte przez dyplomację sowiecką święciły na Dalekim Wschodzie triumfy, znacznie przewyższające mniej pomyślny rozwój wypadków w Europie. W szóstej dekadzie bieżącego stulecia dyplomacja ta umocniła i rozszerzyła swe postępy na Bliskim Wschodzie. Ponowiła — tym razem ze znacznym powodzeniem — usiłowania dojścia do głosu w kształtowaniu wydarzeń na Morzu Śródziemnym i w krajach przyległych. Morze Śródziemne przestało być prywatnym morzem uczestników NATO.

W wyniku wojny koreańsko-indochińskiej (1950—1954) Stany Zjednoczone zdołały zapobiec wejściu Korei Południowej w orbitę wpływów bloku wschodniego. Nie potrafiły przeszkodzić przejściu Vietnamu Północnego w ręce jego sympatyków. Przewrót w Indochinach w połączeniu ze wzrostem sił komunistycznych w Indonezji

osłabił pozycję strategiczną państw Półwyspu Malajskiego, zasobnych w kauczuk i cynę, w surowce doniosłego znaczenia dla rozwoju zarówno pokojowej, jak wojennej produkcji przemysłowej. Ostatnio baza surowcowa bloku wschodniego jest w toku wzbogacenia się o dobra, których wartość przekracza malajski kauczuk i tamtejszą cynę. Złoża ropy ziemnej, rurociągi, rafinerie naftowe azjatyckiego Bliskiego Wschodu wymykają się z rąk amerykańskich i angielskich. Waszyngton, rejestrując niepowodzenia na Dalekim Wschodzie, pocieszał się argumentem, że Europa jest nadal rozstrzygającym terenem współczesnej wielkiej gry politycznej. Oceniał sytuację europejską jako pomyślną. Pogorszyła się z amerykańskiego punktu widzenia pod naciskiem zmian w układzie sił, spowodowanych szybkimi i znacznymi sukcesami Nassera. W ciągu ostatnich dwóch lat opanował on Kanał Sueski, zablokował żeglugę Izraela w jego strefie, stworzył unię egipsko-syryjsko-jemeńską, osadził na tronie Arabii Saudyjskiej zwolennika orientacji egipskiej. Nastąpiło radykalne przesunięcie sił na tych obszarach, powodujące rozległe wstrząsy polityczne w Algierze, w innych krajach przybrzeżnych i wyspach Morza Śródziemnego, osłabiające pozycję mocarstw zachodnich. Stosunek sił wojskowych na prawym, południowym skrzydle frontu strategicznego NATO przesunął się na korzyść przeciwników. Waszyngton doznał porażki nie tylko na terenie Dalekiego Wschodu, uważanym za drugorzędny, ale także na terenie uchodzącym w jego oczach za rozstrzygający o układzie sił.

Małe wojny lokalne, rozgrywające się po ukończeniu drugiej wielkiej wojny światowej bieżącego stulecia, nie rozrosły się w trzecią. Strategowie, kierujący przygotowaniami do nowej wojny, przewidywanej na wypadek rozbicia się wysiłków zachowania pokoju, zadają sobie pytanie, czy zachodzi nadal ewentualność małej wojny, którą by udało się utrzymać w tych ramach. Wielu uważa tę ewentualność za mało prawdopodobną ze względu na postęp techniki. Właśnie dlatego projekty zwołania zjazdu na najwyższym szczeblu, który ma obradować nad zawarciem umowy ograniczającej zbrojenia, budzą tak powszechne i głębokie zainteresowanie. Opinia, malująca w czarnych barwach skutki wojny, połączonej z użyciem bomb wodorowych, wyrzucanych z aeroplanów i przy pomocy pocisków rakietowych, staje się coraz silniejszym współczynnikiem rozwoju międzynarodowych rokowań pokojowych. Obecnie szanse dojścia do skutku układów o ograniczeniu zbrojeń są lepsze niż kiedykolwiek przedtem.

Adam Krzyżanowski

JAN WŁODEK

WSCHODNI SĄSIEDZI NIEMIEC

Upłynęło już 13 lat od zakończenia działań wojennych na froncie europejskim po drugiej wojnie światowej. Traktatu pokojowego dotychczas nie zawarto. Tymczasem nowy podział Europy stał się faktem. Nie ma chyba Polaka, który by kwestionował ustanowienie granicy Polski na Odrze i Nysie łużyckiej. Z biegiem czasu dojdzie pewnie jednak do konferencji pokojowej i wówczas możemy znaleźć się pod presją mocarstw zachodnich w sprawie zmiany tej granicy. Musimy być na to przygotowani. Warto więc wiedzieć co się myśli, mówi i pisze na ten temat za Zachodzie, byśmy nie zostali zaskoczeni, byśmy mieli pod dostatkiem argumentów, których nam może dostarczyć gruntowna nauka.

Od czasu mowy fultońskiej Churchilla i stuttgarckiej Byrnesa zaznacza się coraz silniej manifestowanie negatywnego stanowiska mocarstw zachodnich w sprawie naszej granicy zachodniej. W związku z tym należy powitać z dużym zainteresowaniem książkę Elizabeth Wiskemann [1] o wschodnich sąsiadach Niemiec.

Praca ta pretenduje do naukowego opracowania problemów stosunków polsko-niemieckich a więc i naszej granicy zachodniej. „Royal Institute of International Affairs", dając firmę książce, daje jej i firmę naukowości. Oczywiście poglądy autorki są jej poglądami własnymi, a nie Instytutu, co też zaznaczono. Niemniej jednak autorka wyraźnie pisze, że proszono ją, by sformułowała i osądziła kwestie sporne między Niemcami i ich wschodnimi sąsiadami. Nie jest to w tym wypadku bez znaczenia.

Podstawą stanowiska naukowego musi być obiektywność. Trzeba przyznać autorce, iż się o nią stara. Jednakowoż — jak sądzę — nie zawsze się jej to udaje, zwłaszcza w odniesieniu do stosunków polskich. Źródła bowiem, na których się opiera, są przeważnie źródłami niemieckimi. Nie podaje ona całej bibliografii, z której korzystała, wybiera z niej tylko to, co uważa za najważniejsze. Wśród tych pozycji jest około

[1] Elisabeth Wiskemann, *Germany's Eastern Neighbours*, Issued under the auspices of the Royal Institute of International Affairs, London 1956, Oxford University Press.

40% źródeł zachodnio-niemieckich, z NRD nie ma ani jednej publikacji! 35% źródeł anglosaskich (angielskich, amerykańskich i wydanych przez zachodnie władze okupacyjne), źródeł polskich jest „aż" około 10%, w tym mniej więcej po połowie emigracyjnych i krajowych. Resztę stanowią czeskie i francuskie. Autorka stara się oceniać krytycznie niemieckie naświetlenia i poglądy. Jednakowoż fakt, że była ona zdana prawie wyłącznie na literaturę niemiecką i angielską musiał się przejawić w jej ustosunkowaniu do spraw polsko-niemieckich. Warto zaznaczyć, że p. Wiskemann chciała przed napisaniem swej pracy udać się do Polski, by na miejscu poznać polski punkt widzenia w interesujących ją sprawach. Niestety, odmówiono jej wizy. Nie jest również jej winą brak poważnych naukowych publikacji w językach obcych pióra naszych uczonych. Skutkiem tego omawiana praca zawiera pierwszorzędne informacje co do NRF, jest ich prawdziwą kopalnią, ale o Polsce informuje miejscami wręcz fałszywie.

Zacznę od spraw, które czytelnika polskiego najbardziej uderzają. Słusznie pisze autorka, że na to by zrozumieć istotę problemów polsko-niemieckich, należy poznać ich tło geograficzne oraz ich historię w ciągu ostatnich dwu wieków. Studium było więc zamierzone bardzo poważnie i za takie ma uchodzić. Niestety, mimo to spotyka się w nim co krok twierdzenia, które — powiedzmy łagodnie — są przejawem szeregu wielkich nieporozumień. Np. autorka nie może się zdecydować kim są *Wasserpolaken* i wielokrotnie używa tej nazwy dla określenia mieszkańców Górnego Śląska po obu stronach granicy z 1939 roku. W innym znów miejscu mówi o polskiej ludności autochtonicznej Górnego Śląska. Szczególnie niebezpiecznym nieporozumieniem jest sprawa kondominium na Śląsku. W toku rozważań dotyczących historii stosunków polsko-niemieckich na Górnym Śląsku znajdujemy informacje o funkcjonowaniu jakiegoś kondominium polsko-niemieckiego po ustaleniu granicy na Górnym Śląsku. Współcześnie niemieckie koła rewizjonistyczne wysuwają mgliste propozycje na temat wprowadzenia właśnie kondominium polsko-niemieckiego na naszych ziemiach zachodnich. Chodzi tu oczywiście o oderwanie od Polski górnośląskiego zagłębia przemysłowego. Z dzieła p. Wiskemann dowiadujemy się, że wielu ludzi tęskni i zwraca się myślą ku okresowi świetnego funkcjonowania kondominium! Autorka przytacza też powiedzenie Lloyd George'a, że „można by równie dobrze dać zegar małpie, jak Polakom Górny Śląsk". Tak mówiło się w okresie traktatu wersalskiego, natomiast w r. 1947 gen. Marshall na konferencji ministrów spraw zagranicznych wyraził pogląd, że musi istnieć taka granica pomiędzy Polską a Niemcami, która gwarantowałaby dostępność produkcji górnośląskiego zagłębia przemysłowego dla całej Europy.

Rola i znaczenie Kościoła w Polsce są jaskrawo nie docenione; na 295 stronach książki sprawy Kościoła w Polsce omawiane są tylko raz i to do tego niezgodnie z prawdą. Autorka pisze bowiem, że ustanowienie administratorów na ziemiach zachodnich zaraz po wojnie przez kardynała Hlonda nie zostało zaakceptowane przez Watykan, co z kolei miało spowodować antypapieskie nastroje w Polsce. Ta „kłótnia" według pani Wiskemann jest do dziś nie rozwiązana!

Geografia i etnografia Polski (w granicach przedwojennych i powojennych) pozostawia również bardzo wiele do życzenia. Znajdujemy np. twierdzenie, iż mniejszość ukraińska w Polsce zaczęła się domagać od r. 1938 większych praw aż do autonomii włącznie, autonomia ta zaś miała polegać na własnym sejmie i własnej armii. Polacy rzekomo bali się bardzo tych żądań, bo gdyby je mieli traktować na serio, to wówczas granica takiej autonomicznej strefy ukraińskiej przecięłaby rozbudowywany podówczas centralny okręg przemysłowy.

Autorka uważa, że w latach dwudziestych żyło na Warmii 300 000 protestanckich Mazurów, mówiących archaicznym językiem polskim, dokoła nich zaś miało istnieć otoczenie katolickie. Teza ta spowodowana została — jak sądzę — faktem, że miasto Olsztyn leży na Warmii, a plebiscyt w r. 1920 był przeprowadzony w rejonie olsztyńskim. Autorka nie zdawała sobie sprawy z tego, że całe południowe Prusy Wschodnie były zamieszkane przez polską ludność autochtoniczną, zaś mieszkańcy dawnego księstwa Warmińskiego byli *en bloc* katolikami. Właśnie ci katoliccy autochtoni mieszkający na około Olsztyna, byli najbardziej świadomymi Polakami w Prusach Wschodnich.

Autorka nie może się zdecydować, czy Kaszubi mówią po polsku, czy też nie. W jednym miejscu pisze o Kaszubach mówiących po słowiańsku, a w drugim o Kaszubach autochtonach. Określenie Kaszubów jako autochtonów nie jest słuszne, bo tylko mała część ludności kaszubskiej może być tym mianem określona, mianowicie ta, która mieszkała i mieszka do dziś w powiatach byłego Pomorza niemieckiego, przylegających do granicy polskiej z 1939 roku. Z tym, że Kaszubi nie należą do polskiej grupy językowej także nie można się zgodzić.

Interesująco przedstawia się w omawianym studium problem Łużyczan. Zdaniem autorki w r. 1945 prawie 80 000 ludzi z okolic Budziszyna i Chocieboża uznawało się za Łużyczan. Prosili oni Rosjan, Polaków i Czechów o zagwarantowanie im jakiejś autonomii. Autorka sądzi jednak, że w tej liczbie znalazło się wielu Niemców, zasłaniających się dla bezpieczeństwa argumentem swej „łużyckości", w związku z tym w końcu zadecydowano, że nie będzie żadnych zmian administracyjnych. Kto wie, czy w ten sposób nie wydano wyroku śmierci na ostatnie resztki tego słowiańskiego narodu i do tego w najkorzystniejszej dla niego chwili dziejowej. Narzuca się pytanie, kto zadecydował nie czynić żadnych

zmian na korzyść Łużyczan, kto stwierdził, że to Niemcy. Należy się niestety spodziewać, że utożsamiano ich z Niemcami w ten sam sposób w jaki u nas uznano za Niemców Mazurów, Warmiaków, Ślązaków i innych autochtonów — co dało w rezultacie katastrofalny *exodus* do Niemiec tej rdzennej polskiej ludności.

Spotykamy poważne błędy przy umiejscowianiu niektórych granic. Pisze np. p. Wiskemann, że Generalna Gubernia składała się z trzech województw, przy czym włącza do nich województwo łódzkie. Naszą obecną granicę lądową na północy przedstawia tak, jakoby miała ona przypominać granicę sprzed pierwszego rozbioru. Uważa to nawet za fakt interesujący dla historyka. Jednak wystarczy spojrzeć na mapę, by zobaczyć, że nasza północna granica lądowa przebiega kilkadziesiąt kilometrów na południe od linii kolejowej Wystruć—Królewiec i tworzy mniej więcej linię prostą. Natomiast granica sprzed r. 1772 była zupełnie inna a półwysep księstwa Warmińskiego stanowił jej najbardziej charakterystyczną cechę.

*

Spośród interesujących nas problemów, poruszanych w tej mimo wszystkie błędy wartościowej pracy, najważniejsze chyba to: zagadnienie bilansu żywnościowego w Niemczech, stanowisko bońskiego ministerstwa spraw zagranicznych w odniesieniu do naszych granic, sprawy uchodźców i wysiedleńców, wreszcie stanowisko sojuszników w czasie II wojny światowej wobec naszych wschodnich i zachodnich granic. Warto te sprawy omówić szczegółowo.

Z pierwszym z tych problemów związany jest zasadniczy argument rewizjonistów niemieckich zwalczających granicę Odra-Nysa. Twierdzą oni bowiem, że na to, by Niemcy nie był deficytowe pod względem żywnościowym, muszą wrócić do nich nasze ziemie zachodnie.

Według danych niemieckich w r. 1913 samowystarczalność żywnościowa Niemiec wynosiła 80%. W r. 1922 spadła ona do 75%, aby następnie w r. 1938 podskoczyć do 85%. Obecnie ma wynosić 60%. Niemieccy ekonomiści rolni głoszą, że jest rzeczą niemożliwą przeciwstawiać się prawu zmniejszającego się przychodu z ziemi. Strata ziemi bez ubytku ludności musi spowodować zubożenie narodowe i dopływ nawet najbardziej energicznej i przemyślnej wysiedlonej ludności nie będzie w stanie zwalczyć zmniejszającego się przychodu z ziemi.

Wydaje się jednak, że w NRF konsumpcja żywności na głowę szybko dogania poziom w Niemczech przedwojennych.

Przed wojną przeciętne spożycie wynosiło

	3040 kalorii na głowę w Niemczech
w r. 1952—53	2840 kalorii na głowę w NRF
w r. 1953—54	2880 kalorii na głowę w NRF.

Spożycie tłuszczów w Niemczech jest takie same jak przed wojną. Konsumpcja białka dorównała poziomowi przedwojennemu w r. 1954. Licząc według cen niezmiennych spożycie artykułów żywnościowych przedstawia się następująco:

r.	1936	250 Rm
„	1938	277 „
„	1949	218 Dm
„	1950	234 „
„	1951	242 „
„	1952	251 „
„	1953	265 „
„	1954	277 „

— czyli, że możemy przyjąć, iż według cen niezmiennych już w r. 1954 konsumpcja dorównała poziomowi przedwojennemu.

Autorka sądzi, że podaż środków żywności zdaje się wzrastać w NRF proporcjonalnie do wzrostu ludności, a więc prawo Malthusa nie działa.

Od r. 1949 Niemcy zachodnie wykazały na odcinku rolniczym niebywały wzrost wydajności. Na terenach tych przeważały przed r. 1945 gospodarstwa małe, których wydajność była i tak większa od analogicznych gospodarstw na ubogich ziemiach wschodnich. Przez wprowadzenie reformy rolnej po r. 1945 rozparcelowano majątki ziemskie pomiędzy uchodźców i wysiedleńców. Reforma walutowa zredukowała zadłużenie rolnictwa i podniosła dochody rolników; w dodatku otworzono dla nich długoterminowe kredyty o korzystnej stopie procentowej. Ta mądra polityka finansowa zachęcała do inwestycji. Rząd robił co tylko było w jego mocy, by np. zachęcić rolników do kupowania traktorów. Ich liczba wzrosła ze 130 000 w r. 1950 do 300 000 w r. 1954. Oprócz tego rolnictwo niemieckie korzystało z bardzo dobrej porady naukowej (popularyzacji nauki rolnictwa). Chociaż produkcja roślin zbożowych była coraz bardziej intensywna, stanowiła ona tylko 12—13% dochodu brutto rolnika w r. 1953/4, podczas gdy dochody z wieprzowiny i nabiału sięgały około 50%. Skutkiem takiej polityki rolnej była obfitość cukru, ziemniaków i mleka. Nie brak także tłuszczów zwierzęcych. Równocześnie wzrosła konsumpcja margaryny. Zaopatrzenie w mięso jest dostateczne ze względu na rozwiniętą hodowlę trzody chlewnej.

W r. 1954 zdarzyła się rzecz nie spotykana w dziejach rolnictwa niemieckiego: wyprodukowano w NRF trochę masła ponad potrzeby własne, tak że było ono dostępne na eksport. Jedynie zaopatrzenie NRF w zboże opiera się na imporcie, za który Niemcy płacą stale wzrastającym eksportem przemysłowym.

Niemcy zachodnie są więc przykładem sukcesu nauki rolniczej i mądrej polityki rolnej w dziedzinie podniesienia wydajności. NRF obecnie

(1954/5) jest samowystarczalna w 65% zamiast w 60% jak to przewidywali dawniej różni ekonomiści zachodni.

Autorka sądzi, że brak roślin zbożowych w Niemczech jest logicznym, choć nie koniecznie niepomyślnym rezultatem straty terytorium na wschodzie. Część dawnej ludności wschodniej, która osiadła na roli, produkuje mleko, masło i jaja w małych gospodarstwach zamiast uprawiać zboża w średnich, względnie w dużych. Wynika więc z tego, że nie tylko strata terytoriów na wschodzie powoduje deficyt zbożowy, ale też i struktura agrarna Niemiec zachodnich, w których przeważały także przed wojną gospodarstwa małe — w przeciwieństwie do ziem leżących na wschód od Łaby.

Warto tu wspomnieć, że istnieje praca śp. Rajmunda Buławskiego na temat pojemności ludnościowej rolnictwa niemieckiego po odłączeniu terytoriów wschodnich [2]. Praca ta nie została wydrukowana w języku angielskim, chociaż postulowano takie wydanie na Radzie Naukowej dla zagadnień ziem odzyskanych. Autorka w ogóle nie cytuje prac Rady Naukowej, bo prawdopodobnie ich nie zna; wkład tak cennej inicjatywy polskiej nie został wykorzystany wskutek naszych zaniedbań.

Zdaniem autorki Niemcy nie samowystarczalne są bezpieczniejszym sąsiadem, bo trudniej im prowadzić wojnę. Zważywszy, że Niemcy mają za co importować żywność, jako że ich przemysł rozwija się i zdobywa nowe rynki zbytu, a nie pokrywają swych potrzeb żywnościowych tylko w zakresie produktów zbożowych, można stwierdzić, że niemiecki problem wyżywienia nie jest istotny.

Niezmiernie interesujące są rozważania dotyczące niemieckiej polityki w sprawie naszych granic zachodnich. E. Wiskemann pisze, że bońskie MSZ stoi na stanowisku rewizji granicy Odra-Nysa, ale nie popiera roszczeń Niemców sudeckich. Mimo to wpływ Sudetczyków daje się odczuwać od r. 1953 coraz bardziej w polityce zagranicznej Niemiec. Dali się oni poznać wysyłając swych emisariuszy do Stanów Zjednoczonych, a także przez działalność mającą na celu wciągnięcie emigrantów różnych narodów w orbitę wpływów niemieckich. „Konspirują" oni z emigrantami słowackimi, węgierskimi i ukraińskimi. Porozumieli się z emigracyjnym generałem czeskim Prchalą (który nie ma zresztą prawie żadnych popleczników). Porozumienie z gen. Prchalą jest znane pod nazwą *das Wiesbadener Abkommen*. Układ ten jest bardzo mglisty, z wyjątkiem tego, że sankcjonuje powrót wysiedleńców do Sudetów. Generał Prchala jest też znany ze swego sprzeciwu wobec koncepcji fede-

---

[2] Biuro studiów osadniczo-przesiedleńczych, II sesja Rady Naukowej dla zagadnień ziem odzyskanych. Zeszyt I: *Problemy ogólne akcji osadniczo-przesiesiedleńczej*, Warszawa 1946.

racji polsko-czeskiej. Należy zaznaczyć, że żadna grupa wschodnio niemiecka nie zdołała wejść w stosunki z polską emigracją na Zachodzie, choć wiele razy starano się o to.

Wysiedleńcy sudeccy propagują często restaurację monarchii habsburskiej (dr Lodymann) nie są jednak jednomyślni w tym poglądzie, bo niektórzy z nich (Seiboth i Wittikobund) uznają Habsburgów za protektorów Słowian i skutkiem tego uważają ideę odbudowy monarchii habsburskiej za niebezpieczną dla sprawy inkorporacji czeskich „prowincji" do wielkich Niemiec!

MSZ w Bonn wystrzega się mieszania w tego rodzaju kontrowersje. Natomiast reprezentanci tego ministerstwa interesują się bardzo sprawami wpływu, jaki wywierają Niemcy sudeccy na emigrantów mniejszych narodów. Cel jest jasny: przeszkodzić antyniemieckiej propagandzie, jaka się ujawnia w polskich i czeskich audycjach „Wolnej Europy". Wielu Niemców protestowało przeciw tym audycjom. Ogólnie rzecz biorąc, oficjalna polityka NRF w stosunku do granic państwowych i do mas wysiedleńców ze wschodu przedstawia dziwny amalgamat. Rząd niemiecki jest prowadzony przez Niemca nadreńskiego, którego lojalność rozdzielona jest pomiędzy katolicką Europę (co to jest katolicka Europa, tego autorka nie precyzuje), Kościół i zachodnie Niemcy. Jego MSZ natomiast prowadzi oportunistyczną politykę, która wykorzystuje jak tylko może stare rasowe antypatie oraz antykomunistyczne nastroje w Stanach Zjednoczonych. Można by powiedzieć, że istnieje sprzeczność między MSZ a ministerstwem dla spraw uchodźców, ponieważ to ostatnie ma za zadanie włączenie uchodźców w życie zachodnich Niemiec. Wszyscy razem nie uznają granicy Odra-Nysa, chociaż zdają sobie sprawę z tego, że sukcesy na polu integracji uchodźców i wysiedleńców prędzej czy później podważą chęć i potrzebę rewizji tej granicy.

Jest możliwe — sądzi Elisabeth Wiskemann — że postępowanie polityki niemieckiej opiera się na przekonaniu, iż „teraz musimy uróść w siłę, używając Adenauera jako tarczy; aktualnie możemy dyskutować nieistotne zmiany graniczne i możemy się zgadzać na to, że Prusy Wschodnie są stracone na zawsze. Później, gdy osiągniemy odpowiednią siłę będzie dla nas bez znaczenia, czy uchodźcy i wysiedleńcy się osiedlili, czy też nie. Mając bowiem własną armię, będziemy mogli wyzyskać nową sytuację, by dostać z powrotem coś w rodzaju granic z r. 1914 — w imię Niemiec lub w imię Europy".

Mimo wielkich wysiłków ze strony przywódców uchodźców w celu stworzenia z nich osobnej grupy społecznej *(Heimatsvertriebene)* masy uchodźców wtapiają się w życie Niemiec zachodnich coraz lepiej w miarę rozwoju ekonomicznego tego kraju. Ludzi żyjących w barakach jest coraz mniej, nie stanowią już problemu.

Inteligencja uchodźcza przejawia dużą aktywność. Stworzono kilka poważnych ośrodków naukowych zajmujących się sprawami naszych ziem zachodnich. Warto wymienić najważniejsze: tzw. „Göttinger Arbeitskreis" (założony przez dra Fr. Hoffmanna, b. kuratora uniwersytetu Alberta w Królewcu) wydaje wiele publikacji najróżniejszego rodzaju — od biuletynów do podręczników szkolnych — mających na celu dostarczanie wiadomości o każdym problemie związanym z wysiedleńcami zza Odry i Nysy. Dzięki tym pracom opinia publiczna może się w pełni informować o cierpieniach uchodźców lub zaniedbaniach gospodarczych na naszych ziemiach. Oczywiście informacje te nie zawsze są obiektywne. Przy okazji mała ciekawostka: wydali oni nawet biografię Korfantego. Ponadto „Göttinger Kreis" wydaje „Jahrbücher der Albertus Universität".

Ponieważ placówka ta, związana z królewieckimi pracownikami naukowymi, nastawiona jest na zagadnienia aktualne, w r. 1950 utworzono inny ośrodek badań, o bardziej akademickim zabarwieniu, pod nazwą „Johann Gottfried Herder Institut" (w Marburgu na Lahną). Perfidia nazwy Instytutu polega na tym, że jest on instytucją *par excellence* rewizjonistyczną, natomiast Herder (pochodzący z Prus Wschodnich) okazywał romantyczne sympatie dla wyzwolenia Słowian. W Instytucie tym schroniło się wielu profesorów z Gdańska i Wrocławia. Wydaje on miesięcznik „Wissenschaftlicher Dienst" (założony w styczniu 1951 r.) gdzie umieszcza się przekłady i wyciągi z naszych i czechosłowackich dzienników i periodyków. Instytut Herdera publikuje również „Wissenschaftliche Übersetzungen", gdzie ukazują się tłumaczenia naszych i czesko-słowackich książek, oraz „Wissenschaftliche Beiträge zur Geschichte und Landeskunde Ost-Mittel Europas". Trzecią instytucją tego rodzaju jest „Nordostdeutsche Akademie" w Lüneburgu, która zajmuje się wszelkimi kwestiami związanymi z tzw. niemieckim wschodem.

Poza tymi głównymi placówkami naukowo-rewizjonistycznymi, pracującymi w ścisłym porozumieniu z organizacjami wysiedleńców, sprawami wschodnimi zajmują się różne uniwersytety. Np. przy uniwersytecie zachodnio-berlińskim istnieje „Ost-Europa Institut", w NRF wydaje się pod patronatem amerykańskim tygodnik „Ost-Probleme". Warto też wspomnieć, że istnieje i grupa wysiedleńców katolików, pochodzących z Sudetów; mają oni swą centralę w Monachium. Grupa ta nosi nazwę „Die Acker Gemeinde" i wydaje kwartalnik „Der neue Ackermann". Wydała też wiele broszur. Jej publikacje różnią się od innych większą powściągliwością.

Istnieje wiele organizacji wysiedleńczych, często mocno skłóconych ze sobą. Ogólnym ich dążeniem jest zachowanie więzi społecznej pomiędzy wysiedlonymi. Istniejące przedstawicielstwa uchodźców w parlamencie nie mają jednak w obecnym Bundestagu znaczenia. Mimo po-

stępy integracji mówi się jednak o tworzeniu w Bundeswehrze pułków śląskich, wschodnio-pruskich itd.

Trzeci ważny problem, to stanowisko wielkich mocarstw w sprawie naszych granic. Z omawianej książki wynika jasno, że począwszy od października 1943 r. Związek Radziecki i Anglicy godzili się na wschodnią granicę Polski na linii Curzona, natomiast co do zachodniej granicy panowały ciągłe kontrowersje. Premier Churchill już na konferencji teherańskiej zaproponował granicę wschodnią na linii Curzona, natomiast o zachodniej mówił mgliście, nie postulując powiększenia polskiego terytorium w Prusach Wschodnich i na Śląsku. Zarówno na konferencji teherańskiej jak i jałtańskiej sprawa polska była najtrudniejszym tematem obrad. Na konferencji jałtańskiej wymieniono na ten temat 8 tysięcy słów między Stalinem, Churchillem i Rooseveltem, a z 8 plenarnych posiedzeń dyskutowano o sprawach polskich na 7 posiedzeniach. Elisabeth Wiskemann uważa, że najbardziej zdumiewającą rzeczą w ciągu rozmów teherańskich była ujawniona przez Churchilla nieznajomość geografii. Nie rozróżniał on dwóch rzek Nys. Na konferencji teherańskiej mówiono o naszej granicy w dolinie Odry. Sprawę wysiedlenia Niemców postawiono w Teheranie jako konieczność rozwiązania problemów narodowościowych w niektórych punktach. Na konferencji jałtańskiej premier Churchill — jak twierdzi złośliwie autorka — znalazł już czas, by się poinformować co do zachodzącej różnicy pomiędzy Nysą łużycką a kłodzką i o tym, że pomiędzy tymi dwiema rzekami żyło wówczas 3 miliony Niemców. W Jałcie, mimo 8 tysięcy słów, zostawiono znowu sprawę polskich granic zachodnich otwartą. Ani bowiem Brytyjczycy ani Amerykanie nie chcieli się zgodzić na granicę na Nysie łużyckiej. Ta ostatnia była dla nich kością w gardle nie do przełknięcia. Dopiero na konferencji poczdamskiej sojusznicy zgodzili się na linię Odra-Nysa łużycka, oraz na wysiedlenie Niemców z Polski, przy czym formułka zgody zawiera formalne zastrzeżenie ostatecznego uznania naszej zachodniej granicy dopiero na konferencji pokojowej. E. Wiskemann uważa jednak, że granica ta wydaje się być ostateczną.

*

Wnioski z lektury narzucają się same. Nie wracając do popełnionych błędów w dziedzinie naszej polityki na Ziemiach Odzyskanych trzeba stwierdzić, że nasza znajomość problemów niemieckich i odpowiednia propaganda przedstawia się bardzo mizernie — zwłaszcza w porównaniu z działalnością niemieckich rewizjonistów. Potrzeba niewątpliwie wielkiej intensyfikacji badań naukowych poświęconych obydwu państwom niemieckim oraz licznych publikacji — zwłaszcza w językach obcych.

A poza tym warto autorkę *Germany's Eastern Neighbours* zaprosić do Polski i udostępnić jej wszelkie dokumenty. Może to zachęci ją do opracowania nowego, poprawionego wydania swej pracy.

Jan Włodek

JERZY ZDZIECHOWSKI

PANOWANIE DOLARA

DROGA DO SZCZYTU

Gdy w okresie drugiej wojny cały ciężar spoczął na barkach Wielkiej Brytanii, w rozległym świecie walut, wprzężonych do kapitalistycznego rydwanu, królewskie berło przeszło w ręce dolara. [1]

Funt szterlingów u szczytu ongiś swej potęgi posiadał wszystkie niezbędne atuty, by panować jako światowa miara wartości. Anglia rozsiewała po świecie funty, płacąc za importowane w ogromnych ilościach towary, a jednocześnie na wielką skalę lokowała kapitały zagranicą. Przed pierwszą wojną suma takich kapitałów przedstawiała siłę nabywczą mniej więcej równą dzisiejszym 60 miliardom dolarów.

Ostatnia wojna światowa uszczupliła znacznie rolę funta na międzynarodowych rynkach. Dolar jeszcze przed rozpoczęciem przez Stany Zjednoczone działań wojennych zaczął już na tych rynkach wysuwać się na czoło. Zapasy złota w Ameryce oddawna stale wzrastały. Z wartości 2 miliardów dolarów w 1915 r. te rezerwy doszły do 20 miliardów w r. 1945. Z chwilą wejścia Stanów Zjednoczonych do walki zbrojnej i stanięcia u boku Anglii potrafiły one zapewnić dolarowi, umiejętnym finansowaniem potrzeb sojuszników, prawo do panowania na światowych rynkach.

Z chwilą zakończenia wojny Wielka Brytania znalazła się w obliczu bardzo poważnych zobowiązań, zaciągniętych u niektórych państw Wspólnoty Brytyjskiej, ale także i w Egipcie. To zadłużenie powstało na tle dostaw wojennych, a szacowano je na sumę około 15 miliardów dolarów. Komisja, powołana przez Izbę Reprezentantów w Waszyngtonie w 1948 r., w sprawozdaniu o sytuacji w Europie wspomina o tych zamrożonych w Wielkiej Brytanii zaległościach

[1] Artykuł niniejszy, nadesłany nam przez min. Zdziechowskiego z Londynu, ukazał się również w wersji francuskiej w dziale ekonomicznym paryskiego dziennika „Le Monde" (nry z 7 i 8 lutego br.).

nazywając je „kamieniami młyńskimi zawieszonymi u szyi brytyjskiego gospodarstwa".[2] A przecie te ogromne sumy posłużyły na pokrycie wydatków, związanych z osiągnięciem wspólnego zwycięstwa.

To ogromne zadłużenie po zakończeniu wojny odjęło Wielkiej Brytanii zdolność finansowego promieniowania poza obszarem Wspólnoty szterlingowej, to też układ ekonomiczny w Bretton Woods w 1945 r. był wyrazem pogodzenia się zachodniego świata z dominującą na świecie rolą dolara, związanego ze złotem niezmienną od 1934 r. ceną złota. Dynastia pozłoconego w ten sposób dolara objęła tron monetarny. Rezerwy Stanów Zjednoczonych w złocie wynosiły już wówczas 60% światowych zapasów (z wyłączeniem złota w Związku Radzieckim).

PO DWUNASTU LATACH

W ciągu tych ostatnich dwunastu lat gospodarcza i finansowa potęga Stanów Zjednoczonych stale z roku na rok wzrastała. Na ten wyjątkowy rozwój ich produkcji złożyły się zarówno niezmierne bogactwa tego kraju, jak i zalety ludności, a także ogromne sumy corocznie przeznaczane dla badań technicznych. Roczny dochód narodowy wzrósł w ciągu dziesięciu lat z 260 miliardów dolarów w 1947 r. do 420 miliardów w 1956 r. W tym jednak rachunku należy uwzględnić spadek siły nabywczej dolara, który w tym czasie nastąpił. Wskaźnik cen hurtowych, wynoszący 50 w 1939 r. podniósł się do 78 w 1946 r. i do 110 w 1955 r.

W podziale tego dochodu narodowego uderza wielkość części zużywanej corocznie na inwestycje na rynku wewnętrznym, szczególnie gdy ją porównamy z rozmiarami kapitałów prywatnych wędrujących zagranicę. Wtedy gdy te inwestycje pochłonęły w 1954 r. 50 miliardów dolarów, a w 1955 — 56 miliardów dolarów, wywóz kapitałów prywatnych zagranicę osiągał w tych latach zaledwie rocznie 300 milionów. Cyfry te odsłaniają jedną z najbardziej charakterystycznych cech amerykańskiego gospodarstwa: nie ponosić ryzyka na obszarach obcych, korzystać w całej pełni z wielkich zysków, które zapewnia rynek wewnętrzny, chroniony murem ustawodawstwa.

Dollar standard jako system monetarny, opiera się na potędze amerykańskiej produkcji, na nadmiarze rezerw w złocie, na stałych nadwyżkach wywozu nad wwozem i na bardzo zręcznej technice finansowej. O rozmiarze nadwyżek w bilansie handlowym sądzić można z cyfr za lata 1954 i 1955, gdy wyniosły one łącznie za te

[2] *Final Report on Foreign Aid of the House Select Committee*, N 336.

dwa lata 8,5 miliardów dolarów. W ten sposób powstał ten chroniczny deficyt świata w obrotach ze Stanami Zjednoczonymi. Obciąża on głównie Zachodnią Europę i wszystko dotąd wskazuje na to, iż ma on cechy zła nie do uleczenia. W języku potocznym przezwano go — *dollar gap*. Wywozić stale więcej niż się importuje, sztucznie popierać wywóz, bronić się przed wwozem, wznoszeniem barier ochronnych, a ponadto nie wywozić kapitałów jest polityką, która musi w swych skutkach prowadzić do zadłużania się świata wobec Stanów Zjednoczonych. Brak dolarów na świecie dla spłacania tego rodzaju zobowiązań wskazuje na wadliwość systemu i nadaje mu cechy prowizorium.

Przez 10 lat (1946—1955) te nadwyżki bilansowe na rzecz Stanów Zjednoczonych osiągnęły łącznie 44 miliardów dolarów. W tym samym czasie pomoc Stanów Zjednoczonych na rzecz świata w postaci tylko dotacji, a więc z wyłączeniem kredytów, wyraziła się sumą 42,6 miliardów. [3] W tej cyfrze pomoc okazana Europie Zachodniej osiągnęła 30 miliardów dolarów. Z tego zestawienia wynika, że sumy corocznie uchwalane przez Kongres na rzecz pomocy zagranicznej pokrywają dosyć dokładnie deficyt płatniczy świata wobec Stanów Zjednoczonych. Pomoc amerykańska, udzielana w ten sposób, częściowo zaradza wadliwości systemu, łagodzi skutki sztucznej sterylizacji złota, zapewnia dolarowi jego przewodnią rolę i pozwala Stanom Zjednoczonym ciągnąć z takiego stanu rzeczy szereg bardzo poważnych korzyści. Wśród nich utrzymanie na wysokim poziomie skali zatrudnienia należy napewno do cenniejszych.

Tego rodzaju świadczenia corocznie uchwalane stanowią właściwie rodzaj premii ubezpieczeniowej wypłacanej krajom, w rozwoju których Stany Zjednoczone są politycznie i gospodarczo zainteresowane. Przy dochodzie narodowym, wynoszącym w okresie ostatnich 10 lat przeciętnie 310 miliardów dolarów rocznie, taka premia nie jest zbyt wygórowana, bo stanowi zaledwie 1,3% tego dochodu. Gospodarstwo amerykańskie łatwo ją znosić może tymbardziej, że służy ona do pokrywania nadwyżek wywozu nad wwozem, przy powstaniu których eksporter amerykański już zgarnął bardzo poważne zyski.

UZALEŻNIENIE

Nie chciałbym w tej analizie pomniejszać roli, która przypadnie w historii planowi Marshalla. Był on napewno wyrazem najszlachetniejszych uczuć. Jednakże ta okresowa pomoc udzielana światu musiała nabrać cech trwałości, bo ona właśnie zapobiega skutkom

[3] *Message from the President of the U. S.*, **February 10, 1956.**

ukrytej w systemie wady i daje możność dolarowi odgrywania roli światowego miernika.

Jeśli uprzytomnić sobie stopień zależności Europy Zachodniej w zakresie produkcji energetycznej, jeśli obliczyć te dziesiątki milionów ton węgla amerykańskiego, sprowadzanego corocznie, a do tego dodać, że to Waszyngton dyktuje ceny surowców niezbędnych dla produkcji i obrony Europy i że nie ma ona możności zrównoważenia swego bilansu płatniczego bez szczodrych darów amerykańskich, to staje się widocznym, że Zachodnia Europa zaczyna przybierać cechy obszaru schodzącego do roli wasala Stanów Zjednoczonych. Czyż los, który przypada dziś w udziale funtowi i frankowi, tym walutom odgrywającym w wymianie międzynarodowej tak wielką rolę, nie uzasadnia tego twierdzenia?

W dobie, gdy w czasie spotkania Eisenhowera z Macmillanem doszło wreszcie do odkrycia „współzależności" w polityce i w stosunkach gospodarczych między obu krajami, warto się przyjrzeć z bliska jak ta „współzależność" wygląda w praktyce na gruncie zagadnień monetarnych i finansowych. Wystarczy zapoznać się z losem funta i franka w konstelacji dolara.

Wydana w Londynie w grudniu zeszłego roku oficjalna broszura o znamiennym tytule „Funt i nasza przyszłość" została opatrzona szeregiem rysunków przemawiających do wyobraźni. Na jednym z tych rysunków widzimy gosposię z koszem naładowanym zakupami stojącą w 1947 r. w sklepie przed kasą i wpłacającą bilet funtowy. Kasa zwraca jej 7 szylingów, czyli prawie jedną trzecią funta. W 1957 r. za te same produkty brytyjka musi zapłacić pełnego funta. To, co kosztowało 13 szylingów, kosztuje obecnie 20.

Londyn jest głównym bankierem szterlingowego obszaru, którego obroty w handlu zagranicznym przekraczają jedną trzecią światowego handlu. Broszura napomyka, iż w księgach tego bankiera, jako depozyty świata, figuruje suma czterech miliardów funtów. A tymczasem ten wielki bankier posiada, jako rezerwy w złocie i dolarach, tylko 850 milionów funtów.

Fakt, iż tak wielkie finansowe centrum, rozwijające działalność w skali światowej, rozporządza środkiem płatniczym w tym stopniu — jako siła nabywcza — niestałym, wskazuje rolę, do której zostało ono zepchnięte w systemie *dollar standardu*. Otrzymywane dotacje oraz zadłużenie w stosunku do Stanów Zjednoczonych i Międzynarodowego Funduszu Monetarnego świadczą dobitnie o stopniu uzależnienia funta od kierowniczego ciała gwiaździstego — dolara. Słowa wypowiedziane przez brytyjskiego kanclerza skarbu we wrześniu zeszłego roku na posiedzeniu Międzynarodowego Funduszu Monetarnego wskazują na niebezpieczeństwa, które Wielkiej Brytanii

na tle zagadnień monetarnych zagrażają. Dał on do zrozumienia, iż o ile równowaga nie zostanie przywrócona, Wielkiej Brytanii zagrażać będzie bezrobocie.

Gdy dalej wzrok skierujemy ku Francji, to mamy przed oczami obraz, skreślony w listopadzie zeszłego roku na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego przez ministra skarbu Pflimlina. Przyznał się on, że rezerwy, poza zapasami w złocie Banku Francji o wartości już tylko 576 milionów dolarów, wynosiły wówczas sumę 80 milionów dolarów. Podobnie jak i jego kolega brytyjski, francuski minister skarbu przestrzegał, że o ile nie będą w porę przedsięwzięte odpowiednie kroki, to poczynając od stycznia Francja może być zmuszona do ograniczenia wwozu niezbędnych surowców, co musi w skutkach wywołać bezrobocie.

W polityce gospodarczej i finansowej Wielkiej Brytanii i Francji możnaby niejedno w ostatnich latach poddać surowej krytyce, ale te błędy same przez się nie mogłyby spowodować tak poważnych zaburzeń, gdyby *dollar standard*, narzucony siłą potęgi amerykańskiej produkcji i rozmiarami zapasów złota nie miał w sobie wad, które często stają się źródłem wstrząsów, szkodzących interesom całości światowego gospodarstwa.

ANALIZA SYSTEMU

W 1947 r., gdy w Stanach Zjednoczonych czyniono przygotowania do wystąpienia z planem Marshalla, grono rzeczoznawców otrzymało zlecenie dokładnego opracowania tego zadania i przedstawienia wniosków komisji finansowej Senatu. W sprawozdaniu tym znajdujemy znamienne stwierdzenia, które warto przypomnieć. „W niektórych krajach, pisali autorzy tego dokumentu, rezerwy złota znalazły się poniżej poziomu, który nakazują względy ostrożności... Gdy rezerwy krajów spadają poniżej poziomu warunkującego bezpieczeństwo, nie jest wykluczone, że kraj może pomimo tego utrzymać swą finansową równowagę, jednakże ponosi on ryzyko gospodarczego załamania, a może nawet i politycznego, a to na skutek objawów braku zaufania powstających zarówno wewnątrz kraju, jak i zagranicą". [4]

W innej urzędowej publikacji znajdujemy uwagi, które wyraźnie odnoszą się do Wielkiej Brytanii i Francji: „Jest jasnym, że dodatkowe fundusze będą musiały być dostarczone krajom, które zużyły znaczną ilość swych rezerw w złocie i dolarach dla walki z mocarstwami Osi, lub które na skutek szkód przez wojnę wywołanych,

---

[4] *Report Submitted in December 1947 by the National Advisory Council on International Problems.*

znalazły się w obliczu trudności przewyższających te, które miały do rozwiązania przed wojną". [5]

Jeżeli gdzie, to szczególnie na posiedzeniu Międzynarodowego Funduszu Monetarnego należałoby dzisiaj przypomnieć wnioski, sformułowane przez ekspertów amerykańskich. Słusznie stwierdziły one wówczas: „że zużywanie rezerw monetarnych dla pokrywania deficytów w bilansach płatniczych musi na dłuższą metę opóźniać powrót do wolnej wymiany walutowej, a nawet zagrażać osiągnięciu tego celu". Po dziesięciu latach działalności Funduszu Monetarnego do wolnej wymiany walutowej jest równie daleko, jak w chwili powołania do życia tej instytucji.

We wrześniu roku zeszłego, gdy chaos monetarny w Zachodniej Europie przybrał dla równowagi społecznej postać dość niepokojącą, a poziom rezerw w złocie w Wielkiej Brytanii i Francji poważnie się obniżył, przedstawiciel skarbu amerykańskiego, p. Anderson, na posiedzeniu dyrektorów M. F. M. odezwał się w te słowa: „To, co Stany Zjednoczone mogą zrobić najważniejszego dla pobudzenia równowagi handlowej w świecie, to utrzymywać własne gospodarstwo na wysokim poziomie, unikając przy tym inflacji". Oświadczenie takie, złożone w tym właśnie czasie w imieniu kraju, który ześrodkował w swym ręku 60% światowych zapasów złota (bez Związku Radzieckiego), sprawić musiało duży zawód. Słowa p. Andersona warte są przez to zapamiętania, iż podkreślają stopień uzależnienia „Europy". Znaczą one poprostu: możemy zrobić tylko jedno — być silnymi, bo wiemy, do jakiego stopnia wasze zdrowie zależy od naszego.

Tak zwana „recesja" w gospodarstwie Stanów Zjednoczonych, z którą należy się tym bardziej liczyć w systemie *dollar standardu,* że nie potrafiono zapobiec inflacji, może być dla Stanów Zjednoczonych chorobą o przejściowym charakterze, ale w Europie, dotkniętej chronicznym deficytem płatniczym, może ona wywołać najostrzejszy kryzys.

Według danych, ogłoszonych w 1951 r. przez Organizację Narodów Zjednoczonych recesja amerykańska w rodzaju tej, która dotknęła Stany Zjednoczone na przełomie lat 1937—38 i która spowodowała spadek zatrudnienia tylko o 40%, obniżając import o jedną trzecią, gdyby miała się powtórzyć, uszczupliłaby zasoby świata o 10 miliardów dolarów. Największe straty poniosłaby Europa.

Jeżeli zastanowimy się poważnie nad zaburzeniami natury społecznej i przez to samo politycznej, które za sobą pociągnąłby kryzys gospodarczy o takim podłożu, a wykluczyć go nie można, to

[5] *Department of Commerce, Ec. Series,* N 65, 1948.

jakże lekkomyślną wydaje się polityka niektórych kierowników życia gospodarczego na Zachodzie. Z mieczem Damoklesa zawieszonym nad Europą, uwrażliwioną na odchylenia koniunkturalne w Stanach Zjednoczonych, przystępują oni do budowania „Wolnego Rynku", planują jego zrealizowanie w ciągu lat piętnastu i sprzeczają się namiętnie o szczegóły w projektowanym układzie o „obszarze wolnej wymiany". Robią to zapominając, że Europa nie ma warunków dla gospodarczej samodzielności.

DROGI NAPRAWY

Pora już wielka sięgnąć do źródeł zła i zastosować środki zaradcze. Należy system monetarny, zrodzony w okresie działań wojennych i dopasowany do okresu zakończenia wojny, przystosować do zmian, które zaszły od tego czasu na świecie, uwzględniając wzrastającą w międzynarodowej wymianie rolę krajów gospodarczo upośledzonych i naglącą potrzebę okazania tym krajom wydatnej pomocy.

Nowy system, stwarzający warunki dla zwalczania inflacji, przy przestrzeganiu zasady pełnego zatrudnienia, musi być oparty na technicznym współdziałaniu tych ośrodków walutowych, których obroty w handlu zagranicznym osiągają obecnie największe rozmiary.

Pozostawiając na boku drażliwe zagadnienie podniesienia ceny złota, narzuconej przez Stany Zjednoczone, trudno nie uznać, że posiadacze złota na świecie zostali na skutek tej ceny narażeni na poważne straty. Ta niezmienna w dolarach od 1934 r. cena złota, skoro siła nabywcza dolara stopniała do połowy, spowodowała u posiadaczy tego metalu ubytek przynajmniej połowy posiadanego mienia.

W nowym systemie monetarnym troszczyć się trzeba będzie o utrzymanie siły nabywczej złota na stałym poziomie. Osiągnąć to można jedynie na gruncie układu i współpracy pomiędzy głównymi ośrodkami monetarnymi na Zachodzie. Wiązać siłę nabywczą złota, jak to ma miejsce obecnie, z losami waluty uzależnionej od zmiennych fluktuacji politycznych i koniunktury gospodarczej nie jest polityką przezorną. Niebezpieczeństwo jest tym większe, gdy taka waluta narażona jest na inflacyjne naciski, spowodowane troską o pełne zatrudnienie, utrzymywaniem zbrojeń na najwyższym poziomie i wytężoną pogonią za nadmiernym dobrobytem.

Minęły czasy, gdy wysokość rezerw w złocie decydowała o dopuszczalnej granicy obiegu pieniężnego. Dzisiaj zadanie tych rezerw jest zupełnie inne. Przy udoskonaleniu techniki monetarnej i przy stopniu szybkości obiegu pieniężnego rozmiary tych rezerw nie są

bez znaczenia jako pokrycie pieniądza, ale prawdziwe przeznaczenie rezerw polega na ich roli przy regulowaniu rozrachunków, związanych z bilansem płatniczym państwa.

Wadliwa gospodarka finansowa może oczywiście prowadzić do uszczuplania, a nawet zaniku rezerw w złocie, ale trudności, z którymi walczą obecnie zarówno Wielka Brytania jak i Francja są w głównej mierze wynikiem powstania w tych krajach po wojnie zagadnień finansowych i gospodarczych bardzo trudnych do rozwiązania przy szczupłych rezerwach w złocie, bez narażenia się na ryzyko inflacji. Trzeba pamiętać, że te zmniejszone zapasy złota skazane zostały ponadto na stratę przynajmniej połowy swej wartości, a więc siły nabywczej, a to na skutek narzuconej ceny złota w dolarach. Należy tu przypomnieć, że od 1937 r. do 1948 r. rozmiary zapasów złota w Stanach Zjednoczonych podwoiły się. Złoto z Europy powędrowało w tym czasie do amerykańskich składnic w forcie Knox.

Niezależnie od wagi dla każdego gospodarstwa, jego wysiłku w zakresie wywozu, prawdziwą miarą roli danego kraju w gronie państw, na barkach których spoczywa światowa wymiana, staje się jego zdolność importowania obcych produktów. Na szczeblu międzynarodowym w interesie ogółu leży tej zdolności w niczym nie osłabiać, gdyż ona właśnie jest źródłem zarobków zgarnianych przez inne gospodarstwa i korzyści czerpanych przez nie ze wzrostu zatrudnienia.

Rzućmy okiem na cyfry. Zdolność wchłaniania obcej produkcji w obszarze szterlingowym (włączając Wielką Brytanię) daje się wymierzyć dla 1956 r. cyfrą 24 miliardów dolarów, we Francji w tymże roku cyfrą 5,5 miliardów dolarów. Dla Stanów Zjednoczonych wynosiła ona w tymże roku tylko 13,5 miliardów dolarów.

W handlu światowym obroty, obliczane w dolarach, w porównaniu do 1937 r. są obecnie cztery razy wyższe. O ileż w tej wzrastającej wciąż wymianie musiały się powiększać zadania Wielkiej Brytanii i Francji. Działo się to wtedy, gdy rezerwy tych państw w złocie i dewizach topniały. A jednak oba te kraje zdołały zapewnić swym produkcjom w okresie ostatniego dziesięciolecia imponującą skalę wzrostu. Niestety za taki wyczyn zapłacono inflacją.

Dla możności importowania obcych towarów szczególnie cenną jest wartość rezerw w złocie. Te rezerwy w złocie osiągnęły w 1957 r. wartość 22,7 miliardów dolarów w Stanach Zjednoczonych, właśnie w kraju, którego ustawodawstwo celne i polityka finansowa zmierzają do ograniczenia wwozu. Te 60% światowych rezerw w złocie, powiadają Amerykanie, słusznie nam się należy, bo konsumpcja nasza obejmuje połowę surowców przez świat wytwarzanych, a na-

sza produkcja równa się połowie światowej produkcji. Słaby to argument. Większość potrzebnych Stanom Zjednoczonym surowców one same posiadają, a wielkość produkcji amerykańskiej ma bardzo odległy związek z rozmiarami rezerw w złocie. Tak jak to już podkreśliłem, tylko zdolność wchłaniania obcych produktów i surowców uzasadniać może konieczność posiadania wielkich zapasów złota.

Niektórzy amerykańscy ekonomiści stają w obronie ustalonej i utrzymywanej od 1934 r. przez Stany Zjednoczone ceny złota w wysokości 35 dolarów za uncję. Twierdzą oni, iż nie należy z faktu, że wszystkie towary i metale w międzyczasie wzrosły w dolarach w dwójnasób, wyprowadzać wniosku o konieczności podniesienia ceny złota. Są oni zdania, że złoto nie jest towarem w ścisłym tego słowa znaczeniu, a jeśli i jest metalem, to metalem o specjalnym charakterze. Cechą jego główną stała się przypadająca mu rola w systemach monetarnych świata. Gdyby nawet stanąć na tym stanowisku, należałoby wtedy zapasy złota traktować jako bogactwa mające służyć dobru ogólnemu. A tymczasem służą one w szczególności interesom jednego kraju uprzywilejowanego przez to, że złoto do niego odpływało w okresie ostatnich lat czterdziestu na skutek dwóch światowych wojen i przewrotów politycznych.

To faktyczne zmonopolizowanie złota, łącznie z decydującym wpływem wywieranym przez Stany Zjednoczone na ceny surowców w krajach gospodarczo niedorozwiniętych, przy możności ponadto dysponowania nagromadzonymi zapasami zbóż, przybrało charakter narzędzia gospodarczego panowania. Jest ono w sprzeczności z zasadą „współzależności" ustaloną jako drogowskaz w rozmowach Eisenhowera z Macmillanem.

Chmury, które na gruncie zagadnień monetarnych i wzrastającej inflacji zaciążyły nad gospodarczym życiem Zachodniej Europy, są objawami zła, wynikającego ze stopnia uzależnienia, do którego w stosunkach z politycznym i gospodarczym olbrzymem — Stanami Zjednoczonymi, została doprowadzona osłabiona Europa.

Prezydent Roosevelt był pierwszym mężem stanu, który zdawał sobie sprawę z roli złota w gospodarstwie światowym. W przemówieniu wygłoszonym 15 stycznia 1934 r. oświadczył on, że rozmiary rezerw złota w Stanach Zjednoczonych uzależnione będą od zmian wynikających z międzynarodowych rozrachunków, jak również na skutek porozumienia między narodami co do podziału rezerw złota. Do porozumienia takiego nigdy nie doszło. Wcześniej czy później wyjdą na jaw w całej pełni wszystkie braki systemu *dollar standardu*, świadczące do jakiego stopnia ma on cechy prowizorium.

Tak zwany *dollar gap*, inaczej mówiąc brak dolarów dla przeprowadzania rozrachunków świata ze Stanami Zjednoczonymi, jest zagadnieniem, które winno być rozwiązane drogą zastosowania

środków organicznej natury. Z taką kłodą u szyi Europa nie może powrócić do gospodarczej równowagi, a leży ona przecie w interesie całego świata. Jeżeli nawet cena złota miałaby dla uniknięcia wstrząsów w gospodarstwie amerykańskim pozostać na obecnym poziomie, to należałoby na drodze porozumienia państw, osiągających w wymianie międzynarodowej największe obroty, ustalić obowiązujące dla uczestników zasady i reguły postępowania w zakresie obrachunków i zagadnień monetarnych, przestrzeganie których mogłoby zbliżać do głównego celu, jakim jest wolna wymiana walutowa.

Zmiany w podziale zapasów złota przy liczeniu się oczywiście z rolą i zadaniami Stanów Zjednoczonych, jako największej gospodarczej potęgi, powinnyby się przyczynić do zapewnienia nowemu systemowi monetarnemu, poddanemu przytym zbiorowemu kierownictwu, trwalszych podstaw.

NA ZAKOŃCZENIE

We wrześniu 1956 r. na posiedzeniu Międzynarodowego Funduszu Monetarnego przewodniczący p. M. A. Carillo Flores, przedstawiciel Meksyku, wypowiedział znamienne słowa: „Wartość dóbr wytwarzanych przez 500 milionów ludzi w Stanach Zjednoczonych, we Wspólnocie Brytyjskiej i w Europie Zachodniej sięga 700 miliardów dolarów, wtedy gdy w krajach mniej gospodarczo rozwiniętych dobra wytwarzane przez 1200 milionów istot ludzkich przedstawiają wartość jedynie stu pięćdziesięciu miliardów dolarów".

W części świata uprzywilejowanej przez los, gdzie panuje dobrobyt, nie zdają sobie dostatecznie sprawy z niebezpieczeństw natury społecznej, które zrodzić mogą zaburzenia monetarne.

W tej drugiej części, upośledzonej, Zachód codziennie traci grunt pod nogami. Już politycznie i gospodarczo odczuwa on skutki nędzy panującej wśród ludów wprzęgniętych do wydobywania bogactw, które mają służyć na użytek żyjących w dobrobycie na innych kontynentach.

Kapitalizm rozwiązał zagadnienie wzrostu produkcji, ale w siłach, którym zawdzięcza ten rozwój, tkwią potężne hamulce dla godziwego podziału tworów pracy ludzi i maszyn.

Dla tryumfu w skali światowej sprawiedliwości społecznej w stosunkach gospodarczych trzeba czegoś więcej niż naprawy monetarnego czy finansowego ładu. Potrzebny jest przewrót natury moralnej. Wtedy dopiero „współzależność" między państwami czy kontynentami straci cechy sloganu przyoblekając się w szatę rzeczywistości.

Jerzy Zdziechowski
Londyn

ADAM BROMKE

EKONOMIA PRZECIWWAGI

I

Amerykanie chętnie określają system gospodarczy panujący w ich kraju mianem kapitalizmu. Istotnie system ten zachował szereg cech, które według utartych pojęć związane są z ustrojem kapitalistycznym. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że współczesna gospodarka amerykańska różni się znacznie od dwóch klasycznych definicji kapitalizmu — nie odpowiada zarówno wizji Adama Smitha jak i Karola Marksa.

Kapitalizm według definicji klasyków liberalizmu to przede wszystkim system wolnej konkurencji. To zbiór wielu drobnych przedsiębiorstw dążących do największego zysku. Ponieważ każde z tych przedsiębiorstw konkuruje z wieloma innymi, przeto jedynym sposobem podwyższenia dochodów jest zdobycie możliwie najszerszego rynku. W tym celu konieczne jest utrzymywanie cen na najniższym poziomie, co znów stwarza konieczność ciągłego ulepszania metod produkcji. W ten sposób ma miejsce nie tylko stały postęp techniczny, ale także powstają warunki najbardziej korzystne dla konsumenta. System wolnej konkurencji — twierdzą klasycy liberalizmu — wyklucza zarówno interwencję ze strony państwa jak i istnienie monopoli. Interwencja państwa jest zbyteczna ponieważ podaż i popyt automatycznie regulują ceny i decydują o najpełniejszym wykorzystaniu istniejących zasobów gospodarczych. Powstawanie monopoli wykluczone jest *ipso facto* przez istnienie wielu przedsiębiorstw.

Współczesna gospodarka w Stanach Zjednoczonych nie spełnia podstawowych warunków ekonomii liberalnej. Nie tylko zasada nieinterwencji państwa w życie gospodarcze została znacznie podważona, ale co ważniejsze, w szeregu podstawowych gałęzi przemysłu zniknął zupełnie system wolnej konkurencji. [1] Zamiast istnie-

[1] Przez istnienie wolnej konkurencji nie mam tu na myśli konkurencji doskonałej, która jest założeniem czysto teoretycznym. Terminu tego używam dla określenia rzeczywistych warunków gospodarczych jakie stanowiły podstawę rozważań Smitha i Ricardo.

nia wielu drobnych przedsiębiorstw, powstały firmy-giganty w dużej mierze zdolne do kontroli podaży, a więc i cen towarów. Niewątpliwie w niektórych dziedzinach życia gospodarczego konkurencja zachowała się po dziś dzień, dominującym jednak typem przedsiębiorstwa w ekonomii amerykańskiej są olbrzymie korporacje. Ich udział w całości produkcji amerykańskiej ocenia się na blisko połowę, a w niektórych działach produkcji jest on nawet znacznie większy. W przemysłach stalowym, aluminiowym, szklanym, maszyn rolniczych, samochodowym, mięsnym i szeregu innych, wielkie przedsiębiorstwa skoncentrowały w swoim ręku dwie trzecie produkcji. [2] Co więcej, nie stosują się one do zasady maksymalnej produkcji po najniższych cenach. Przeciwnie, często uważają za korzystne ograniczenie swojej wydajności. Pod wieloma więc względami gospodarka amerykańska zdaje się odpowiadać systemowi monopolistycznemu.

Wbrew jednak wszelkim przypuszczeniom system ekonomiczny w Stanach Zjednoczonych nie pokrywa się także z kapitalizmem w wizji klasyków marksizmu. Marks atakował kapitalizm nie za zasady wolnej konkurencji, ale za jej wady — za tendencje do degeneracji w system monopoli. W pierwszym rzędzie sprzeciwiał się on podziałowi społeczeństwa na dwie klasy i związanemu nieuchronnie z gospodarką monopolistyczną zubożeniu mas.

Amerykański ustrój gospodarczy nie jest jednak czystym systemem monopolistycznym, ponieważ równolegle istnieje system konkurencji. Nie wydaje się być również stadium gospodarki kapitalistycznej prowadzącym do monopoli chociażby dlatego, że uniemożliwia to ustawodawstwo antymonopolowe. Zdecydowana większość olbrzymich koroporacji powstała już dość dawno i od lat ich udział w produkcji danej gałęzi przemysłu pozostaje mniej więcej na tym samym poziomie. Nie stanowią więc one monopoli w ich klasycznej definicji. Nie tylko dlatego, że nie są wyłącznym producentem danego towaru, ale również dlatego, że nie dążą do opanowania całego rynku.

Jednocześnie w Ameryce klasy pracujące nie ubożeją, ale wręcz przeciwnie, ich stopa życiowa ulega stałej poprawie. W latach 1840—1930 płace robotnicze wzrosły siedmiokrotnie, podczas gdy zwyżka cen wyniosła tylko dwadzieścia procent. [3] Poziom życia przeciętnego Amerykanina jest dziś wyższy niż kiedykolwiek w przeszłości.

---

[2] John Kenneth Galbraith, *American Capitalism*, Houghton Mifflin Co. Publishers, 1952, s. 42.

[3] *The American Competitive Enterprise System*, Chamber of Commerce of the United States, 1947, s. 12.

W myśl bardziej już nowoczesnej krytyki kapitalizmu przez marksistów gospodarka amerykańska powinna przechodzić przez okresowe kryzysy. Zgodnie z tym założeniem w okresie powojennym wierzyło w nadejście depresji nie tylko szereg ekonomistów marksistowskich, ale i zdecydowana większość przemysłowców amerykańskich. Wskazywała na to nie tylko polityka gospodarcza wielkich firm i zachowanie się giełdy. W r. 1946 popularny tygodnik „Fortune" zapytał w poufnej ankiecie piętnaście tysięcy czołowych kierowników życia gospodarczego czy spodziewają się kryzysu. Z zapytanych 58% odpowiedziało pozytywnie, a tylko 28% odrzuciło możliwość powtórzenia się depresji z lat trzydziestych.[4] Wbrew jednak pesymistycznym przewidywaniom kryzys nie nadszedł. Nie znaczy to oczywiście, aby ekonomia amerykańska nie przechodziła przez okresowe zahamowania. T. zw. recesja — zwolnienie tempa ekspansji gospodarczej — wystąpiła w latach 1948—49, a następnie pod koniec r. 1953. W obu wypadkach jednak recesja szybko ustąpiła miejsca nowej fali prosperity. Naturalnie trudno jest ustalić w jakim stopniu przyczyniły się do tego antydepresyjne środki ekonomiczne, a w jakim wpłynęły napięte stosunki międzynarodowe, które spowodowały poważne wydatki zbrojeniowe i szeroki program pomocy dla zagranicy.

Ostatnie zahamowanie gospodarcze, które dobiega już prawie roku jest najpoważniejszym ze wszystkich jakie miały miejsce w okresie powojennym. Wydaje się jednak wysoce nieprawdopodobne, aby obecna recesja obrócić się mogła w depresję na skalę tej, jaka miała miejsce w latach trzydziestych — aczkolwiek szereg ekonomistów jest zdania, że potrwać ona może jeszcze dłuższy okres czasu. Uważają oni, że nie należy oczekiwać następnej fazy intensywnego rozwoju gospodarczego przed upływem paru lat; w międzyczasie zaś nastąpi stabilizacja dostosowana do ogólnego wolniejszego tempa produkcji. W każdym wypadku równowaga jaką gospodarka amerykańska wykazuje od r. 1945 nie powina zostać zasadniczo zachwiana.

Współczesna ekonomia amerykańska w swojej strukturze i funkcjonowaniu nie odpowiada więc żadnemu z klasycznych sformułowań systemu kapitalistycznego. Najbardziej trafną próbą określenia podstaw teoretycznych gospodarki typu amerykańskiego były wydane we wczesnych latach trzydziestych prace Prof. Chamberlina z Harvard i Prof. Robinsona z Cambridge.[5] Zarówno Chamberlin jak

---

[4] J. K. Galbraith, *American Capitalism*, s. 70.

[5] Edward Hastings Chamberlin, *The Theory of Monopolistic Competition*, Harvard University Press, 1932.

Joan Robinson, *The Economics of Imperfect Competition*, Macmillan Co., 1933.

i Robinson zgadzają się, że nowoczesna ekonomia kapitalistyczna nie jest ani systemem wolnej konkurencji ani systemem monopoli. Posiada ona cechy ich obydwu i dlatego nazywają ją systemem „konkurencji monopolistycznej", „konkurencji niedoskonałej", bądź też „oligopolem".

II

Oligopolem nazywa Prof. Chamberlin warunki, w których: „liczba producentów na rynku jest większa niż jeden, ale nie na tyle duża, aby uniemożliwić wpływ każdego z nich na rynek".[6] Określenie to pasuje bardzo dokładnie do sytuacji w jakiej znajduje się większość gałęzi przemysłu amerykańskiego. Rynek na szereg podstawowych towarów podzielony jest pomiędzy kilka wielkich korporacji, z których każda jest w stanie swoimi decyzjami wpływać na zwyżkę lub obniżenie cen. Mniejsze firmy, których metody produkcji z natury rzeczy są bardziej prymitywne, nie mogą konkurować z korporacjami-olbrzymami i jeżeli nawet utrzymują się na rynku to muszą dostosowywać ceny swoich produktów do cen narzuconych im przez potężnych rywali. Wejście nowych firm na rynek wymaga tak ogromnego nakładu kapitału, że w praktyce się nie kalkuluje. W szeregu nowych gałęzi przemysłu warunki układają się podobnie. W pierwszym okresie na rynek wchodzi wielu konkurentów. Stopniowo postępuje konsolidacja aż do momentu kiedy osiąga ona takie rozmiary, że poszczególne firmy nie dysponują odpowiednimi środkami finansowymi aby wzajemnie się wykupić. Powstaje znów system ustabilizowanego oligopolu.[7]

Monopolistyczny charakter gospodarki amerykańskiej zwiększa jeszcze tendencja do ustalania przez poszczególne korporacje podobnych lub identycznych cen. Formalne zawieranie umów dotyczących cen produktów jest uniemożliwione przez ustawodowstwo antymonopolowe. Firmy, które zawierają pomiędzy sobą oficjalny układ,

---

[6] E. H. Chamberlin, *The Theory of Monopolistic Competition*, s. 70.

[7] Naturalnie koncentracja kapitału w rękach przemysłowców nie ogranicza się tyklo do jednej gałęzi przemysłu. Często te same osoby czy grupy osób przez posiadanie większości akcji kontrolują działalność korporacji w różnych dziedzinach produkcji. Za przykład może tu służyć interwencja rządu w związki pomiędzy firmą *Du Pont* (przemysł chemiczny) i *General Motors* (przemysł samochodowy).

Istnienie pewnej ilości drobnych akcjonariuszy nie zmienia w niczym faktu kontroli przedsiębiorstw przez posiadaczy większości akcji. Aby móc wpływać na działalność przedsiębiorstwa drobni akcjonariusze musieliby nie tylko posiadać ponad pięćdziesiąt procent akcji, ale również sprawną organizację, która umożliwiłaby im zajęcie jednolitego stanowiska.

określone są mianem monopolu i narażają się na interwencję ze strony rządu. W praktyce jednak wielkie korporacje z powodzeniem stosują ten system. Zwyżka lub obniżenie cen następuje prawie równocześnie we wszystkich firmach. Działają tu już nie formalne układy, ale po prostu zasada własnego interesu, który wyklucza konkurencję za pomocą zniżki cen. Obniżenie cen jednej firmy w celu zdobycia większego rynku zmusza inne przedsiębiorstwa do zastosowania tego samego środka i w rezultacie może prowadzić do t. zw. wojny cen, która rujnuje bez wyjątku wszystkich konkurentów. Korporacje-olbrzymy rozumieją dobrze wspólnotę swoich interesów i jak ognia unikają tej metody. W rezultacie ich ceny są w dużym stopniu jednolite i nieelastyczne. Skoro wielkie firmy nie potrzebują obawiać się konkurencji cen, nie istnieje również zachęta do maksymalnej produkcji. Ideałem prywatnego przedsiębiorstwa amerykańskiego jest mniejsza produkcja po wyższych cenach.

Jeżeli konkurencja pomiędzy poszczególnymi korporacjami wyklucza obniżanie cen, nie znaczy to wcale, aby nie wyrażała się w innych sposobach walki o rynek. Metody te, to przede wszystkim ulepszanie jakości produktów oraz kolosalny wysiłek sprzedaży. Wbrew założeniom szkoły liberalnej wielkie przedsiębiorstwa nie tylko nie zaniedbują postępu technicznego, ale przeciwnie, kładą nań ogromny nacisk. Przy zaawansowaniu dzisiejszej techniki wszelkie inowacje w metodach produkcji wymagają odpowiednich warunków i wysoce wykwalifikowanego personelu. Potrzebny jest więc do tego poważny wkład kapitału, na który mogą sobie pozwolić tylko bogate firmy. Dodać należy, że w życiu gospodarczym Stanów Zjednoczonych nie istnieje skuteczny sposób na zabezpieczenie ulepszeń technicznych przed ich naśladowaniem przez innych konkurentów. Wszelkie inowacje są bardzo szybko wykorzystywane i przez inne firmy. Upowszechnia to ogromnie wszystkie wynalazki i zmusza do szukania nowych. W rezultacie postęp techniczny stanowi poważną rekompensatę zmniejszenia wydajności spowodowanej przez istnienie quasi-monopoli.

Drugim sposobem konkurencji powszechnie przyjętym w Ameryce jest maksymalna wydajność metod sprzedaży. Reklama rozbudowana została do monstrualnych wprost rozmiarów. Prasa, radio, a ostatnio telewizja utrzymują się w praktyce z zysków z reklamy. Wysiłek jaki poszczególne firmy wkładają w przekonanie klienta o zaletach swoich towarów jest zupełnie niewspółmierny do rzeczywistych różnic pomiędzy poszczególnymi produktami. Odnosi się to nie tylko do wytworów bardziej technicznie skomplikowanych jak samochody, lodówki czy telewizory, ale też stosowane jest w odniesieniu do przedmiotów codziennego użytku jak pasta do zębów,

żyletki czy papierosy. Obok reklamy rozpowszechniony jest szeroko w Stanach Zjednoczonych sposób sprzedaży przez agentów. W tym celu istnieje cała armia różnego rodzaju sprzedawców — wysoce wykwalifikowanych i doskonale zarabiających — których celem jest wmówienie w klienta rzekomo wyjątkowych właściwości towaru, który mu ofiarowują do kupna. Istnieje specjalne wyrażenie: *high pressure selling* („sprzedaż pod wysokim ciśnieniem"), które określa specyficzny rodzaj aktu kupna nie z potrzeby, ale pod wpływem efektów psychicznych używanych przez sprzedającego. Jest rzeczą oczywistą, że cały ten system nie ma nic wspólnego z wydajnością gospodarczą. Sztuczna rozbudowa systemu dystrybucji dawno już przekroczyła granice zapewnienia koniecznej dla kupującego wygody i służy nie społeczeństwu, ale producentom. Koszty reklam i zarobki sprzedawców włączone są naturanlie w cenę towaru i płaci za nie konsument. Nie znaczy to jednak wcale, aby reklama przynosiła jakieś wyjątkowe zyski. Przedsiębiorstwa używają jej już nie tylko jako metody konkurencji z innymi firmami, ale jako obrony przed reklamą z ich strony. W tych warunkach reklama nie jest już zbytkiem, ale koniecznością — nieodzownym środkiem utrzymania się na rynku.

Specyficzny system sprzedaży wywarł głębokie piętno na całym sposobie życia — można śmiało powiedzieć — na całej cywilizacji amerykańskiej. Reklama w tym kraju nie przemawia do rzeczywistych potrzeb fizycznych, ale do zachcianek psychicznych człowieka. Szereg firm wprowadziło do swoich produktów system t. zw. modeli, które są ulepszane z roku na rok. Istotne ulepszenia techniczne rzadko są znaczne. Klienci są jednak głęboko przekonani o wyższości samochodu, lodówki czy telewizora z r. 1958 nad modelem z r. 1957 i ambicją ich jest ciągłe posiadanie najnowszych modeli. W ten sposób kupowanie nigdy nie ma końca. Rozbudowa systemu kredytowego umożliwia nabycie wszystkich prawie towarów przy stosunkowo niewielkiej wpłacie. Pozostała suma jest rozłożona na dogodne spłaty. Znaczna większość samochodów, domów — często z dużą częścią ich ruchomości — nie należy do legalnego właściciela. W rzeczywistości są one własnością instytucji finansowych, które udzieliły pożyczki na ich kupno i które naturalnie pobierają za to procent. W rezultacie Amerykanie pracują w dużej mierze, aby spłacić podjęte zobowiązania i zaraz potem zaciągnąć nowe. Ten system sprzedaży i kupna stwarza atmosferę cywilizacji wysoce zmaterializowanej, w której zdobycie pieniądza jest podstawowym motorem działalności człowieka. Postęp techniczny jest ogromny i stopa życiowa bardzo wysoka, ale ludzie żyją pod ciągłą presją i brak im jest spokoju.

Nie znaczy to oczywiście, aby w Stanach Zjednoczonych nie było ludzi biednych. Pracownicy rolni, znaczny odsetek niewykwalifikowanych robotników miejskich oraz murzyni na Południu żyją jeżeli nie w nędzy to przynajmniej w warunkach bardzo trudnych. W kraju o przeciętnej zamożności wyjątkowo wysokiej kontrast pomiędzy bogactwem a biedą uwypukla się jeszcze bardziej. Zdecydowana jednak większość społeczeństwa amerykańskiego żyje w dobrobycie. Cała sztuczna nadbudowa systemu sprzedaży jest właśnie wynikiem dobrobytu. W kraju gdzie bogactwo nie jest tak powszechne reklama towarów luksusowych nie miałaby celu ponieważ i tak niewiele osób byłoby w stanie je kupić, a reklama przedmiotów pierwszej potrzeby byłaby zbyteczna gdyż i tak miałyby one zapewniony zbyt. System amerykański może mieć zastosowanie tylko w kraju, którego bogactwo z roku na rok wzrasta. Jeżeli więc gospodarka amerykańska często nie jest wydajna, nie oznacza to aby prowadziła społeczeństwo do ruiny. Wynikłe z tego straty stanowią tak drobny odsetek wzrastającego stale dochodu narodowego, że nie odgrywają w nim większej roli. Są one niejako ceną jaką Amerykanie płacą za niebywały postęp techniczny. Ekonomia amerykańska, to typowy przykład „ekonomii zbytku".

III

Wpływy quasi-monopoli w amerykańskim życiu gospodarczym są ogromne, ale i one mają pewne ściśle określone granice. Gospodarka typu monopolistycznego uważana jest przez całe społeczeństwo za szkodliwą. Teoretycznie pogląd ten podzielają nawet sfery przemysłowe, które nie pominą żadnej okazji, aby podkreślić swoje przywiązanie do zasad wolnej konkurencji. Rezultatem tych nastrojów jest ustawodawstwo antymonopolowe, które uniemożliwia formalne opanowanie rynku przez jedną firmę. Skoro jednak w praktyce istnienie monopoli — złożonych wprawdzie z paru przedsiębiorstw, ale związanych cichą umową wspólnego ustalania cen — okazało się możliwe, społeczeństwo musiało szukać innych sposobów, aby zapobiec wynikającym z tego konsekwencjom.

Niezwykle interesujący opis samoobrony społeczeństwa przed wyzyskiem ze strony monopoli przedstawia w swojej książce p. t. *Amerykański kapitalizm* Prof. J. K. Galbraith z Harvard.[8] Prof. Galbraith określa dążenie do ograniczenia wpływów wielkich korporacji mianem „teorii przeciwwagi". Podstawą teorii przeciwwagi jest założenie, że silny sprzedawca automatycznie wytworzy silnych na-

[8] J. K. Galbraith, *American Capitalism*, Rozdz. IX, „The Theory of Countervailing Pover".

bywców. Prof. Galbraith przytacza jako przykład dwie dziedziny życia gdzie teoria ta znalazła pełne zastosowanie. Jedną jest organizacja świata pracy w związki zawodowe, drugą konsolidacja sprzedawców pośredniczących pomiędzy producentem a konsumentem.

Rola związków zawodowych w gospodarce amerykańskiej jest ogromna. Prawa ich organizacji i działalności włącznie z prawem strajku są zabezpieczone ustawodawstwem państwowym. Poszczególne związki wchodzą w skład ogólnonarodowej federacji związków zawodowych, ale w zasadzie organizowane są samodzielnie w poszczególnych gałęziach przemysłu, a więc na tych samych podstawach co i quasi-monopole. Naturalnie koncentracja produkcji przez olbrzymie firmy ułatwia tylko ujęcie w jednolite ramy organizacyjne zatrudnionych w nich robotników. W rezultacie najsilniejsze związki zawodowe powstały w tych branżach przemysłu gdzie istnieją największe firmy, a więc w przemyśle stalowym, samochodowym, maszyn rolniczych i szeregu innych. Wytwarza się więc sytuacja, w której monopolistyczny pracodawca ma do czynienia z monopolem świata pracy. W ten sposób zakres decyzji monopolisty jest znacznie zmniejszony — dzieli on go w dużej mierze ze związkami zawodowymi, które poprzez kontrolę podaży pracy mogą wpływać i na sam proces produkcji.

Drugą doskonałą ilustracją teorii przeciwwagi jest reakcja drobnych sprzedawców. Jednym z mitów teorii ekonomicznej jest założenie, że producent sprzedaje swoje towary bezpośrednio konsumentom. W Stanach Zjednoczonych przemysły samochodowy i naftowy rzeczywiście zorganizowały własną sieć dystrybucji. Sytuacja ta jednak należy do wyjątków. W zdecydowanej większości przemysłów producent sprzedaje swoje towary drobnym sprzedawcom, a ci dopiero — z odpowiednim zyskiem — odstępują je konsumentom. O ile wielkie firmy produkcyjne nie przestrzegają zasady utrzymywania cen na najniższym poziomie, o tyle przedsiębiorstwa handlowe zajmujące się rozsprzedażą przywiązują do niej duże znaczenie. Naturalnie i one wystrzegają się wojny cen, ale dopuszczają ograniczoną konkurencję za pomocą obniżki cen. W Ameryce istnieją silne organizacje sprzedaży detalicznej. W dziedzinie sprzedaży przyborów codziennego użytku, żywności i szeregu innych towarów istnieją t. zw. „łańcuchy sklepów", które mają swoje oddziały często od Atlantyku po Pacyfik. Sklepy te z natury rzeczy stanowią poważnego nabywcę towarów wielkich producentów. W rezultacie quasi-monopolistyczny producent ma znów do czynienia ze zbliżonym do quasi-monopolu nabywcą.

Konsekwencje tego rodzaju sytuacji są bardzo istotne. Producent w swojej kalkulacji musi brać pod uwagę dążenie przedsię-

biorstw handlowych do kupna towarów po najniższych cenach. Firmy rozsprzedaży mają do swojej dyspozycji szereg środków samoobrony: mogą kupować od innego producenta; zorganizować własne źródła produkcji; albo po prostu trzymać producenta w niepewności co do planów zakupów narażając go na poważne straty. W ten sposób interes konsumenta — bez jego bezpośredniego udziału — jest w dużej mierze chroniony.

Pod wpływem działania sił przeciwwagi, monopolistyczny charakter amerykańskiej produkcji został znacznie złagodzony. Współzależność od szeregu równie silnych partnerów ograniczyła poważnie wpływy quasi-monopolistów i zmusiła ich do przyjęcia linii postępowania bardziej odpowiadającej życzeniom społeczeństwa. W teorii siły przeciwwagi są zjawiskiem samorodnym, wytworzonym przez wolne działanie czynników gospodarczych. W praktyce jednak są one wyrazem nie tylko koncepcji ekonomicznych, ale w poważnym stopniu i politycznych.

IV

Twórcy konstytucji amerykańskiej, jako gorliwi wyznawcy doktryny liberalnej, nie przewidywali poważnej roli rządu w sprawach gospodarczych. Zgodnie z zasadą *laissez-faire* uważali, że wystarczy stworzyć odpowiednie ramy prawne zapewniające rozwój wolnej konkurencji, a siły gospodarcze będą się same regulować z największą korzyścią dla całego społeczeństwa. Program gospodarczy ojców konstytucji streszczał się więc do utrzymania porządku, przestrzegania prawa — włącznie z ochroną własności prywatnej — oraz wprowadzenia ustabilizowanego środka wymiany.

Zasady te były słuszne tak długo jak długo istniał w Stanach Zjednoczonych system wolnej konkurencji. Niebezpieczeństwo jej przerodzenia się w gospodarkę typu monopolistycznego — u schyłku dziewiętnastego stulecia — spowodowało pierwsze odstępstwo od zasady nieinterwencji rządu w życie ekonomiczne: ustawodawstwo antymonopolowe. Odstępstwo to nie naruszało jednak teoretycznych założeń wolności gospodarczej. Rząd nie przyjmował na siebie roli czynnej, ale bierną — nie starał się zmienić systemu gospodarczego, ale go zachować w jego oryginalnej postaci.

Współczesna rola rządu w rozwoju sił przeciwwagi dla gospodarki monopolistycznej w dalszym ciągu wyraża się w dążeniu do stworzenia warunków możliwie najbardziej zbliżonych do wolnej konkurencji. System ten naturalnie niewiele ma wspólnego z wizją Smitha, ale zasada pozostaje ta sama. Ostatecznym jego celem jest zachowanie równowagi pomiędzy siłami ekonomicznymi w taki

sposób, aby wzajemnie się one kontrolowały. Państwo rzadko wychodzi samo z inicjatywą w tej dziedzinie, ale gdy opinia społeczeństwa jest już należycie dojrzała nie uchyla się od decyzji najbardziej zasadniczych. Najlepszym chyba tego przykładem jest ustawodawstwo dotyczące działalności związków zawodowych. Przez stworzenie odpowiednich warunków prawnych, rząd umożliwił organizację związków zawodowych na takich podstawach, że stanowią one dzisiaj poważną przeciwwagę quasi-monopolisty.

Interwencja rządu w życie gospodarcze nie sprowadza się jednak wyłącznie do ograniczenia wpływów monopoli, ale obejmuje również przeciwdziałanie drugiemu szkodliwemu zjawisku nowoczesnego kapitalizmu — kryzysom ekonomicznym. W latach wielkiej depresji — zapoczątkowanej w r. 1929 a ciągnącej się właściwie do drugiej wojny światowej — powstał w Stanach Zjednoczonych kierunek myśli ekonomicznej zwany kontrolizmem, którego celem jest wprowadzenie w życie zasad ekonomii planowanej. Kontrolizm różni się od socjalizmu odrzuceniem zasady nacjonalizacji środków produkcji, ale przyjmuje poszerzenie interwencji państwa w dziedzinie reform społecznych i zapobieganie kryzysom gospodarczym. W kołach konserwatywnych kontrolizm jest określany jako „tylne wejście do socjalizmu". [9]

Kontrolizm od lat trzydziestych poczynił w Ameryce znaczne postępy. Zarówno „nowy ład" Roosevelta, jak i „„sprawiedliwy ład" Trumana, w dużej mierze przyniosły urzeczywistnienie jego zasad. Osiągnięcia kontrolizmu wyrażają się daleko posuniętą socjalizacją życia gospodarczego. Dochody jednostek zostały poważnie zrównane nie tylko przez progresywne podatki dochodowe, ale również przez wysokie podatki od darowizn i spadków. Wydatki rządu na ubezpieczenia społeczne wzrosły w latach 1929—1947 dziesięciokrotnie. [10] Obejmują one ubezpieczenia pracowników na wypadek bezrobocia, niezdolności do pracy i starości. W ostatnich latach rozważane jest wprowadzenie państwowych ubezpieczeń chorobowych. Bardziej subtelnym sposobem zrównania dochodu poszczególnych obywateli są państwowe pożyczki i subsydia. Wymienić tu warto trzy miliony farmerów, którzy otrzymują od rządu regularnie subsydia wyrównywujące niedostatecznie wysokie ceny artykułów rolnych.

Najpoważniejszym jednak osiągnięciem kontrolizmu jest przyjęcie przez rząd amerykański odpowiedzialności za zapobieganie kryzysom gospodarczym. Odrzucając kierowanie poszczególnymi przedsiębiorstwami poprzez nacjonalizację, czy też wprowadzenie bezpo-

[9] *Socialism in America*, Chamber of Commerce of the United States, 1950, s. 6.
[10] Jak wyżej, s. 21.

średniej kontroli ich działalności drogą ustawodawstwa; rząd w Stanach Zjednoczonych odgrywa dzisiaj rolę nadrzędną w stosunku do całości poczynań gospodarczych społeczeństwa poprzez regulowanie tempa rozwoju ekonomicznego kraju. Działalność rządu jest w dużej mierze praktycznym — i jak dotąd skutecznym — zastosowaniem teorii Keynesa.[11] W okresach gdy grozi depresja obniżone zostają podatki, podwyższone wydatki rządu, zwiększona podaż pieniądza przez zmniejszenie stopy procentowej — co prowadzi do wzrostu popytu a zatem wzrostu produkcji i zatrudnienia.[12] Gdy grozi inflacja stosowane są środki odwrotne. Jest rzeczą oczywistą, że stosowanie tego systemu wymaga od strony państwa stałego czuwania nad rozwojem gospodarki narodowej, a więc w praktyce do planowania na skalę ogólnonarodową. Wolność decyzji poszczególnych firm prywatnych formalnie nie jest naruszona, w rzeczywistości jednak zakres ich swobody jest węższy już nie tylko od monopolisty, ale od przedsiębiorcy z systemu wolnej konkurencji.

V

Jeżeli amerykański system ekonomiczny nie odpowiada żadnemu z klasycznych wzorów kapitalizmu, skoro zasady gospodarki planowanej są już w dużej mierze wprowadzone w życie — powstaje kwestia czy w ogóle można uważać ekonomię Stanów Zjednoczonych za kapitalistyczną? Odpowiedź na to pytanie zależy od zakresu interwencji państwa w życie gospodarcze, który przyjmiemy za pożądany. Dla marksisty więc ekonomia amerykańska jest j e s z c z e kapitalistyczną, dla konserwatysty jednak jest j u ż w poważnym stopniu socjalistyczną. Fakt, że Amerykanie chętnie określają swoją gospodarkę mianem kapitalizmu zdaje się świadczyć, że nie uważają oni obecnego stopnia interwencji państwa za niepokojący. Ocena ta może być także wskaźnikiem kierunku dalszego rozwoju życia ekonomicznego w tym kraju.

---

11 John Maynard Keynes, *The General Theory of Employment, Interest, Money*, Harcourt, Brace & Co., 1936.

12 Podczas zahamowań gospodarczych w r. 1948—49 oraz w r. 1953 obniżone zostały znacznie podatki. W wypadku ostatniej recesji zmniejszona została stopa procentowa, ale jak dotąd rząd sprzeciwia się redukcji podatków. Rządowi doradcy gospodarczy oczekują, że w najbliższych miesiącach ulegnie poprawie sytuacja w przemyśle samochodowym, co z kolei wpłynie na podniesienie produkcji i w innych gałęziach przemysłu. Innymi słowy administracja republikańska liczy na samoistne wyrównanie się obecnego zahamowania gospodarczego. Stanowisko to zostało ostro skrytykowane przez szereg czołowych publicystów (Lippman, Alsop), którzy obawiają się, że jeśli nie zostaną zastosowane energiczne środki antydepresyjne, to pod koniec roku bieżącego zamiast poprawy może nastąpić dalsze pogorszenie sytuacji gospodarczej.

O ile jednak zasady ekonomii planowanej znalazły aprobatę poważnej części społeczeństwa amerykańskiego, nie znaczy to wcale, aby Amerykanie byli zwolennikami socjalizmu. Wszelkie ruchy marksistowskie nie są w Stanach Zjednoczonych popularne. Partia komunistyczna nigdy nie osiągnęła liczby stu tysięcy członków. Partia socjalistyczna w żadnych wyborach nie zdobyła miliona głosów. Nawet najbardziej radykalnie nastawieni zwolennicy kontrolizmu są przeciwnikami upaństwowienia środków produkcji.

Powody tego stanu rzeczy są różne. Niewątpliwie pierwszym z nich jest panujący od wojny dobrobyt. Jest starą prawdą historyczną, że ludzie którym powodzi się dobrze są nastawieni niechętnie do wszelkiego rodzaju przemian, a cóż dopiero do przemian o charakterze rewolucyjnym jakie zaleca socjalizm. Nie jest przypadkiem, że radykalizm amerykański święcił największe triumfy w latach trzydziestych, a więc w okresie najcięższej depresji gospodarczej. Konserwatyzm amerykański — i tu leży druga przyczyna niechęci do socjalizmu — jest jeszcze spotęgowany przez głęboko zakorzenione w tradycji anglosaskiej tendencje zachowawcze. Anglosasi przejawiają niechęć do wszelkich poczynań radykalnych, mentalności ich odpowiadają o wiele więcej rozwiązania ewolucyjne zmieniające treść, ale zachowujące formy dawnego porządku. Doświadczenia Partii Pracy w Wielkiej Brytanii są najlepszym chyba przykładem oporów psychicznych na które natrafia socjalizm w środowisku anglosaskim. W oddalonej od wstrząsów wojennych i stale wzrastającej w zamożności Ameryce, przywiązanie do tradycjonalizmu wydaje się być nie mniejsze.

Istnieje jednak trzeci — zapewne najważniejszy — powód braku popularności socjalizmu w społeczeństwie amerykańskim. Amerykanie są z natury indywidualistami i nieufnie odnoszą się do wszelkiej władzy. Samo pojęcie władzy łączy się w ich przekonaniu z ograniczeniem wolności. Tradycja ta jest tak silna, że wpływ jej można zaobserwować w specyficznym — nie pozbawionym zresztą hipokryzji — słownictwie określającym stanowiska społeczne. Tak więc poseł jest tylko „reprezentantem wyborców", prezes wielkiej korporacji „kierownikiem zespołu", prezes potężnego związku zawodowego „orędownikiem chłopców.[13] W Stanach Zjednoczonych otwarte ubieganie się o władzę to najpewniejszy sposób utraty popularności. Amerykanie wierzą głęboko, że władza jest niebezpieczna, a czym jest większa tym poważniejsze stanowi zagrożenie. Skoro koncentracja władzy prowadzi do jej nadużywania, najpewniejszym środkiem ochrony przed nią jest jej osłabienie przez po-

---

[13] *Representative* albo *public servant, leader of the team, spokesman for the boys.*

dział w taki sposób, aby poszczególne jej organy wzajemnie się kontrolowały.

Cały ustrój polityczny Stanów Zjednoczonych opiera się właśnie na zasadzie podziału władz. Nie tylko rząd federalny ograniczony jest w swoich decyzjach przez istnienie rządów stanowych, ale co więcej sam nie stanowi zwartej całości. Podzielony jest przez konstytucję na organy wykonawcze, ustawodawcze i sądowe. Uprawnienia każdego z tych ciał są ściśle określone i nie zostały poważnie naruszone od r. 1787. Zasadnicze różnice zdań pomiędzy Prezydentem a Kongresem, Kongresem i Sądem Najwyższym, pomiędzy rządem federalnym i stanowymi są na porządku dziennym. Tak więc postępowanie władz federalnych jest przeważnie kompromisem pomiędzy jego poszczególnymi organami. W rządzie istnieje efektywny system przeciwwagi, który jeżeli nawet powoduje zmniejszenie sprawności, stanowi — w pojęciu Amerykanów — skuteczny sposób zabezpieczenia ich wolności.

Istnieje ścisła analogia pomiędzy ustrojem politycznym i ekonomicznym w Stanach Zjednoczonych. Zasada podziału władz — nawet ze stratą w wydajności — zarysowuje się coraz silniej w życiu gospodarczym Ameryki. Z jednej strony istnieją wielcy producenci, których tendencje centralistyczne przynoszą społeczeństwu korzyści w postaci postępu technicznego. Z drugiej działają nie mniej potężne przedsiębiorstwa dystrybucji, które znacznie zmniejszają możliwości nadużyć ze strony quasi-monopolów. Wreszcie związki zawodowe chronią klasy pracujące przed wyzyskiem ze strony pracodawcy. Rola rządu w tym układzie przypomina funkcje sądu najwyższego. Dopóki siły gospodarcze wzajemnie się kontrolują interwencja rządu jest zbyteczna. Z chwilą jednak gdy jedna ze stron wykazuje tendencje do nadużywania swoich wpływów, bądź też gdy działanie ich grozi kryzysem — rząd podejmuje inicjatywę w celu przywrócenia zachwianej równowagi.

Jeżeli rząd można porównać do sądu najwyższego, system wolnej konkurencji — znów nie w ujęciu klasycznym, ale nowoczesnym pojęciu sił równowagi — jest odpowiednikiem konstytucji. Tylko w imię realizacji tych założeń rząd może interweniować w życie ekonomiczne bez narażania się na niepopularność. Obydwa wypadki czynnego udziału państwa w rozwoju gospodarki Stanów Zjednoczonych nosiły właśnie taki charakter. Zarówno współdziałanie w tworzeniu sił przeciwwagi quasi-monopolistom, jak i próby zapobiegania kryzysom gospodarczym, przedsięwzięte były w celu naprawy a nie burzenia starego porządku.

Zasada przeciwstawiania się nadmiernej koncentracji władzy jest w Ameryce uniwersalna. Odnosi się ona również i do działalności

ekonomicznej rządu. Jeżeli Amerykanie starali się ograniczyć wpływy monopoli prywatnych, nie znaczy to wcale, aby chcieli je zastąpić monopolami państwowymi. W walce z monopolami prywatnymi mogli liczyć na pomoc rządu, z chwilą gdy środki produkcji będą w ręku państwa nie istniał by już czynnik do którego można się odwołać. Właśnie z tych względów w zdecydowanej większości społeczeństwo amerykańskie przeciwne jest nacjonalizacji przemysłu, a odrzucając nacjonalizację tym samym odrzuca socjalizm. Amerykanie pragną widzieć rząd wyłącznie jako arbitra — rozstrzygającego i gdzie potrzeba usuwającego sprzeczności w życiu gospodarczym. Wybitny teoretyk socjalizmu brytyjskiego Harold J. Laski, przewidział tę sytuację już w r. 1920. Zapytany przez socjalistów amerykańskich jakie środki mogą doprowadzić do socjalizmu w Stanach Zjednoczonych, Laski zalecił reformę ustroju politycznego, ponieważ „zasada podziału władz stanowi twierdzę obronną amerykańskiego indywidualizmu". [14]

Od r. 1920 szereg innych zaleceń Laskiego — przede wszystkim w dziedzinie społecznej — zostało w Stanach Zjednoczonych urzeczywistnionych. Zasada jednak podziału władz w życiu politycznym nie tylko przetrwała, ale z kolei oddziaływuje na życie ekonomiczne. Współczesna gospodarka amerykańska nie jest ani w pełni prywatną, ani w pełni planowaną. Jest to nowy typ gospodarki, który od zasadniczego jej rysu można nazwać ekonomią przeciwwagi.

Adam Bromke
Montreal

---

[14] Harry Laidler, Norman Thomas, *The Socialism of our Times*, Vanguard Press, 1929.

VANCE PACKARD

MANIPULACJA MASAMI

W listopadzie ubiegłego roku, na Krajowym Zjeździe Towarzystwa Wychowania Religijnego (Religious Education Association) w Chicago, Vance Packard, autor słynnej książki o reklamie *The Hidden Persuaders*, wygłosił przemówienie, którego fragmenty przedrukowuje tygodnik o. o. Jezuitów „America" z dn. 14 grudnia 1957 r. Przemówienie Packarda jest — zwłaszcza dla polskiego czytelnika, nie obeznanego bliżej z tego rodzaju problemami — swoistą rewelacją. Oto jego fragmenty.

W broszurze programowej naszego Zjazdu znajdujemy opisy różnych typów ludzkich, między innymi opis hedonisty, tak często przedstawianego w reklamie. Zainteresowania takiego człowieka — czytamy — skierowane są na szukanie przyjemności, na maksymalne zaspakajanie pragnień w dziedzinie jedzenia, picia, życia seksualnego, przedmiotów zbytku, dóbr doczesnych, dobrobytu materialnego, sukcesów towarzyskich i zabezpieczenia finansowego.

Tematem mego referatu jest strategia i metody, jakich używa przemysł amerykański, aby wychować taki właśnie, hedonistyczny typ człowieka i w ten sposób zwiększyć cyfry sprzedaży dóbr doczesnych.

FABRYKOWANIE WYOBRAŻEŃ

Badałem specjalnie wzrost wpływu psychiatrii i socjologii na zwiększanie cyfr sprzedaży przez granie na podświadomości konsumentów. Nazywam to „podejściem głębinowym". W sferach handlowych owe doświadczenia i manipulacje stosowane wobec psychiki ludzkiej noszą niewinną nazwę „badań motywacyjnych". Jakie są głębokie motywy naszej decyzji kupienia jakiegoś produktu? Jak motywy te, raz rozpoznane, mogą być eksploatowane? Jakie obrazy, stawiane ludziom przed oczyma, mogą przyczynić się najskuteczniej do zwiększenia sprzedaży?

I tak oto poddaje się społeczeństwo, lub jego reprezentatywne grupy kontrolne „badaniom głębinowym", przy użyciu technik stosowanych w klinikach psychiatrycznych.

O zakresie tego rodzaju prób świadczyć może fakt, że 12 milionów dolarów wydaje się co roku na badanie naszych motywów działania, w celach bynajmniej nie bezinteresownych. Nie ogranicza się to do ja-

kichś maniaków w dziedzinie handlu. Przeszło 2/3 z setki najpoważniejszych spółek handlowych w Ameryce przystąpiło obecnie do badań motywacyjnych w związku z planowaniem swych kampanii reklamowych. Pewne pismo reklamowe stwierdziło, że ok. r. 1965 żadna kampania handlowa nie obejdzie się bez zdiagnozowania przez psychologów zarówno potencjalnych nabywców jak i samego produktu.

Co więcej organizatorzy rynków zasięgają porad specjalistów co do tego, w jaki sposób wzmóc w Ameryce nastroje, które zapewniłyby większy zbyt dla ich produktów. Jednym z najsłynniejszych ekspertów motywacyjnych jest dr Ernest Dichter prezes Instytutu Badań Motywacyjnych.[1] Postawił on zagadnienie wyraźnie i jasno kilka miesięcy temu, kiedy powiedział handlowcom, że w reklamie chodzi głównie o to, aby pozwolić Amerykaninowi flirtować, wyrzucać pieniądze, nie robić oszczędności, brać urlopy dwa razy na rok, kupować drugi lub nawet trzeci samochód — a wszystko to bez wyrzutów sumienia. Podstawowym warunkiem naszego dobrobytu, powiedział także, jest dostarczenie ludziom sankcji i usprawiedliwień dla korzystania z niego do woli, oraz wmówienie im, że hedonistyczna postawa wobec życia jest postawą moralną i godną pochwały. To zezwolenie dane odbiorcy na używanie życia, i wykazanie mu, że ma rację otaczając się przedmiotami zbytku i wygody, stanowić musi — zdaniem Dichtera — myśl przewodnią każdej wystawy handlowej i każdego planu zwiększenia sprzedaży.

Dobrym przykładem jest tu kampania „przebudowania" naszego wyobrażenia śliwki. Wyobrażenie to przez lata całe nabierało w naszych umysłach cech niekorzystnych. Otaczaliśmy śliwkę szeregiem skojarzeń, które czyniły nam ją wrogą. Obraz jej przywoływał na myśl staropanieństwo, pensjonatowe obiady, obstrukcję lub kostyczne figury w rodzaju znanego z comicsów „Śliwomordy". Sprzedaż śliwek malała stale na rynkach amerykańskich.

Spożywcy zlecili Dichterowi „studia głębinowe" nad śliwką i opracowanie wskazówek postępowania. Orzekł on, że konieczne jest ponowne „odkrycie śliwki". Obecnie nie jest ona już więcej „śliwką", ale raczej „cudownym owocem Kalifornii". Na plakatach reklamowych przedstawiana jest zawsze w scenach pełnych młodości i barwy. Z początku widywaliśmy na nich bawiące się dzieci, ostatnio piękne dziewczęta, tańcząc lub ślizgając się na łyżwach, zapewniają nas, że czują się oto „jak nowonarodzone" dzięki... śliwkom. Działanie przeczyszczające tego owocu zepchnięte zostało na drugi plan i wymienia się je zwykle petitem, gdzieś w dole ogłoszenia. Rezultat? Od dawna kulejące cyfry sprzedaży skoczyły w górę.

---

[1] Honorarium dra Dichtera za poradnictwo handlowe wynosi 500 dolarów dziennie. (Przyp. tłum. na podstawie *The Hidden Persuaders*).

Również nasze wyobrażenie banków poddane zostało rewizji. Kilka niezależnych od siebie studiów „głębinowych" wykazało, że wielu ludzi wchodzi do banku ze strachem, gdyż budzi on w nich skojarzenie z kompleksem ojcowskim. Patrzą oni na swój bank jak na zmarszczone niezadowoleniem oblicze ojca, któremu mogą nie podobać się ich zagmatwane finanse. Spostrzeżenie to tłumaczy dlaczego nasze banki stały się ostatnio tak przytulne, dlaczego wyrzucono kraty i oszklono front...

Inny, dość prosty przykład fabrykowania naszych wyobrażeń daje akcja reklamowa firmy *Procter & Gamble*. Każdy produkt jest starannie ucharakteryzowany, tak że nabiera w naszej wyobraźni odrębnej, ludzkiej indywidualności. Mydło *Ivory* wywołuje w nas natychmiast obraz matki i córki na piedestale, a mydło *Camay* — obraz olśniewającej syreny. Także i frytura skojarzona jest w naszych myślach z obrazami swych reklam. Firma ukazuje nam fryturę *Crisco* jako solidnego lekarza, a *Golden Fluffo* jako tęgą postać o macierzyńskim wyglądzie.

Każdy samochód projektowany jest w ten sposób, ażeby jego „indywidualność" pociągała możliwie duży odsetek ludności dzięki skojarzeniom jakie wzbudza. Marka *De Soto* oddziaływała przez szereg lat szczególniej na matrony w średnim wieku. Wóz *Mercury* ma blask i szyk odpowiadający specjalnie młodym handlowcom u progu kariery, a *Cadillac* tchnie atmosferą „wielkiego świata".

NIEPOKOJE

Niepokój budzą we mnie głównie trzy aspekty powyższego zagadnienia. Zastanówmy się nad nimi po kolei, w świetle moralnych konsekwencji do jakich zdają się prowadzić.

Aspekt pierwszy, to wzrastająca bezwzględność z jaką zawodowi „przekonywacze" wdzierają się w intymną dziedzinę naszej psychiki. Czyż moralne jest wygrywanie naszych ukrytych słabostek i uczuleń, naszych lęków, obawy wyobcowania, hipochondrii czy uczuć agresywnych? Jedna z największych agencji reklamowych w Ameryce ma specjalną ekipę psychologów, która pracuje nad wyizolowaniem owych uczuleń z całokształtu naszej osobowości, aby następnie móc wygrywać je za pomocą odpowiednio wycelowanych bodźców.

Rola naukowców, którzy współpracują z twórcami tego rodzaju planów, zasługuje z pewnością na poważne przemyślenie. Dyskutowałem ostatnio z pewnym psychologiem, który prowadzi badania „motywacyjne" dla firm handlowych. Przyznał on, że jako naukowiec czuje się czasem nieswojo. Jako przykład podał swe prowadzone ostatnio badania nad ukrytymi potrzebami człowieka, które znajdują zaspokojenie w prowadzeniu samochodu. Wynikiem tych badań było stwierdzenie, że wiele

osób posługuje się samochodami, żeby wyładować uczucia agresywne. Istnieją z pewnością bezpieczniejsze społecznie sposoby takiego wyładowania, aniżeli gnanie zygzakiem po ulicy, albo branie zakrętów na dwu kołach. „Czy miałem jednak zataić swoje odkrycie?" — pytał. Po walce z sobą rozstrzygnął problem moralny drogą — jak mówił — „podania dalej" kozła ofiarnego. Przekazał wyniki badań firmie, i niechże firma martwi się teraz o „moralność" wykorzystywania przy sprzedaży samochodów niebezpiecznej agresywności...

A oto inna sytuacja obrazująca inwazję w życie prywatne. Czyż moralnie jest podszeptywać nam handlowe zachęty aż tak cicho, że nie możemy ich widzieć ani słyszeć?

Mam tu naturalnie na myśli nową technikę „projekcji na podświadomość" — jak ją nazywają jej autorzy. Ja nazwałbym ją raczej projekcją podstępną, nikczemną i pokątną. Technika ta, jak pewnie wiecie, polega na błyskawicznie przelotnym podawaniu informacji wzrokowych lub słuchowych. Przelatują one tak szybko, że nie możemy spostrzec ich świadomie, trafiają jednak do naszej podświadomości. Ta technika błyskowa wypróbowana była w pewnym wypadku na 45 tysiącach osób w New Jersey bez ich wiedzy i zgody. Przy użyciu owej szeptanej reklamy udało się podnieść sprzedaż płatków owsianych o 59%.

Dowiedziałem się o tej technice po raz pierwszy z gazety londyńskiej — o ile wiem, ani jedna z naszych gazet i magazynów o niej nie wspomniała. Agenci reklamowi, których o nią pytałem, drwili nawet z takiego pomysłu. Lecz w ciągu następnych miesięcy spotykałem się ciągle z dowodami, że prowadzone są w tajemnicy dalsze badania w tym kierunku i wtedy opublikowałem wiadomość o tym. „Christian Science Monitor" przypisuje mi nawet zasługę wydobycia tej sprawy siłą na światło dzienne. W każdym razie dwie firmy ogłosiły już, że mają zamiar wykorzystać w handlu udoskonalone przez siebie metody „sprzedaży przez podświadomość". Zarząd pewnego poważnego przedsiębiorstwa kolejowego wyraził żywe zainteresowanie ich możliwościami. Pewna spółka teatralna wprowadzi, jak słyszę, lada dzień owe metody żeby sprzedawać więcej biletów na spektakle.

O ile się orientuję, prawo obecne nie gwarantuje społeczeństwu żadnej ochrony przed tego rodzaju techniką handlową. Przygnębiający jest fakt, że chociaż ma ona teraz dość znaczny rozgłos, społeczeństwo nie wydaje się nią przejęte i niewiele było głosów protestu. Także krajowe związki reklamy i sprzedaży nie wyraziły, o ile wiem, najmniejszej dezaprobaty. Tylko brytyjskie stowarzyszenie agencji reklamowych IPA zakazało używania tego rodzaju metod, i ostrzegło swych członków, że stosowanie ich uważane będzie za poważne przekroczenie etyki zawodowej.

DRUGA DZIEDZINA TROSKI

Przejdźmy z kolei do drugiej dziedziny spraw niepokojących. Jest nią świadome zachęcanie ludzi do czynów irracjonalnych...

Czyż np. moralne jest zachęcanie pań domu do impusywnego i bezsensownego sposobu robienia domowych sprawunków? Większość produktów w naszych żywnościowych sklepach samoobsługowych projektowana jest specjalnie pod kątem grania na impulsach. Opakowania opracowywane są przez specjalistów „motywacji", tak by wywierały działanie hypnotyczne. Badanie zachowania się kobiet w czasie zakupów wykazało, że wpadają one w trans hypnotyczny, który nie jest wprawdzie jeszcze całkowitym zahypnotyzowaniem, lecz czymś bardzo bliskim tego stanu.

W rezultacie kupowanie „impulsywne" stale wzrasta. Kiedy po raz pierwszy wprowadzono samoobsługowe sklepy żywnościowe, powitano to jako wielkie ułatwienie dla ludzi pracy, których rodziny miały się tu zaopatrywać w tańszą żywność. W rzeczywistości odsetek dochodów wydawanych na jedzenie wzrastał stale, odkąd ten typ sprzedaży został rozpowszechniony. Jednocześnie wzrastał odsetek kobiet, które kupują pod wpływem impulsu. Według jednej z ankiet Du Ponta wynosi on obecnie 70%. Lista sprawunków wyszła w praktyce z użycia.

Jeżeli już mowa o „wychodzeniu z użycia" — czy świadome zachęcanie do odrzucenia jako „zużytego" każdego przedmiotu, który służy nam ponad dwa lata i trwonienia w ten sposób zasobów narodowych, można uznać za moralne?

Producenci nie chcą już czekać aż rzeczywiście zużyjemy ich towar. Rzeczy po prostu nie zużywają się — ich zdaniem — dostatecznie szybko. Wobec tego próbują obecnie wytworzyć coś co nazywają „zużyciem psychologicznym". Próbują przedstawić daną rzecz jako „zużytą" w naszej imaginacji.

Ażeby tego dokonać, starają się coraz usilniej wyrobić w nas snobizm na „fason". Wymaga to podwójnej taktyki. Przede wszystkim trzeba ażeby ludzie zrozumieli, że „fason" jest ważnym elementem wartości danej rzeczy. Następnie zmienia się „fasony".

Strategia ta została wypróbowana po raz pierwszy w dziedzinie mody damskiej. Odnosiła w niej sukcesy przez wiele lat, zmuszając kobiety aby wstydziły się każdej zeszłorocznej części garderoby w swojej szafie. Obecnie te same metody przesuwa się w dziedzinę mody męskiej, w dziedzinę sprzedaży lodówek i samochodów. Tego roku tył karoserii jest wysoki. Można się założyć, że za dwa lata będzie niski. Strategia „fasonu", wyzyskująca „zużycie psychologiczne", zaczyna przyjmować się nawet w sprzedaży domów. Przez całe lata budowano np. domy z coraz większymi oknami „widokowymi", nawet jeżeli widok, który się przez okno oglądało nie był specjalnie budujący. Teraz nagle okazuje się,

że wszystkie firmy budowlane forsują domki w stylu chatki Baby Jagi, z niskimi, okrągłymi okapami i oknami o malutkich szybkach.

Świadome zachęcanie do irracjonalizmu jest również systematycznie stosowane w polityce, odkąd agenci reklamowi i panowie od *public relations* wzięli w swe ręce strategię kampanii wyborczych. W związku z wyborami w r. 1956 stratedzy obu partii włożyli wiele trudu w wypracowanie dla kandydatów pociągających cech „ojcowskich". Tak więc — cytuję przykład jeden z wielu — w ostatnich dniach kampanii wyborczej republikanie zaczęli lansować krótki spektakl telewizyjny przedstawiający rzekomego szofera taksówki, który w nocy wyszedł z psem do parku naprzeciw Białego Domu, mieszkania republikańskiego kandydata na ponowną prezydenturę. „Szofer" ten wygłasza do psa filozoficzne uwagi o tym, jaka to straszliwa odpowiedzialność być prezydentem wszystkich Amerykanów, następnie zaś, spoglądając w oświetlone okno Białego Domu, powiada „potrzebuję ciebie!"

TRZECIE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Przechodzimy wrzeszcie do trzeciej dziedziny moich niepokojów. Dotyczą one zmian jakie zachodzą w charakterze Amerykanów w wyniku naszego rosnącego zaabsorbowania konsumpcją. Nie jest to spowodowane jedynie zabiegami producentów, zabiegi te jednakże odegrały tu rolę zasadniczą.

Fakty, jak sądzę, potwierdzają zarzuty stawiane Amerykanom. Stają się oni rzeczywiste coraz bardziej „wygodni", chciwi rozrywek, zmaterializowani, bierni i oportunistyczni. Arnold Toynbee stwierdziłby na pewno, że cywilizacja znajdująca się przez dłuższy czas w takim stanie jest cywilizacją schyłkową.

Amerykanie przejęli się niewątpliwie w ciągu ostatnich lat swoją rolą jako konsumentów. Nacisk by konsumować coraz więcej działał i będzie działał nadal.

Nasza produkcja narodowa wzrosła o przeszło 400% od r. 1940, a nasza zdolność produkcyjna będzie wzrastała w miarę wprowadzania automacji do naszych biur i fabryk.

Aby wchłonąć wzrost produkcji przewidziany w r. 1965 Amerykanie będą musieli zwiększyć swą konsumpcję o 50%. Prezydent jednej z czołowych agencji reklamowych oświadczył ostatnio, że w ciągu najbliższych 10 lat poziom konsumpcji w Ameryce musi podwyższyć się w tym samym niemal stopniu w jakim wzniósł się w ciągu 200 lat: od czasów kolonialnych do roku 1940.

Amerykanów zaklina się, aby stanęli na wysokości zadania.. Szereg ludzi cieszących się powszechnym szacunkiem nabrało przekonania, że musimy zwiększać konsumpcję. Nawet Summer Slichter, słynny ekono-

mista z Harvardu, powiedział ostatnio, że utrzymanie naszej produkcji w stałym wzroście stanowi naczelny problem Ameryki i że należy perswadować ludziom, aby zwiększali swoje wydatki, stwarzając w ten sposób rynek zbytu dla rosnącej produkcji.

Profesor Slichter zamieścił swoje oświadczenie w formie listu w nowojorskim „*Timesie*". Stwierdziłem z przyjemnością, że jeden człowiek przynajmniej o nazwisku David Cohn, zaoponował mu, opowiadając o swoim przyjacielu z południa Stanów. Przyjaciel ten cieszy się szacunkiem otoczenia, jest oszczędny, brzydzi się długami, kupuje wyłącznie rzeczy na które go stać, ma staromodną lodówkę, opala dom drzewem i odkłada pieniądze. Jest on, zaznacza pan Cohn, dziekanem swego kościoła, drużynowym harcerzy, członkiem klubu handlowego i działaczem społecznym. Według kryteriów stosowanych w ciągu minionych dwu stuleci, przyjaciel ów jest dobrym człowiekiem i dobrym obywatelem. Lecz według profesora Slichtera jest wrogiem społeczeństwa...

Negatywna strona obrazu polega na tym, że w pewnym sensie staliśmy się krajem tygrysów. Pożerać lub być pożartym — oto nasz dylemat. Książka *Christianity and Crisis* w swych uwagach na temat naszej nieustannie wzrastającej produkcji stwierdza słusznie, że Amerykanie podlegają naciskowi w kierunku konsumowania, konsumowania, konsumowania i to bez względu na to, czy potrzebują oni lub chociażby pragną towarów, które wpycha się im niemal siłą. Trzeba przekonać nas byśmy konsumowali, gdyż wymaga tego proces produkcji. *Christianity and Crisis* sugeruje, że zachodzi jakaś zatrata poczucia proporcji w życiu, jeśli człowiek tak szybko zniechęca się do przedmiotów z zeszłego roku.

Stajemy się w jakimś sensie coraz bardziej podobni do owych gęsi strasburskich, które przemocą napycha się ziarnem, ażeby je utuczyć. Chodzi o to, żeby ich wątroby porosły w tłuszcz i nadawały się na *paté de foie gras*. Czasem obwiązuje się szyję gęsi sznurkiem, by ziarno zostało w jej brzuchu. Nie chcę twierdzić jakoby Amerykanie zamienili się w 170 milionów gęsi ze sznurkami na szyi. Chcę natomiast stwierdzić, że zaczynamy być trochę przeładowani dobrami materialnymi i że nasze wątroby puchną. Są wyraźne oznaki tego.

Zmiany w charakterze Amerykanów uwidaczniają się z przeraźliwą jasnością w wynikach badań przeprowadzonych przez psychologów z Harvardu i z Colby College. Studiowali oni postawę młodzieży z różnych krajów świata: Ameryki, Meksyku, Egiptu, Afryki Płd. itd. Młodzi ludzie mieli opisać swe aspiracje i swoje nadzieje na przyszłość.

Niemal wyłączne zaabsorbowanie młodych Amerykanów materialną stroną życia, z wykluczeniem wszelkich innych zainteresowań, wystą-

piło z niepokojącą ostrością. Wiedzieli oni bardzo dokładnie czego chcą. Mówili fachowo o adapterach i telewizorach, meblach do bawialni, o piknikach, o tym gdzie pojadą na pierwszy urlop, jaki wóz będą mieli itp. Nie okazywali natomiast najmniejszej chęci do pracy społecznej ani też nie zdradzali najmniejszej troski o swoich bliźnich.

W porównaniu z nimi np. Meksykanie wręcz płonęli idealizmem. Nie obchodziły ich materialne aspekty ich przyszłej egzystencji. Sześciokrotnie większa liczba Meksykanów niż Amerykanów oświadczyła, że największą dumą napełniła by ich możliwość służby narodowi.

Różnica pomiędzy Meksykiem a Ameryką uwidoczniła się interesująco w podejściu do zawodu pedagogicznego. Amerykanie oceniają sprawy zależnie od związanej z nimi przyjemności. Amerykańskie dziewczęta, zapytane dlaczego chciałyby zajmować się dziećmi, odpowiadały z reguły że praca taka jest przyjemna. Meksykańskie dziewczęta natomiast widziały w zajmowaniu się dziećmi okazję do wychowywania przyszłych obywateli.

SŁABA ODPORNOŚĆ ŻOŁNIERZY

Inną oznaką zmiany charakteru Amerykanów jest ostatnio opublikowane przez armię sprawozdanie o żołnierzach amerykańskich, którzy stali się kolaboracjonistami w czasie wojny w Korei. Jeden z oficerów nazwał te dane „rozpaczliwymi".

Jedna trzecia jeńców amerykańskich ma na sumieniu kolaborację, 38% umarło w niewoli. Z jeńców tureckich natomiast ani jeden nie stał się kolaboracjonistą i wszyscy zostali przy życiu.

Autor sprawozdania przypisuje tę różnicę w dużej mierze „pewnej miękkości", jaka daje się zauważyć w charakterze młodych Amerykanów. Powiada on, że młodzieży naszej brak dawnej odporności Jankesów, która cechowała jeszcze jej ojców.

W niewoli żołnierze nasi porzucali często w drodze swych rannych towarzyszy; przeklinali własnych oficerów; w obozach silni odbierali z reguły żywność słabym, a bywały wypadki, że wywlekali na mróz śmiertelnie chorych na dyzenterię kolegów.

Wiele hałasu robiono wokół okrucieństw, jakimi Chińczycy zmuszali jeńców do kolaboracji. Sprawozdanie armii stwierdza jednak, że nie istnieje ani jeden sprawdzony wypadek używania okrutnych środków w tym celu. Chińczycy stosowali natomiast podstępy i nacisk psychiczny. Czasami „okrutny" Chińczyk uśmiechał się po prostu do Amerykanina, klepał go po ramieniu i częstował papierosami.

Jeżeli chodzi o śmiertelność, wielu naszych jeńców padło ofiarą załamania psychicznego.[2] „Poddali" się po prostu wewnętrznie i umarli.

[2] W armii nazywano to *give-up-itis*.

Jest znamienne, że umierali w ten sposób żołnierze młodsi, a więc prawdopodobnie silniejsi.

Turcy natomiast potrafili utrzymać w swej grupie dyscyplinę i *morale*. Jeżeli któryś zachorował w drodze, zostawało przy nim dwu kolegów, którzy pielęgnowali go aż wyzdrowiał. Każdy okruch żywności i cała odzież były dzielone równo pomiędzy wszystkich.

Jedynym pozytywnym wynikiem zamieszania, jakie powstało wokół sprawy satelitów ziemi, może być fakt, że Amerykanie poczują się wreszcie zmuszeni do zrewidowania swego uczucia wartości. Pewien Rosjanin, jak słyszeliście może, chełpił się, że podczas gdy jego kraj budował satelitów, Amerykanie zajęci byli obmyślaniem płetw ogonowych dla swoich samochodów. Nie jestem pewien czy historia oceni satelitów wyżej od płetw ogonowych. Tym niemniej sprawa ta przypomina nam bezsprzecznie jak daleko zaszliśmy w pobłażaniu sobie.

Samuel Butler opisał pewną rasę ludzką, która wpadła w niewolę własnych wynalazków mechanicznych. Zauważywszy co się dzieje, ludzie ci zniszczyli swoje maszyny i zepchnęli społeczeństwo z powrotem do poziomu sprzed rewolucji przemysłowej.

Nie sądzę, aby takie posunięcie było możliwe lub nawet pożądane w Ameryce współczesnej. Z pewnością miło jest kupować towary, które stanowią wygodę i przyjemność raczej, niż potrzebę. Agenci reklamy lubią podkreślać, że gdybyśmy mieli kupować tylko te produkty spożywcze, których naprawdę potrzebujemy, moglibyśmy z powodzeniem żyć jadając mieszankę, której cena wynosiłaby 56 dolarów rocznie.

Chodzi jednak o to, jak powiedział mój pastor w kazaniu wielkopostnym, czy uznajemy, że rzeczy posiadane mają służyć życiu — a nie naodwrót, i że pierwszeństwo ma ten rodzaj życia, który uważamy za dobry.

Problemy, które stoją przed nami w opisanych dziedzinach, są trudne i niepokojące. Podejrzewam, że napełniać nas one będą coraz większą troską w miarę upływu najbliższych lat, i w miarę jak coraz piękniejsze będzie się stawać odnalezienie jakiejś zadowalającej duchowo proporcji pomiędzy dynamiką naszej gospodarki a wolnością naszych obywateli

Vance Packard

Tłum. M. G.

MARIA GARNYSZ

KATOLICY W USA (2)

OSOBA CZY PRODUKT?

NOWA TECHNIKA I NOWE SYTUACJE

Ameryka przeżywa nieustannie rewolucję społeczną.
(„Fortune" 1955)

W poprzedniej części naszych rozważań (Znak nr 46) zawarta została charakterystyka pewnych elementów kryzysu w jakim znalazła się mniejszość katolicka w Ameryce. Wobec zanikania emocjonalno-patriotycznych więzi parafii narodowych, zanika też rodzaj obyczajowych i kulturalnych barier ochronnych i mniejszość katolicka staje dziś „oko w oko" z dominującą kulturą materialistyczną USA. W miarę nieuniknionych postępów asymilacji odpadają stopniowo wszelkie czynniki poza-filozoficzne tego starcia. Przestają działać społeczne mechanizmy potępienia czy aprobaty jakie stanowiła opinia grup etnicznych. Znikają uprzedzenia „imigranckie" wobec kraju, który nie jest już ani nieprzychylny ani obcy. Rośnie dystans między pokoleniami. Rośnie liczba małżeństw mieszanych. Oko w oko stają już nie dwa zwarte, odrębne socjologicznie środowiska. Oko w oko stają pojedyncze jednostki ludzkie, zdane wyłącznie na swój światopogląd osobisty i atrakcyjna, pobłażliwa, powszechna „kultura konsumpcyjna".

W nr 46 „Znaku" staraliśmy się rozważyć pewne — imigranckie przeważnie — cechy katolików w USA, które utrudniają owo starcie, wymagające zarówno znacznego poziomu wykształcenia religijnego jak i — w wielu wypadkach — „pójścia pod prąd" przyjętym powszechnie obyczajom.

Zastanowić się z kolei należy nad wpływem i nad cechami amerykańskiej kultury otaczającej. Jakie nowe sytuacje życiowe, a więc nowe zadania, przyniosły katolikom w USA ogólne przemiany cywilizacyjne ostatniego półwiecza? Czy rzeczywiście, i w jakim mia-

nowicie stopniu, obecna kultura dominująca jest sprzeczna z katolicką koncepcją świata?

Gwałtowne przekształcenia jakie wprowadza nowa cywilizacja w Stanach Zjednoczonych określone są przez dwa czynniki: przez postępy techniczne i przez tempo tych postępów. Rozwój produkcji, budownictwa, komunikacji, a także medycyny i psychologii, rzuca ludzi w niewypróbowane dotąd sytuacje, poddaje ich nieznanym dawniej rodzajom ciśnień. Zawrotne tempo w jakim zachodzą te zmiany mobilizuje instynkt samozachowawczy w kierunku — przede wszystkim — adaptacji, adaptacji niejako „bezwarunkowej", z całkowitym nieraz pominięciem oceny moralnej czy kulturalnej zjawiska, do którego „należy" się adaptować. Pęknięcie ciągłości wartościowania świata i jego spraw, widoczne niemal w każdej dziedzinie życia USA (i chyba nie tylko USA) ilustruje przejmująco choćby ten drobny na pozór fakt, że nihilistyczne a nawet zbrodnicze odłamy młodzieży Nowego Jorku nazywają siebie *Non-Generation*. NIE-POKOLENIE.

Jakież więc są te nowe sytuacje i gdzie prowadzą drogi adaptacji „bezwarunkowej"? W roku 1790 zaledwie 5% ludności USA mieszkało w miastach. W r. 1950 liczba ich osiągnęła już 60%, przy czym nie oddaje ona oczywiście odsetka ludzi, którzy mieszkając poza miastem lecz pracując w mieście, spędzają w nim właściwie cały dzień. Budownictwo mieszkaniowe dla pracowników miast przerzucane jest — jak wiadomo — w coraz to większym stopniu na tereny wsi.

Ekonomiczne przyczyny urbanizacji są dość proste i na ogół znane. Industrializacja — więc zapotrzebowanie rąk do pracy; wzrost stopy życiowej — więc też wszelkich branż usługowych, dających znaczne pole dla inicjatywy i zarobku; mechanizacja rolnictwa — a więc spadek liczby zatrudnionych w tej dziedzinie.

Równie znane są korzyści urbanizacji, jak zresztą i pozostałych aspektów nowej cywilizacji. Wielkie miasta i uprzemysłowienie to zarazem mnóstwo udogodnień technicznych, kulturalnych, oświatowych, to zwiększenie skali wyboru sposobu życia i kariery. Niemniej ważne wydają się dziedziny takie jak medycyna i psychologia, z których pierwsza przedłuża i usprawnia proces życia, druga zaś, korzystając z coraz rozleglejszej wiedzy o tajemnicach człowieka, dopomagać powinna w wielu nieusuwalnych dawniej trudnościach. Komunikacja, wreszcie, to prócz rozrywki, również potencjalny instrument gruntowania wspólnoty ludzkiej, również narzędzie upowszechniania wartości kulturalnych. Chociaż więc wiele z tych oszałamiających „darów technicznej cywilizacji" ma swoje „drugie strony medalu", które postaramy się jeszcze naświetlić, niewątpliwe

jest, że cywilizacja ta przedstawia szereg wartości i atrakcyjność jej jest zrozumiała.

Ponieważ jednak interesuje nas tu szczególniej problematyka moralna jaką stawiają współczesne przemiany techniczne przed mniejszością katolicką w USA, zastanowić się należy w pierwszym rzędzie jak układają się w nowych warunkach życia sprawy dla katolików zasadnicze: stosunek człowieka do człowieka i stosunek człowieka do zła; zagadnienia rodziny, małżeństwa i wychowania; i — wreszcie — stosowana w praktyce hierarchia wartości.

CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI RZECZĄ

To keep up with the Joneses.

Paradoksem życia współczesnego jest rosnąca izolacja jednostek ludzkich i bezosobistość ich wzajemnych stosunków przy coraz gęstszym skupieniu ludzi w miejscach pracy i zamieszkania i przy coraz liczniejszych powiązaniach wzajemnych w komplikującym się mechanizmie życia społecznego. Sama już ilość osób, które musi się co dzień spotykać z racji mieszkania, pracy, usług czy rozrywki, musi działać w kierunku osłabienia osobistego zainteresowania ich sprawami i — tym bardziej — jakiejś żywszej do nich życzliwości.

Dodatkowe i niebłahe elementy depersonalizacji stosunków międzyludzkich stanowią dwa zjawiska specyficznie już „amerykańskie", związane nierozłącznie z gwałtownym rozwojem produkcji w XX wieku i ze sposobem tego rozwoju. Pierwsze z tych zjawisk to upowszechnienie w USA, w stopniu dla Europejczyka po prostu szokującym — mentalności handlowej. Drugie to rzecz w potocznym odczuciu demokracji atrakcyjna: „wolna konkurencja" inicjatyw, sprawności i talentów, która umożliwiać ma awans i karierę osobistą najzdolniejszym jednostkom. Jest zrozumiałe, że szczególne nasilenie obu tych zjawisk ma miejsce w ośrodkach przemysłowych.

Handlowy sposób myślenia Amerykanów, który wciąż jeszcze bywa w Europie przedmiotem kpin, przestał — jak się wydaje — już dawno być w USA czymś specyficznie kupieckim, lub tym bardziej czymś wulgarnym. Przestał on nawet, jakkolwiek nam się to może wydawać dziwne, być czymś „prozaicznym", a przeciwnie: nabiera często akcentów wręcz sentymentalnych. „Misjonarz handlu amerykańskiego", ewangeliczna niemal „Służba" producentów benzyny, „czekających z chrześcijańskim uśmiechem na rozstaju dróg", czy szczytny obowiązek *keep smiling,* który „oliwi tryby naszej produkcji" — to nie są słowa, które w USA mówi się „z przymru-

żeniem oka". To są rzeczy, które tam są oczywiste i bez uświadomienia sobie tego faktu nie sposób chyba rozważać tamtejszej kultury.

Mentalność handlowa Amerykanów ma zresztą nie tylko owe zaskakujące cechy sentymentalne. Pamiętać trzeba, że ta mentalność przenika dzisiaj wszystkie dziedziny nauki, od chemii poprzez psychiatrię i psychologię aż do literatury: studia uniwersyteckie obejmują specjalne seminaria poświęcone „sposobom zdobywania czytelnika". Pamiętać trzeba, że przedmioty takie jak analiza rynków czy zasady reklamy wykłada się na dziennikarstwie i na psychologii, na uniwersytecie katolickim obok metafizyki i teologii a w szkołach średnich obok historii czy przyrody. Pamiętać trzeba, wreszcie, że dzięki takim programom nauczania, jak również wskutek zagarniania przez handel na swe usługi coraz liczniejszych dziedzin nauki, ogromna liczba pracowników handlowych ma dziś studia uniwersyteckie i wnosi niewątpliwie coraz liczniejsze elementy intelektualno-spekulatywne do handlowych sposobów myślenia. Na tle wszystkich tych faktów staje się zrozumiałe, że „mentalność handlowa" USA nie jest dziś mentalnością tej czy innej grupy zawodowej, ale zaryzykować chyba można twierdzenie, że stała się albo się staje mentalnością stosowaną we wszystkich dziedzinach życia.

Na tle owej powszechnej i prawie nie kwestionowanej akceptacji podejścia handlowego jako postawy nie tylko poprawnej, lecz oczywistej, oraz w zestawieniu z sytuacją nieustannej konkurencji o wszystko i ze wszystkimi, stosunki międzyludzkie w nowej cywilizacji cechować zaczyna w coraz większym stopniu pewien uprzejmy, lecz jałowy utylitaryzm oraz czujne, nużące napięcie. Drugi człowiek może przydać się albo zaszkodzić i to go głównie określa. Nawet jeżeli nie zagraża on komuś bezpośrednio w zawodowej czy handlowej konkurencji, może prześcignąć go w ogólnym sukcesie życiowym, a pamiętać trzeba że w atmosferze USA dać się prześcignąć — to już jest porażka. *To keep up with the Joneses* — nie dopuścić ażeby Jonesowie mieli cokolwiek czego ja jeszcze nie mam, popularne hasło rzucone celnie przez producentów przyjęte zostało z całą powagą przez konsumenta amerykańskiego.

Drugi człowiek jest to więc — upraszczając sprawy — zysk, szkoda, albo sprawdzian własnej wartości i niewątpliwe jest, że podejście takie, nawet jeżeli nie degeneruje się w prosty wyzysk albo zawiść, musi pogłębiać izolację wewnętrzną jednostek ludzkich i wyjaławiać w znacznym stopniu ich stosunki towarzyskie.

Amerykańska mniejszość katolicka nie decydowała, rzecz prosta, o gruntowaniu się w warunkach nowej cywilizacji prymatu ekonomii, którego uznanie wyraża się w powszechnej akceptacji podejścia

handlowego i „wyścigu" z Jonesami. Z chwilą jednakże kiedy prymat ów zaistniał w dziedzinie stosunków międzyludzkich, sprawą życia i śmierci mniejszości staje się umiejętność ideowej oceny źródeł każdego zjawiska i zwrócenie szczególnej uwagi na te fakty czy obyczaje, które (będąc nieraz same w sobie moralnie neutralne) stanowią przecież ogniwa anty-humanistycznego i anty-chrześcijańskiego systemu wartości. Tak więc na przykład, niewinny jeszcze na pozór fakt codziennego konformizmu wobec przyjętego w USA szablonu stosunków międzyludzkich i ekonomicznych kryteriów oceny innych i siebie — stanowi już przecie faktyczną zgodę na absolutny prymat ekonomii. W toku niniejszych uwag spotkamy jeszcze szereg podobnie „niewinnych" faktów świadczących o tym, że nie zawsze określona koncepcja świata jest najbardziej zagrożona przez przeciwstawne sformułowania teoretyczne, nawet usilnie forsowane. Bardzo często rujnować ją mogą stopniowo obojętne na pozór praktyki powszedniego dnia, które nie wymagając od człowieka otwartego, intelektualnego sprzeniewierzenia wyznawanemu systemowi wartości, wprzęgają go przecie w służbę systemu wręcz przeciwnego. Odejście od personalistycznej, chrześcijańskiej koncepcji świata i człowieka, które tak bardzo zdaje się dziś zagrażać katolikom, nie jest więc zdradą myśli, jak schizmy czy odstępstwa, ale — o ileż bardziej żałosną — zdradą bezmyślności.

Zadanie jakie przed współczesnymi katolikami USA stawia personalizm chrześcijański nie jest więc dziś łatwe intelektualnie. Utrudniają je pewne dodatkowe elementy. Prócz ciśnienia bezkrytycznego „instyktu adaptacji", o którym wspomniano już wyżej jako o zjawisku typowym dla amerykańskiego tempa zmian, elementem takim jest ogólne przytępienie czujności wobec zła. Przytępienie to, podobnie jak depersonifikacja stosunków międzyludzkich, uwarunkowane jest w znacznym stopniu przez sytuację jaką stwarza urbanizacja i uprzemysłowienie.

Przypadkowe i różnorodne zbiorowiska ludzkie wielkich miast, na które w Stanach składa się na skutek imigracji wyjątkowo wiele odmian tradycyjno-obyczajowych, musiały wytworzyć tolerancyjną kulturę pluralistyczną. Jakkolwiek zaś taki właśnie typ kultury ma w naszym odczuciu zabarwienie pozytywne, to przyznać trzeba realistycznie, że najłatwiejszą drogą adaptacji do wielości poglądów i obyczajów jest neutralizm moralny, czyli — mówiąc ściślej — nie tyle tolerancja wobec osób, co zobojętnienie sumienia. Nie oznacza to, rzecz jasna, że tolerancyjna kultura pluralistyczna jest sama w sobie zgubna moralnie. Oznacza tylko, że jeżeli nie ma ona stać się bezideową cywilizacją duchowych miernot, wymaga dużej kultury i wysokiego poziomu moralności, które nie zawsze można przy-

pisać młodym społecznościom miejskim w USA. Do ugruntowania neutralizmu moralnego, chroniącego przed trudem ocen, refleksji i zajmowania stanowiska przyczynia się różnorakość zjawisk i stosunków koniecznych, w jakie uwikłana jest każda jednostka ludzka w złożonym mechanizmie wysoko zorganizowanych społeczności miast przemysłowych.

W momencie więc kiedy mniejszość katolicka w USA potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek samodzielności i ostrości sądu, same już warunki socjologiczne nowej cywilizacji (nie mówiąc o innych, wtórnych niejako, elementach kultury USA) zdają się sąd ów przytępiać.

MAŁŻEŃSTWO W NOWEJ CYWILIZACJI

> **... mężowie są więc mężami, żony są wciąż żonami, rodzice i dzieci pozostali rodzicami i dziećmi, a przecież subtelna sieć stosunków wzajemnych uległa stopniowo znacznym przemianom.**
>
> **(J. L. Thomas, TJ: *The American Catholic Family*, New York 1956).**

Różnorodne aspekty postępu technicznego i związane z nimi handlowe i socjologiczne konieczności nie odbiły się na żadnej chyba dziedzinie równie mocno, jak na formach życia rodzinnego i na sposobach podejścia do tego zagadnienia.

Najwidoczniejsze są tu oczywiście zmiany w samej strukturze rodziny, która skurczyła się do swej komórki podstawowej: do małżeństwa z małymi dziećmi. Małżeństwo takie żyje najczęściej w dynamicznym demograficznie społeczeństwie, z dala od reszty krewnych, a na skutek różnie przebiegających awansów i karier życiowych oddala się od nich często także towarzysko i socjalnie. Wobec zniknięcia powiązań gospodarczych między członkami „rodu", los człowieka zależy już nie od solidarności z najbliższymi, lecz przede wszystkim od własnej sprawności osobistej i ewentualnie — od pracodawcy. Młode małżeństwa nie poczuwają się więc w tym co dawniej stopniu do świadczeń i pomocy rodzinnej. Los ludzi starych czy niezdolnych do zarobkowania uważać się zaczyna za sprawę państwa — nie krewnych. Wszystko to ma swoje konsekwencje społeczne i psychologiczne.

Przede wszystkim więc zdane na własne siły małżeństwo współczesne uzależnione jest w wielu problemach od anonimowych „potęg", takich jak państwo czy zakład pracy, szpital, biuro usług czy nawet redakcja kącika porad praktycznych w popularnym

piśmie. „Potęgi" te mają tendencje wzrostu. Niewątpliwie zwęża to zakres bezinteresownych i osobistych stosunków międzyludzkich, przekazując szereg spraw z kompetencji sumienia czy dobrej woli do rąk płatnych urzędników. W miarę jak wzrasta zakres ingerencji zdepersonifikowanych instytucji w czysto rodzinne do niedawna dziedziny życia, wzrastają także wzajemne wymagania emocjonalne małżonków, którzy w stosunkach swoich widzą często, i poniekąd słusznie, ostatni i jedyny w życiu współczesnym skrawek bezinteresownego przywiązania.

Nacisk na wartości uczuciowe i seksualne, który tak wyraźnie dominuje w małżeństwach typu „koleżeńskiego" i który często, przez zbyt wysokie wymagania, doprowadza do rozczarowań i rozbicia, ma zresztą także inne powody. Lęk przed bezrobociem, chorobą czy wojną, częsty brak obiektywnych i jasnych celów czy wartości ideowych i — wreszcie — atmosfera erotyczna jaką wytwarzają i świadomie akcentują literatura i psychologia, telewizja, reklama, kino czy piosenka, wszystko to składa się na równie piękną jak niebezpieczną iluzję: ludzie skłonni są sądzić, że zastąpią sobie nawzajem cały niepewny i bezosobisty świat i wszystkie brakujące w nim wartości. Gdy okazuje się to ponad siły zwykłej ludzkiej miłości, sądzą z kolei, że ich małżeństwo jest „nieudane". Czyż małżeństwo „żyjące tylko wzajemną miłością" to nie był ideał od wieków drogi powszechnemu odczuwaniu? Na pewno więc nie jest łatwo w dzisiejszej atmosferze USA zachować żywą, katolicką świadomość tego, że uczuciowe czy erotyczne uniesienia nie stanowią jedynej i całej treści małżeństwa i że jest ono związkiem dwojga ludzi, zobowiązujących się do służenia określonym i niełatwym nieraz celom.

Cywilizacja współczesna wywarła znaczny wpływ nie tylko na zewnętrzną strukturę rodziny ale także na układ ról wewnątrz małżeństwa. Niewątpliwe jest przede wszystkim, że zmieniła się rola męża jako głowy domu. Nie przewodzi on już, jak dawniej, wspólnym czynnościom gospodarczym czy domowym lecz przeciwnie, spędza większość dnia w fabryce albo w biurze, a wpływ na dzieci i bieżące decyzje praktyczne przejęła żona. Powszechny w USA fakt utrzymywania domu przez mężczyznę nie decyduje już w sposób zasadniczy o jego przewadze; kobieta zwykle umie i może zarobić na siebie w razie potrzeby, większość dziewcząt pracuje zawodowo aż do dnia ślubu. Zarówno więc samopoczucie jak i zakres zainteresowań kobiet są dziś odmienne niż w czasach całkowitej życiowej i intelektualnej zależności od mężczyzny, i oczywista jest konieczność przemyślenia na nowo wcielenia chrześcijańskiej koncepcji ról obydwu małżonków.

Wydaje się, że pomyłką jaką skłonni są czynić katolicy amerykańscy na temat równouprawnienia jest sprowadzanie różnic płci wyłącznie do dziedziny seksualnej, przy milczącym założeniu, że poza tym żadnych różnic nie ma, ani emocjonalnych, ani psychologicznych, ani umysłowych. Założenie takie jest najoczywistszą nieprawdą, zubaża koncepcję osoby ludzkiej, ograniczając jej bogactwo i złożoność do jednego tylko aspektu, a w praktyce pożycia małżeńskiego prowadzi nieraz do zimnego współzawodnictwa zamiast współpracy i do „samotności we dwoje" zamiast przyjaźni małżeńskiej, która wymaga i różnic i uzupełnień.

PRAGNIENIA PREFABRYKOWANE

> **Kapitalizm umarł, niech żyje konsumpcjonizm!**
> **(V. Packard, *The Hidden Persuaders*, New York 1957).**

Rozwój organizacji handlu i reklamy współczesnej odbija się również — i to w sposób bardzo widoczny — na małżeństwie amerykańskim. Pamiętać trzeba przede wszystkim, że dobrobyt Stanów Zjednoczonych to zjawisko niepowtarzalne ekonomicznie: podczas bowiem kiedy inne bogate kraje zawdzięczają swą stopę życiowej tej czy innej formie dopływu kapitałów z zewnątrz, Ameryka doszła do ogromnej zamożności głównie dzięki obrotowi wewnętrznemu. Stałe zwiększanie nie tylko siły ale i chęci nabywczej ludności, przy importach górujących przez długi czas nad eksportami, było więc już dawno sprawą dla amerykańskiego handlu zasadniczą i nic dziwnego, że USA są kolebką i królestwem reklamy.

Ogromny wzrost ilości dóbr konsumpcyjnych w ciągu ostatnich lat oraz przestawienie zakładów przemysłowych na produkcję masową, często zautomatyzowaną, spowodowały jednak całkowite niemal zaspokojenie racjonalnych, a nawet luksusowych zapotrzebowań ludności. Utrzymanie dotychczasowego poziomu wytwórczości oraz obrotów handlu wymaga więc dzisiaj, mówiąc otwarcie, zmuszania ludzi do kupowania rzeczy niepotrzebnych. W języku tamtejszym nazywa się to z całą powagą i bez żenady „fabrykowaniem zapotrzebowania". „Nasz problem nie leży w tym, że produkujemy za dużo sera — miał się wyrazić amerykański król serów, Senator Wiley — nasz problem to fakt, że za mało sera się spożywa!"

Argumenty jakimi posługują się w stosunku do swych sytych konsumentów producenci w USA są równie niewybredne moralnie jak skuteczne. Reklama współczesna, której przemożny nacisk

spycha, jak wiadomo, zamożnych obywateli w finansową gospodarkę „z dnia na dzień", lub nawet w permanentne zadłużenie w formie zalegających spłat ratalnych, nie stara się już dziś wyliczać zalet czy składników produktu danej firmy. Wobec poziomu i standaryzacji przemysłu produkty wszystkich firm są dość dobre i dość podobne. Reklama nie stara się także perswadować, że konsument potrzebuje danego przedmiotu dla swej wygody lub przyjemności. Dzięki względnemu wyrównaniu stopy życiowej większość obywateli posiada pralki, samochody itp. i to w bardzo dobrym stanie. Reklama uderza więc wprost i otwarcie w najbardziej ,pewne" struny ludzkiej próżności: małostkowe, płaskie i głupie.

„Musisz mieć telewizor model 58 — czyta się na olbrzymich plakatach handlowych — bo twoi sąsiedzi już go mają". W kraju gdzie już nie pochodzenie, nie wykształcenie i nawet nie stanowisko, ale r z e c z y są legitymacją wartości, nie sposób dopuścić do takiej hańby. „Ona używa jeszcze zeszłorocznego modelu", straszy z innego ogłoszenia sugestywnie pogardliwy grymas nieskazitelnej elegantki, odwracającej się z bezgranicznym niesmakiem od cudzej lodówki. Całe ekipy tzw. „specjalistów od zohydzania przedmiotów posiadanych", tj. psychologów, socjologów i psychiatrów, opracowywały ów plakat i nic dziwnego, że nie spodobałby się on naszym plastykom. Próba zastosowania kryterium sztuki jest bowiem w tym wypadku przysłowiową kulą w płot. Z jaką siłą działa jednakże na panie domu w USA sama myśl, że „opracowana naukowo" scena z lodówką mogłaby się rozegrać w ich własnej kuchni świadczy fakt, że po tym ogłoszeniu cyfry sprzedaży skoczyły o dwadzieścia kilka procent.

Metody powyższe, schlebiające otwarcie i bez skrupułów uczuciom, które dawniej zwykło się przynajmniej — ukrywać, są zresztą zgoła niewinne w porównaniu z „kampaniami na podświadomość", które wchodzą w coraz to częstszy użytek i na których opracowanie wydaje się od lat miliony dolarów. Zaznaczyć tutaj należy, że omawiana u nas szeroko metoda „sugestii błyskowych" stosowanych w kinie jest tylko jednym z setek chwytów tego rodzaju i to według opinii wielu rzeczoznawców chwytem nie bardzo udanym. Cała ta dziedzina działalności, zmuszająca ludzi do kupowania tych a nie innych rzeczy z nieuświadomionych im samym pobudek i na skutek bodźców psychologicznych, o których zaistnieniu nie mają nawet pojęcia, zasługuje w każdym razie na osobne omówienie. Sam fakt jednakże kształtowania woli i pragnień konsumentów bez ich wiedzy, w imię „ekonomicznych konieczności produkcji", które są znane garstce managerów, budzić musi uzasadniony niepokój. Czy np. w dziedzinie polityki pozbawianie

ludzi przemocą dóbr, praw i wolności nie wydaje się metodą prostacką i niepewną w porównaniu z wyjałowieniem ich nieznacznie i bezboleśnie ze zdolności samodzielnego myślenia?

Nieustający nacisk różnorodnych kampanii handlowych pod autentycznym zresztą hasłem: „strzeż się kliencie!", oraz podsycana przez nie gorączka nieustannego wyścigu rujnują już dziś w dużym stopniu harmonię życia małżeńskiego. Mąż bowiem, w wyczerpującej pogoni za zarobkiem, koniecznym dla posiadania nowego telewizora przed sąsiadem, zaniedbuje nieraz dla tej „idei" własną żonę, wypoczynek i szczęście osobiste. Pani domu, dręczona przez koszmarne wizje, zohydzające jej zeszłoroczną lodówkę, zohydza siebie samą w oczach męża przez nieustanne wyrzuty i narzekania. Oboje — żyjąc stale z bieżących zarobków — i nie mogąc z powodu snobistycznych „musów" robić jakichkolwiek oszczędności, zatruwają się lękiem przed bezrobociem, przed chorobą, przed jakąkolwiek życiową katastrofą, która w ich warunkach jest jednoznaczna z natychmiastową nędzą. Oczywiście obraz ten jest karykaturalnie przerysowany: tylko część małżeństw znajduje się w tak skrajnej sytuacji. Lecz sam fakt, że staje się ona zwolna „masowa", uzasadnia poważne obawy co do społecznych skutków kampanii reklamowych.

Nie jest nigdy łatwo iść „pod prąd" dążeń i kryteriów otoczenia. Jeżeli więc katolicy USA nie będą bardzo jednoznacznie świadomi jaką hierarchią wartości posługują się „stratedzy rynków" w lansowaniu „wyścigu posiadania", to nie zdołają się temu wyścigowi oprzeć.

DZIECI — ISTOTY NIEZNANE

> Bardzo płytko myśli ten, kto utrzymuje, że rodzina jest podstawową komórką społeczną, a nie robi nic, żeby pensje i mieszkania umożliwiały zadania rodzicielskie. Jest brakiem elementarnego realizmu — sławić chrześcijański ideał czystości przedmałżeńskiej a nie sprzeciwiać się warunkom i praktykom, które czynią ideał ten bez mała nieosiągalnym.
>
> (John C. Knott, *The Cana Movement in the USA*, Washington 1953).

Jeśli chodzi o rodziców to i tu również powstała nowa życiowa sytuacja, która wymaga niejednego przemyślenia a także konkretnych akcji społecznych. Przede wszystkim dla osamotnionego

małżeństwa współczesnego, pozbawionego zwykle pomocy ze strony krewnych i uwikłanego w „wyścig posiadania", wychowywanie dzieci przedstawia mnóstwo trudów i wyrzeczeń. Do trudności tych przyczyniają się niewątpliwie warunki ogólne, jakie wytworzyły się wskutek powszechnego używania środków antykoncepcyjnych. Społeczeństwo USA, które w praktyce nie uważa małżeństwa, tak jak katolicy, za związek o charakterze religijnym, lecz poniekąd za sprawę również „konsumpcyjną", przyjęło bez zastrzeżeń wszystko co nauka potrafi dziś ofiarować w celu zaoszczędzenia kłopotów macierzyństwa. Jeśli jednak jakaś praktyka staje się powszechna i zyskuje swoistą sankcję obyczajową modyfikuje ona również instytucje i styl życia danego środowiska. Tak więc np. większość Amerykanów żeni się młodo, zakładając z góry, że nie przesądza to o posiadaniu dużej liczby dzieci. Dzieci rodzą się zwykle w ciągu pierwszych paru lat, a po „odchowaniu" ich stosunkowo jeszcze młoda matka cieszy się znów pewną swobodą, może — jeśli chce —wrócić do pracy. Nic więc dziwnego, że katolicy USA coraz powszechniej zdają sobie sprawę z konieczności domagania się i tworzenia na własną rękę warunków sprzyjających realizacji katolickiej koncepcji małżeństwa.

Wychowanie młodzieży również przedstawia w USA problem dosyć skomplikowany. Dotychczasowa koncepcja tzw. „opieki rodzicielskiej", w sensie stałego „mienia młodych na oku", nie daje się realizować w życiu współczesnym. Młodzi ludzie mają dość wcześnie nie tylko własne kluby, znajomości i rozrywki, ale nawet własne samochody. Jednocześnie zaś autorytet osobisty rodziców, który pozostaje w tej sytuacji głównym narzędziem działania, zmalał na ogół znacznie. Szybkie postępy techniki wyprzedzają często zakres wiedzy a nawet umiejętności starych ludzi, umożliwiając jednocześnie samodzielność i dobre zarobki ich dzieciom. W wypadku imigrantów niemałą rolę w zanikaniu autorytetu gra stopień asymilacji młodzieży i bariera językowa. Specjalizacja wychowania, wreszcie, która pozwala rodzicom przekazać dużą, często za dużą, część odpowiedzialności szkole, księdzu, poradniom psychologicznym czy klubom sprawia, że w chwili kiedy próbują oni zrobić użytek ze swego autorytetu rodzicielskiego, okazuje się że autorytetu tego nie ma.

Kryzys autorytetu stanowi niebezpieczeństwo tym groźniejsze, że „młodość" trwa teraz — jak wiadomo — dłużej niż dawniej. Wspólne prace w jakich stosunkowo wcześniej brały już udział dzieci w rodzinach chłopów, rzemieślników czy drobnych kupców powodowały niewątpliwe braki w ich wykształceniu teoretycznym, a często też w zdrowiu, lecz przyczyniały się do wyrabiania pewnej

życiowej dojrzałości i odpowiedzialności. W obecnych warunkach USA lata szkolne przedłużają znacznie niefrasobliwy okres „sztubacki", nie dając jednocześnie dostatecznego przygotowania wewnętrznego do pracy zarobkowej. Bardzo „dziecinni" jeszcze młodzi ludzie przerzucani są więc z cieplarnianych w pewnym sensie warunków szkoły wprost do fabryki czy biura, gdzie po zbyt długiej młodości muszą przemienić się zbyt gwałtownie w dorosłych ludzi.

Jeśli się zważy jeszcze, że „obowiązujący" niejako styl życia młodzieży w USA oraz utrzymywana tam stale, w celach nieraz handlowych, atmosfera seksualnego napięcia działają najoczywiściej przeciw chrześcijańskim normom postępowania, trudności wychowawcze rodziców katolickich stają się niewątpliwe. Także i w tej dziedzinie muszą oni — prócz konsekwentnego myślenia — zdobyć się także na konkretne akcje społeczne.

Jak widać z uwag powyższych, postępy techniczne ostatnich dziesięcioleci stworzyły cały szereg nowych, życiowych sytuacji, a drogi adaptacji do nich są niezawsze bezsporne moralnie. Drogi te są tym bardziej niepokojące, że nie alarmują w dostatecznym stopniu poczucia etycznego, wykształconego na sytucjach i sposobach postępowania typowych dla innego rodzaju cywilizacji.

W tym stanie rzeczy, integralność ideowa mniejszości katolickiej w USA może uchronić się od „adaptacji bezwarunkowej" jedynie przez bardzo głębokie i twórcze odrodzenie sumienia i intelektu, pozwalające chcieć i umieć ocenić właściwie źródła nowych zjawisk cywilizacji, dokonać pośród nich wyboru, rozwiązać świadomie i poprawnie nowe sytuacje życiowe jakie stwarza cywilizacja techniczna, wreszcie stawić czoło teorii i praktyce „królestwa konsumentów". Dlatego warto podać tu kilka, pobieżnych z konieczności, uwag o pewnych cechach konsumpcyjnego materializmu.

DETERMINIZM DOBROBYTU

> **...Nieraz się wydaje, że ludzkość tylko po to stanęła u progu wolności, aby jej historia natychmiast zaczęła się pogrążać... w jakimś nowym determinizmie... Czy taka perspektywa musi wynikać z samego technicznego rozwoju cywilizacji współczesnej?**
>
> **(Z. Kubiak, *Szkice XX wieku*, „Tygodnik Powszechny", Nr 482*).**

Pierwsze, teoretyczne chociażby, zetknięcie z kulturą USA pozostawić musi w każdym, kto wychował się na europejskich trady-

cjach myślenia, wrażenie zdumienia i dezorientacji. Warunki w których wyrośliśmy i trwamy w „starym świecie" stawiały nam i stawiają nadal przed oczyma, aż nazbyt brutalnie, niedostatek materialny lub przymus ideologiczny jako główne — a jesteśmy skłonni sądzić, że jedyne — przeszkody w rozwoju kultury, osobowości i zmysłu moralnego. Praktyczne formy naszych pragnień kształtują się więc mniej więcej tak: gdybyż można na tyle usprawnić gospodarkę, żeby wreszcie dla wszystkich starczyło... Gdyby można położyć kres wszelkiej nietolerancji... Gdyby człowiek mógł robić i myśleć co chce...

Otóż USA to kraj gdzie gospodarkę usprawniono w najwyższym stopniu. Podział dóbr jest wprawdzie nierówny, ale przecie starcza dla prawie wszystkich na rozsądne, a w naszym pojęciu nieraz luksusowe potrzeby. Usprawniona gospodarka, jednakże, to gigantyczne i skomplikowane technicznie zakłady pracy, których operatywność zależy i zależeć musi od sprawności i swobody decydowania garstki specjalistów, a opłacalność wymaga porozumień i uzgodnień jeszcze węższej grupy potentantów wielkiego przemysłu.

W najbogatszym, najwyżej stojącym technicznie kraju świata 42 miliony ludzi z 52 milionów zatrudnionych w przemyśle, handlu i finansach, uzależnione jest nietylko od reklamowanych głośno i słusznie wysiłków i inicjatywy, ale przede wszystkim, niestety, od „pensji" i „koniunktury", tj. od splotu spraw technicznych, na które szary człowiek nie może mieć żadnego praktycznego wpływu i których — bez studiów specjalnych — nie jest w stanie dziś nawet zrozumieć. Tej zasadniczej technicznej konieczności nie mogą zmienić w sposób radykalny systemy akcjonariatów pracy, mimo swego niewątpliwego znaczenia psychologicznego. Gdyby nawet nastąpiło w Stanach Zjednoczonych upaństwowienie środków produkcji, uległby pewnie zmianie tylko skład personalny zarządzających, ale nie struktura zarządzania — zcentralizowana i elitarna z racji samej swojej specjalizacji. Tego bowiem wymaga „autonomiczna" już dziś niejako potęga, o której śnili XIX wieczni humaniści i która rzeczywiście daje 42 milionom zatrudnionych godziwą stopę życiową: p o s t ę p t e c h n i c z n y.

Ogniwa nieubłaganych „konieczności obiektywnych" tego postępu biegną dalej niepowstrzymanie; jeżeli rozwój to opłacalność, to masowość, to standaryzacja, to niski koszt, to mierna jakość artystyczna... Najbogatszy kraj na świecie, jak wiadomo, wysyła po dziś dzień swoich „wybrednych" do Europy po smak, po niepowtarzalność linii, po zróżnicowanie. Ale liczba wybrednych nie rośnie, jak by należało się spodziewać w społeczeństwie uwolnionym od trosk niejako elementarnych. Liczba wybrednych jest

obiektywnie niepotrzebna dla masowości, dla standaryzacji, dla niskiego kosztu. W rozrachunku liczy się konsument „szary", który musi szarym pozostać, aby kupować to co obiektywnie kupować musi, jeżeli nowoczesny system produkcji ma się rozwijać bez przeszkód. Smak konsumenta, jego kultura osobista stają się więc i muszą się stawać tym, czego wymaga prawidłowość procesów ekonomicznych. Jak wykazują niezliczone ankiety masowe, większość zapytanych o własne, prywatne życzenia, odnoszące się do wyglądu czy jakości poszczególnych wyrobów przemysłowych, nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Reszta — kłamie. Podaje mianowicie cechy, o których sądzi, że są bliskie lansowanemu ostatnio ideałowi nowoczesności. Tak naprzykład 90% nabywców pewnej marki piwa oświadczyło, że lubi tylko gatunek „jasny, wzmocniony", taki sam jaki pije „stuprocentowy mężczyzna" na plakacie, opracowanym przez biegłych freudystów. W rzeczywistości piwa tego sprzedawano najwyżej 10%, ponieważ wszyscy naprawdę piją ciemniejsze, „popularne".

Tak więc oto europejskie pojęcie wolności, które zawiera — w sposób mniej lub bardziej sprecyzowany — trzymanie własnego losu we własnych rękach, nieograniczony wzrost poczucia i wcieleń piękna, możność i chęć indywidualnego wyboru, nie urzeczywistnia się automatycznie z chwilą usunięcia materialnego ucisku i niedostatku. Nasze zwykłe i konieczne postulaty negatywne nie są — okazuje się — wystarczające.

Postęp techniczny przerósł ludzką zdolność opanowania sytuacji w jakiejś trudnej do uchwycenia chwili, w której prymat jego stał się absolutny, zastępując wszystkie inne systemy wartości. Świadomość tego pogłębia się, kiedy od spraw związanych bezpośrednio z gospodarką przechodzimy do zagadnień kulturalnych czy psychologicznych.

Wielkomiejskie środowiska przemysłowe z ich dynamiką demograficzną i stałym, nieograniczonym w praktyce „przepływem kadr" wzwyż, stwarzają niewątpliwie atmosferę tolerancyjną. Ale na tle dużej swobody myślenia a zarazem dużego zróżnicowania tradycji narodowych czy religijnych, nie rozkwita bynajmniej na skalę masową bogactwo postaw czy zainteresowań intelektualnych, jakich należałoby w tych warunkach oczekiwać. 98% ludności USA czyta w zasadzie tylko gazetę codzienną i nic więcej. Poważniejsze periodyki społeczne czy literackie znajdują zaledwie 2% odbiorców. Tzw. „smak konkretu", którym nieraz próbuje się wyjaśnić mentalność Amerykanów, wydaje się w praktyce smakiem dorywczego utylitaryzmu, który czyni po prostu niezrozumiałym „bezinteresowny" ekonomicznie wysiłek abstrakcyjnego myślenia. W USA ludzie za-

sięgają porad psychiatrów w sprawach takich jak „nękanie przez problemy metafizyczne" czy też „brak wspólnoty gustów z innymi ludźmi". I jest faktem, że l e c z y s i ę tam takie rzeczy.

Zagadnienia takie jak sens życia, czy jakiś logiczny system poglądów, lub całościowa ocena różnych zjawisk są więc znowu — podobnie jak w wypadku przemysłu, gustów czy wychowania — domeną nielicznych „specjalistów". Ci miewają świetne osiągnięcia w nauce czy sztuce. Masowe zainteresowania jednak odpływają najwyraźniej od zainteresowań humanistycznych, to jest takich, które wymagają wysiłku intelektualnego, ku postawie biernie-konsumpcyjnej. Pracownicy telewizji wybierają filmy, które widz „powinien" oglądać, coraz większa ilość poważniejszych wiadomości publikowana jest w formie „comicsów", co raz więcej instytucji i wydawnictw pracuje nad tym jak zorganizować dla ludzi ich własny, wolny czas.

Człowiek może więc myśleć i robić co chce — i cóż robi? Wyręcza się „specjalistami". „Opracujemy i sprzedamy ci ideał ciebie", głoszą wielkie domy mody. Człowiek robi się takim, jakim go potrzebuje — postęp. Postęp uwalnia go wzamian stopniowo od trudu wolności, wolności w tym sensie za jaki ginęli ludzie w „starym świecie". Ale wizja Camusa „szczęścia niewolników" nie jest kompletna. Twórca postępu jest bowiem naogół nieświadomy alienacji. Nie zauważył kiedy i jak nastąpiła.

Może jednak w „społeczeństwie otwartych klas", jakim jest niewątpliwie Ameryka, ambicje zawodowe czy osobiste mogą być zaspakajane w sposób niejako ułatwiony, bez zwichnięć i zubożenia osobowości, jakie powodują tak często w innych krajach zbyt ciężkie i gorzkie wysiłki „wybicia się" czy zrobienia „kariery"? Fakty różnią się i tu także od przypuszczeń. Według powszechnej w Stanach Zjednoczonych opinii, większość energii obywateli „społeczeństwa otwartych klas" zużywana jest na wywalanie owych otwartych drzwi, czyli na awans życiowy. Określenia takie jak (dosłownie) „forsowna wspinaczka społeczna" figurują nieraz jako przyczyna wielu zaburzeń psychicznych. W procesach rozwodowych żony nierzadko oskarżają mężów o niedosyć szybkie „wspinanie się".

Otwarte klasy, nieograniczona możliwość wzrostu stopy życiowej, rosnąca stale produkcja dóbr konsumpcyjnych, wszystkie te — zdawałoby się — oczywiste dary postępu noszą w sobie immanentne niebezpieczeństwo obumierania humanistyki, o ile humanistyki tej nie uzasadnia bardzo świadomy i jednoznaczny filozoficznie system wartości.

Energia ludzka nie jest przecie niewyczerpana. Tymczasem w życiu Amerykanina nie ma momentów odprężenia od „wspinaczki", nie ma okresów równi prostej, w ciągu których pęd kariery przechodzi niejako w ruch jednostajny, pozwalając na chwile skupienia czy refleksji „bezinteresownej". Klasy otwarte zniewoliły człowieka równie silnie, choć całkiem inaczej, niż brutalne bariery zamkniętych klas. Chociaż więc jasne jest, że szanse jednostki ludzkiej, a także przeciętna wykształcenia, wzrosły niepomiernie, co niewątpliwie jest zdobyczą, to przecież rozwój kultury mas w USA nie stoi w żadnym stosunku do tego, czego oczekiwano za „barierami". Powodem tego stanu rzeczy nie jest z pewnością brak potencjalnych zdolności i talentów, ale raczej jeszcze jedna konieczność „obiektywna" postępu: wzrost stały i przyspieszony.

Podczas gdy w starym świecie myślimy ciągle o zapewnieniu „wystarczającej" stopy życiowej i „zadawalających" życiowych możliwości, w USA staje się coraz bardziej oczywiste, że ani w psychologii ani w ekonomii takich pojęć nie ma. Przyspieszony wzrost produkcji, pragnień, spożycia oraz techniki kierowania „gospodarką", tj. także wolą i odruchami ludzi, nie osiągnął jak dotąd „punktu zadowolenia". Wzrost ten, którego przerwanie w skali kraju grozi katastrofą ekonomiczną, a w skali życia jednostki klęską ambicji i utratą poczucia własnej wartości, staje się więc jeszcze jedną wartością nadrzędną, zarówno w kulturze jak w moralności, podporządkowując je prymatowi ekonomii.

Głęboka sprzeczność między chrześcijańskim personalizmem a materializmem konsumpcyjnym nie leży więc, jak widzimy, w samych faktach społecznych czy obyczajowych spowodowanych przez postęp techniczny, gdyż poszczególne fakty można rozmaicie kwalifikować. Nie leży ona tym bardziej w samym postępie, który nie jest — rzecz jasna — immanentnie zły, chociaż jest niewątpliwie immanentnie niebezpieczny. Sprzeczność zasadnicza, z której zdać sobie musi sprawę nie tylko mniejszość katolicka w USA, ale cały świat w przede dniu nowej technicznej epoki, leży w starciu systemów wartości. Praktyczne absolutyzowanie ekonomii w życiu społeczeństw i jednostek ludzkich nieuchronnie doprowadzić musi do usychania wszystkich tych cech człowieka, którym humaniści wszystkich czasów i przekonań chcieli torować drogę mówiąc „wolność". Szczególne niebezpieczeństwo stanowi tutaj fakt, że absolutyzacja ekonomii może się odbyć stopniowo i niespostrzeżenie, nie drogą głośnych a nawet tragicznych sporów ideologicznych, ale właśnie wtedy i właśnie tam gdzie sporów takich nie ma, lub gdzie zaczyna się je uważać za zbędne i bezprzedmiotowe.

TEORIA I PRAKTYKA

> **Religia i prawo moralne nie zostały właściwie nigdy odrzucone. Uznano je tylko stopniowo za „nie nadające się" do stosowania w życiu praktycznym.**
> **(George Kelly: *Catholics in the Practice of the Faith*).**

W utajonej absolutyzacji ekonomii szukać należy przyczyny dziwnego zjawiska: choć amerykańska kultura dominująca nie wyrzekła się nigdy świadomie i oficjalnie chrześcijańskiego systemu wartości, to systemowi temu przeczy nieświadoma swych źródeł i konsekwencji praktyka powszednia. Owe niekonsekwencje prowadzą nie tylko do moralnego indyferentyzmu oraz do stopniowego zagłuszania w sobie wszelkich pytań zasadniczych, ale również do czysto praktycznych trudności.

Oto naprzykład fakty pierwsze z brzegu. Oficjalnym postulatem wychowawczym jest po dziś dzień powściągliwość erotyczna. Nikt jednak nie oponuje przeciw środkom jakich używa telewizja, kino, literatura, a przede wszystkim chyba reklama, aby wytworzyć i podtrzymywać atmosferę seksualnego napięcia i nikt również nie oponuje przeciw stylowi i metodom najrozmaitszych instytucji rozrywkowych, eksploatujących w sposób nieraz dość niewybredny ludzką wrażliwość erotyczną. Nic dziwnego, że ciśnienie niezliczonych, prowokujących sytuacji przeważa zwykle opory pozostawione przez napomnienia szkoły albo rodziców. Nikt nie ma wątpliwości co do tego jak spędzają czas młode pary na samotnych wycieczkach czy spotkaniach. Jednak w wypadku ciąży, społeczeństwo i rodzina zainteresowanych reagują tak, jakby wcale nie mieli pojęcia o faktycznym sposobie życia młodzieży. Wybucha hałaśliwe zdumienie, najczęściej też następuje przyspieszony ślub, przy czym zaznaczyć warto, że według danych znanego socjologa, H. T. Christensena, ok. 20% pierwszych dzieci w USA przychodzi na świat przedwcześnie, a jednocześnie ok. połowy małżeństw zawartych w tego rodzaju przymusowej sytuacji rozpada się stosunkowo szybko. Duża ilość badaczy USA i to bynajmniej niezwiązanych z katolicyzmem stwierdza też, że najniższa ilość rozbitych małżeństw występuje w tych grupach ludzi, którzy nie prowadzili przed ślubem tzw. „bujnego życia erotycznego". Nawet czysto społeczne względy nakazywałyby więc konsekwencję wobec poglądów, które są głoszone oficjalnie. A jednakże konsekwencji takiej brak.

Podobne sprzeczności pomiędzy teoretycznymi postulatami a praktyką dorywczych, konsumpcyjnych rozwiązań zaobserwować można

w dziedzinie rozwodów. Prawie każdy uważa w USA za oczywiste, że małżeństwo powinno być trwałe, jeśli nie z pobudek religijnych to z oczywistych względów dobra społecznego. Nie wydaje się aby istniały tam wątpliwości — jak to miało miejsce u nas, przynajmniej w prasie — co do celowości i potrzeby trwałych małżeństw „w ogóle". W wypadku jednak każdego, pojedynczego rozwodu, małżeństwa nie traktuje się już jako społeczne zobowiązanie, lecz jako sprawę wyłącznie osobistą. Przeświadczenie, że nie podlega ono kategoriom prawa czy moralności, znajduje wyraz w wielkiej ilości rozwodów tzw. „zgodnych" tj. takich, których przebieg sądowy jest z góry ukartowaną grą, mającą na celu obejście przepisów prawnych. Dość popularny pogląd na te wypadki głosi, że „rozwód jest i tak tylko zakończeniem nieudanego już małżeństwa", ignorując tym samym fakt zupełnie oczywisty, że wobec perspektywy łatwego „zakończenia" wysiłki aby małżeństwo było „udane" są zwykle conajmniej problematyczne, i — w skali społecznej — instytucja rozwodów musi prowadzić do rezygnacji z kontynuowania pożycia już w wypadku stosunkowo błahych trudności.

Niekonsekwencje w zagadnieniach małżeństwa czy wychowania, które podane zostały przykładowo, mają swoje odpowiedniki w każdej niemal dziedzinie życia. Kraj, który włożył największe w świecie wysiłki i pieniądze w różne formy „higieny psychicznej" mającej na celu ułatwienie ludziom „adaptacji" do wszelkich życiowych trudności, wykazuje najwyższe liczby zaburzeń psychicznych, „nieprzystosowań", rozwodów. Z drugiej strony jest rzeczą znaną z historii, że ludzie potrafili adaptować się zadziwiająco i bez pomocy lekarza do niesłychanie ciężkich sytuacji. Ludzie ci jednak wiedzieli zwykle po co chcą się adaptować. W USA natomiast „adaptacja" funkcjonuje jako wartość sama w sobie, nie udzielając człowiekowi odpowiedzi na pytanie po co, trudno bowiem oczekiwać by obywatel inspirował się w wypadku klęsk osobistych „koniecznościami produkcji". Tak więc wspaniałe i nieraz zdumiewające odkrycia psychologii, która stoi w USA niezwykle wysoko, umacniają nieraz w człowieku raczej postawę psychicznej bierności niż wiarę we własną zdolność przezwyciężania trudności. Własną słabość czy oczywiste czasem zło, jak np. alkoholizm, ludzie skłonni są uważać za „symptomy" jakiejś moralnie obojętnej choroby i oczekiwać rozwiązania i określenia własnej osobowości i własnej drogi raczej od „specjalisty", niż od siebie.

Niepodobna tu wyliczać wszystkich faktów występujących w obyczajowości USA, które zawierają podobne sprzeczności i niekonsekwencje. Ale nawet drobne fakty w tym kraju odzwierciedlają główną linię starcia personalizmu i konsumpcjonizmu, takie starcie

wydaje się istotą przełomu na całym świecie, o ile świat ten ostanie się — rzecz prosta — „obiektywnym koniecznościom techniki". Nawet konflikty wielkiej polityki, dramatyczne i groźne w losach pojedynczych krajów czy jednostek, wydają się pomimo wszystko marginesami tego zasadniczego dylematu, który czeka całą ludzkość w wypadku jej przetrwania: cel ludzi w rzeczach, czy cel ludzi ponad rzeczami i poprzez nie? Absolutne normy moralne, nadrzędne wobec „konieczności" ekonomicznych i nawet wobec niebezpieczeństwa wyrzeczeń materialnych? Czy normy względne, uzależnione od technicznych fluktuacji i narzucone przez „strategów rynków" ludziom nieświadomym nawet tego czy, komu i poco służą? Prymat osoby czy prymat ekonomii?

Oby personaliści całego świata potrafili odpowiedzieć na te pytania, przynajmniej samym sobie, jasno i konsekwentnie, w wielkich decyzjach i w praktykach codziennych nadchodzącej cywilizacji.

Maria Garnysz

ZDZISŁAW ŁAPIŃSKI

WIDZENIE UZBROJONE

Pół wieku krytyki literackiej w USA

NEW CRITICISM

The Armed Vision, a więc wizja czy raczej widzenie uzbrojone — te słowa Coleridge'a posłużyły za tytuł pewnej książce rozpatrującej metody badawcze we współczesnej krytyce amerykańskiej. Tytuł usprawiedliwiony. Ostatnie trzydzieści lat przyniosło ważne zdarzenia w tej dziedzinie. Gwałtowny rozwój prozy i usamodzielnianie się poezji od francuskich i angielskich wzorów dostarczyły krytyce materiału w obfitości, podniosły też wymagania jej stawiane, przyczyniły się do zróżnicowania i odnowienia narzędzi pracy. Równoczesny rozkwit nauk społecznych, psychologii w wariancie psychoanalitycznym i behaviorystycznym, semantyki oraz wiedzy o kulturze, spowodował inwazję licznych technik postępowania naukowego.

Pierwsza obserwacja dotycząca bieżącej produkcji krytyczno-literackiej w Stanach Zjednoczonych powinna się odnieść do ilości i standartu ukazujących się książek. Tych książek jest zadziwiająco dużo, a są one na poziomie zazwyczaj przekraczającym poprawność. Dzieła zaś, które nie roszczą sobie pretensji do odkrywczości, pełnią przynajmniej rolę istotnie informującą. Tak więc czytelnik podejmujący ryzykowną wyprawę w świat Jamesa Joyce'a czy doświadczający swej wrażliwości na poezji T. S. Eliota ma do dyspozycji liczne interpretacje i komentarze, które nie usiłują narzucić omawianym pisarzom własnych norm estetycznych, religijnych czy politycznych, lecz z godną pochwały skromnością ograniczają się do rozwiązywania trudniejszych aluzji, tłumaczenia „realiów", wydobywania zasadniczego kierunku myśli i wzruszeń, objaśniania kluczowych reguł kompozycyjnych. Nieopodal tej użytkowej krytyki znajdą się szkice i studia o charakterze intymnym i jednostronnym, gdzie własne credo wykładają artyści. Od wojujących artykułów Ezry Pounda z lat dwudziestych i trzydziestych po nowsze i bardziej powściągliwe esesje takich poetów jak Karl Shapiro (personalistyczna koncepcja twórczości w *Beyond Criticism*) lub

Randall Jarrell (*Poetry and the Age*). Tutaj ważne będzie nie tyle doskonalenie metody, ile formowanie nowoczesnego odczuwania lirycznego. W Polsce znajdujemy bliskie analogie dla tych publikacji wśród eseistyki Juliana Przybosia. Boczne rozgałęzienia krytyki obejmują obszerne tomy ustanawiające społeczne oraz intelektualne tło dla literatury. Jakieś odległe — poprzez Francję pozytywizmu — koligacje z Chrzanowskimi i Brücknerami. I jeszcze publicystyka polityczna i filozofująca, która podejmuje zajazdy na literackie włości, także rzecz w naszym kraju nie obca.

Ale właściwa odrębność krytyki w Stanach, to co ją stawia w uprzywilejowanej pozycji wobec krytyki innych narodów, to co jej nadaje miano *new criticism* i sprawia, że wszyscy świadomi swego rzemiosła humaniści z najwyższą ciekawością spoglądają za ocean — zasadza się na próbie podciągnięcia jej pod normy nauki. „Dawni krytycy chcieli literaturę zmieniać, teraz chodzi o to, aby ją opisać", można sparafrazować i odwrócić marksowski postulat. Opis, o który się kuszą, nastawiony jest głównie na budowę samego utworu, na właściwości wyróżniające różne dziedziny sztuki od pozostałych zjawisk. Jest w tym protest przeciwko innym dążeniom naukowym, taineowskim.

Oczywiście, samodzielność i jedyność obecnej fazy krytyki amerykańskiej będzie względna. Daje się bez wątpienia zauważyć wpływ Niemców. Żywym tego przykładem jest triumfalne wprowadzenie przez Suzanne Langer do Stanów Ernsta Cassirera. Jednak idealistyczne przygotowanie myślowe, scholastyczna abstrakcyjność i akademicki ton kopią przepaść pomiędzy podstawowym zrębem niemieckiej twórczości badawczej a w empiryzmie wychowaną, pozostającą w kontraście z bieżącymi odkryciami w poezji i prozie umysłowością Ameryki.

ANTOLOGIA

Fala wzmożonej aktywności krytycznej wyłoniła w Ameryce cały szereg prac, które są wyrazem uświadamiania sobie przez tę krytykę założeń, sposobów działania i celów. Pojawiają się studia teoretyczne, historyczne rozprawy, antologie. Jedną z takich antologii wydał w r. 1937 Morton Dauwen Zabel. W 1951 ukazała się jej druga, zmieniona i rozszerzona edycja.[1] A w 1958 dociera wreszcie ta nowsza edycja do polskich bibliotek[2]. Sądząc z licznych cy-

---

[1] *Literary Opinion in America. Essays Illustrating the Status, Methods, and Problems of Criticism in the United States in the Twentieth Century.* ed. by Morton Dauwen Zabel, rev. ed., New York 1951, Harper, s. 890.

[2] Książka amerykańska w naszym kraju, to nadal biały kruk. Powołując się na nią, trzeba postępować jak w przypadku, kiedy się omawia inkunabuły i rękopisy — podając instytucję przechowującą ten rzadki okaz: Bibl. IBL (Warszawa).

tatów i odsyłaczy, które od wielu książek i artykułów kierują czytelników do tomu Zabela, antologia cieszy się rozgłosem. *Literary Opinion in America* to blisko 900-stronicowy wolumen formatu bibliotecznej czwórki. Wewnątrz otwiera księgę obszerne wprowadzenie, po nim następuje siedemdziesiąt siedem esejów pięćdziesięciu dwóch krytyków amerykańskich z ubiegłych pięćdziesięciu lat, na zakończenie zaś sześć bibliograficznych dodatków: 1. Bieżące dzieła amerykańskiej krytyki. 2. Antologie współczesnej krytyki amerykańskiej. 3. Amerykańskie magazyny poświęcające miejsce krytyce. 4. Uwagi o współautorach. 5. Pomocnicza lista esejów krytycznych. 6. Nota o współczesnej krytyce angielskiej.

Wstęp daje przejrzysty zarys rozwoju myśli krytycznej w Stanach. Nieprzebrany nurt regulowany jest przez autora następującymi kategoriami: zaściankowość i kosmopolityzm, zaangażowanie i autonomiczność, romantyzm i klasycyzm, zachowawczość i nowatorstwo. Wśród tych biegunów, ruchem zygzakowatym i spiralnym wstępowała coraz wyżej amerykańska krytyka. Autor pokazuje jak często ta sama problematyka powraca na nowo, ale już ustawiona na innym szczeblu wartości. Wiele spostrzeżeń dostarczonych przez szkic Zabela jest bliskich i znanych z historii naszej krytyki. Czasami aż zadziwiająco bliskich. Np. zagadnienie prowincjonalizmu kulturalnego. A więc i Amerykanów trapi ta obsesja. Czyżby jedna tylko Francja ani na moment nie utraciła przez stulecia tego zarozumiałego poczucia, że jest się centrum i punktem równowagi całej cywilizacji?

Wybór prac, które się złożyły na antologię, miał za zadanie ukazać przemiany i postęp — na drodze dialektycznego ruchu przeciwnych poglądów. Chciał przy tym redaktor upiec na jednym rożnie dwie pieczenie: nie tylko dać zarys następujących po sobie tendencji krytycznych, ale również wydobyć najpoważniejsze zjawiska z literatury amerykańskiej, a nawet i obcej. Bardzo to pożytecznie, że możemy przeczytać tak znakomite esesje, jak Roberta Penn Warrena o Hemingwayu (ze szkicu tego czerpał kiedyś pełnymi garściami Roman Karst w artykule drukowanym przed trzema laty w „Twórczości") lub Edmunda Wilsona o *Ulissesie* Joyce'a, czy świetną i zabawną auto-polemikę W. H. Audena na temat Yeatsa, ekwilibrystykę Kennetha Burke'a wokół Tomasza Manna i Gide'a, notatki o poezji Harta Crane'a i Pounda podpisane przez Allena Tate'a i wiele innych. Natomiast wyraźny niedosyt pozostawia część teoretyczna. Obok nielicznych pouczających prac — R. S. Crane'a spierającego się skutecznie z I. A. Richardsem, E. Wilsona, który z pozycji zbliżonych do marksizmu atakuje dotychczasowy dorobek marksistowski i L. Trillinga, który z kolei w imię Freuda walczy z fanatykami freu-

dyzmu — króluje obłąkana koncepcja krytyki eklektycznej wysnuta przez S. E. Hymana (autora *The Armed Vision*). Wielka postać T. S. Eliota nie zawsze jest właściwie reprezentowana. John Crowe Ransom, jak mu się to czasem przytrafia, i tym razem osiąga wysoki stopień nieczytelności. Tak się mści odcięcie antologii od rozpraw typu naukowego. Zabel zachował swoją książkę dla tekstów o skłonnościach literackich, eseistycznych, i dlatego na podstawie zebranych materiałów ani sami nie dotrzemy do ukrytych złóż, do najwewnętrzniejszych zasad kierujących różnorodnymi szkołami krytycznymi, ani też nam w tym nie dopomoże wspomniane studium wstępne, choć rzeczowe i obiektywne, inteligentne i zrozumiałe nawet na tę odległość, jaka nas od Ameryki dzieli.

POPRAWKA DO ANTOLOGII

Rolę przewodnika dobrze natomiast spełni inne dzieło, R. S. Crane'a o „językach krytyki i strukturze poezji".[3] Autor wskazuje na prawdziwą rewolucję dokonującą się współcześnie w wiedzy o literaturze. Nowe badawcze „zasady pierwsze" nie są ani formalne (Arystoteles), ani retoryczne (krytyka renesansowa i neoklasycystyczna), ani psychologiczno-moralne (romantyczne prądy dziewiętnasto- i dwudziestowieczne), ale w szerokim sensie tego słowa semantyczne. Stosunki, które roztrząsają semantycy, nie dotyczą wzajemnych związków wśród składników dzieła literackiego, nie odnoszą się również do więzi, jaka istnieje czy to między wymaganiami i charakterem odbiorcy z jednej strony, a poezją z drugiej, czy to pomiędzy poezją a jej źródłami wywodzącymi się z wyobraźni i wrażliwości pisarzy. Są to przede wszystkim stosunki łączące utwór z „rzeczywistością", której jest on wyrazem. Słowa i znaczenia, obrazy i pojęcia, symbole i desygnaty — oto na jakich osiach wszystko się w tej krytyce obraca. Przy pomocy tych terminów określa się poezję jako specyficzny rodzaj języka, który wyraża lub komunikuje specyficzny rodzaj myśli — niewyrażalnych za pośrednictwem innych mediów. Do najpospolitszych haseł należą: „formą w poezji jest znaczenie", „literatura jest skrajnie symboliczna i metaforyczna", „każdy poemat jest systemem znaków" albo „przędzą znaczeń", udany twór szczyci się „całościowym metaforycznym stosunkiem wobec rzeczywistości lub wielu jej kręgów, do których się odnosi", krytycznie zaś poznawać dzieło, to „zezwolić, aby różnorodne współczynniki jego całościowego zna-

[3] R. S. Crane, *The Languages of Criticism and the Structure of Poetry*, Toronto 1953, The University of Toronto Press, s. 214 (książka jest dostępna w bibliotece British Council, Warszawa).

czenia zajęły należne im miejsce". Stworzono nowy słownik wspierający się na węzłowym pojęciu „znaczenia": „temat", „zdania orzekające", „ewokacja", „wizja", „znaczenie całościowe", „napięcie", „postawa", „oznaczanie", „współoznaczanie", „wieloznaczność", „metafora", „paradoks", „ironia", „symbol" i „mit".

Semantyczne podejście do poezji jako specyficznego języka jest — żartuje Crane — najświeższą odmianą hellenistyczno-rzymskiej metody, która poddawała poetykę gramatyce i retoryce.

Wśród najbardziej wpływowych krytyków wyróżnia autor dwie szkoły. Pierwsza wywodzi całą swą teorię z pewnej negatywnej przesłanki: poezja j e s t tym, czym n i e j e s t proza dyskursywna. Jej znaczenia przekazywane są nie wprost lecz pośrednio, zdania orzekające uzyskują sens jedynie w kontekście, obowiązuje technika syntetyczna: sugestie, aluzje, obrazy zamknięte w spoisty układ.

Skoro formą w poezji jest jej znaczenie, zatem jedność strukturalną odnajdzie krytyk w utworze jedynie wtedy, kiedy wytropi naczelną „postawę" czy „interpretację", której podporządkowane są hierarchicznie inne elementy.

Struktura poetycka, zajmująca semantyków, wspólna będzie literaturze wszystkich czasów i różnych gatunków. Pojęcie odrębnych celów artystycznych, którym podporządkowują się poszczególne utwory, jest dla nich kwestią poboczną.

Jaka jest jednak, zdaniem semantyków, istota owej struktury? Tutaj Crane przytacza złośliwie sąd Arystotelesa o wczesnogreckich myślicielach, którzy miast opisywać budowę bytów, wnosili o ich cechach konstytutywnych z natury samej materii pierwotnej — zrodzonej przez siły motoryczne jak antagonizm czy miłość. Podobnie krytycy współcześni ustalają strukturę poezji na podstawie rozważań dotyczących jej tworzywa, języka. Zaś starożytne „siły motoryczne" łatwo rozpoznać w teorii, co głosi. że dojrzały produkt języka poetyckiego jest harmonią sprzecznych elementów, że wewnętrzne napięcia zostają przez autora dramatycznie rozwiązane.

Wśród nazwisk reprezentujących pierwszą grupę semantyków wymienia się I. A. Richardsa, Williama Empsona, Wilsona Knighta — z Anglii, oraz Johna Crowe Ransoma, Allena Tate'a, Cleanth Brooksa, Roberta Penn Warrena i in. z USA. Przedstawiciele drugiej szkoły, to: Angielka Maud Bodkin i Amerykanie Kenneth Burke, Edmund Wilson, Richard Chase... Podobnie jak zwolennicy pierwszego kierunku, badacze ci znajdują gruntowną rozbieżność między wypowiedzią poetycką a wypowiedzią zracjonalizowaną. Ale zajmują się nie odrębnościami poezji lecz jej podobieństwem

do innych „symbolicznych języków", niekoniecznie werbalnych, które są wywołane poza logicznymi impulsami świadomości. Marzenia senne, ludowe przypowieści, rytuały i mity są tejże materii, co poezja — uzewnętrzniają wewnętrzne doświadczenia, uczucia i myśli osobiste lub zbiorowe, „jakby to były doświadczenia zmysłowe, zdarzenia w świecie dookolnym". Jest to wspólny język całej ludzkości, prymitywnej i cywilizowanej. Język, którego rodowód sięga najgłębszych zakamarków człowieczej natury. Praca krytyka zasadza się na przenikaniu — poprzez umowne formy — ku utajonym w utworze uniwersalnym „prawzorom", „prototypom" ludzkich emocji wcielonym w zmysłowy kształt. „Prawzory" albo są przechowywane, jak sądzą jedni, w „kolektywnej podświadomości" czy „rasowej pamięci", albo, jak zapewniają inni, zawdzięczać je należy tożsamości naszych reakcji na tożsame podstawowe doświadczenia, albo, zdaniem jeszcze innych, są one przekazywane historią.

Przedstawiciel tej szkoły działa narzędziami, których dostarczyła psychoanaliza lub antropologia, i — popychany ku rozumowaniu redukcyjnemu — sprowadza poezję do innych form symbolicznego wyrazu. Finałem analizy bywa odsłonięcie w utworze takiej zasady sprawczej jak freudowski „kompleks Edypa" czy frazerowski „mit Adonisa".

Jeśli trzeba dorzucić coś do wywodów Crane'a, to chyba tylko słowo o związkach, jakie zachodzą między krytyką a nowoczesną poezją, szczególnie tym jej nurtem, na którym zaciążyła twórczość T. S. Eliota. Podobnie nasz neoromantyzm poddawał metodę, pojęcia i tezy krytyce impresjonistycznej, rosyjski zaś futuryzm dostarczał podniet „formalistom". Niełatwa, o złożonej budowie awangardowa poezja amerykańska przyznaje pierwszeństwo ironii, antytezie, paradoksowi, zmierza ku zobiektywizowanym kształtom, częstokroć dramatycznym, nawiązuje do starodawnych mitów i tworzy prywatną symbolikę. Ta poezja narzuciła badaczom własne przepisy. Wydobyto z niepamięci wielu znakomitych pisarzy, których można było uznać za prekursorów dzisiejszych tendencji, stąd m. in. wielka sława Johna Donne'a. Ale pewne historycznie określone, akcydentalne znamiona przyjęte zostały za właściwości absolutne, wyróżniające naturę dzieła literackiego. Przyszło to tym łatwiej, jako że w Stanach i w Wielkiej Brytanii częstym zjawiskiem jest unia personalna krytyki oraz poezji — obie dziedziny uprawiane bywają przez jedną i tę samą osobę.

Do Polski wielki zryw *new criticism* nie dotarł. Gdyby się stało inaczej, wolno oczekiwać, iż uprzywilejowanym przedmiotem studiów zostałby, oczywiście, Cyprian Norwid, którego spuścizna zdaje

się prowokować ten typ instrumentów poznawczych, jaki stworzyli semantycy.

JESZCZE JEDNA POPRAWKA CZYLI SZUKAJMY PŁASZCZYZNY POROZUMIENIA

Kierunki, które Crane nazywa semantycznymi, są przeważającą siłą w życiu literackim i naukowym Ameryki. Na lata trzydzieste i czterdzieste przypada okres ich heroicznego wzrostu, obecnie zaś opanowały już większość ośrodków uniwersyteckich i najpoważniejszych wydawnictw fachowych. Opór, jaki stawiają szermierze zachowawczych form krytyki, nie ma w tej chwili istotnego znaczenia. Natomiast bunt poetów przeciwko zbyt akademickiemu traktowaniu przez badaczy przedmiotu swoich studiów jest o tyle cenny, że przywraca zachwianą czasem równowagę pomiędzy wyposażeniem racjonalnym krytyka a jego wrażliwością artystyczną.

Ale do naprawdę dramatycznego starcia dochodzi wśród zwolenników semantyki oraz przedstawicieli „szkoły chicagowskiej", zwanej przez niektórych „neoarystotelesowską". Leaderem tej szkoły jest właśnie R. S. Crane. Crane wiele miejsca poświęca w swoim dziele niedostatkom, jakie są konsekwencją stosowania metody semantycznej. Szkicuje zarys lepiej dopasowanego do rzeczywistości literackiej sposobu ujmowania utworów poetyckich i prozatorskich. Wskazuje na wagę gatunków literackich, udowadnia, że dominantą poematu może być element ponad-znaczeniowy itd. Są to założenia, które w praktycznej realizacji przyniosłyby zapewne owoce, które dojrzewały już nieśmiało na gruncie polskim. Pięknym przykładem takiej postawy badawczej jest np. monografia *Chłopów* Reymonta napisana przez Marię Rzeuską.

Obok analizy poglądów obcych i rozwinięcia propozycji własnych książka Crane'a przynosi rozważania, które próbują określić ramy, w jakich zmieściłyby się różnorodne koncepcje krytyki. Równocześnie ramy te dałyby podstawę pod obiektywną ocenę skuteczności odmiennych systemów. Jest to szukanie jakiegoś „frontu narodowego", jakiejś płaszczyzny porozumienia dla kontrowersyjnych idei.

Przedmowa do *The Languages of Criticism* objaśniła czytelników, że autor widzi możliwość obcowania z literaturą na wiele sposobów — *causerie* za Hazlittem, Sainte-Beuvem i Mathew Arnoldem, czy krytykę zajmującą się przenoszeniem w obręb sztuk pięknych ogólnych systemów religijnych, filozoficznych i politycznych, jak robią to marksiści, „humaniści", egzystencjaliści i in. Lecz Crane pragnie się tu zająć tą dyscypliną, która skupia uwagę na

samym dziele i stosuje technikę obowiązującą w innych gałęziach nauk humanistycznych.

Zainteresowanie strukturą utworów literackich, pisze autor, żywe już było w czasach starożytnych, całkowicie nigdy nie wygasło, obecnie zaś przeżywa odrodzenie. Uderzająca jest jednak mnogość i sprzeczność teorii oraz poszczególnych komentarzy dotyczących tych samych kwestii. Dla owego niewątpliwego faktu znajduje się zazwyczaj trojakie tłumaczenie. Pierwsze, w duchu Montaigne'a, uznaje, iż krytyka podobnie jak filozofia jest sprawą opinii, a więc problem tej mnogości trzeba pozostawić nierozstrzygnięty. Tłumaczenie drugie idzie śladami niektórych myślicieli, co dzielą rozwój wiedzy na dwie fazy historyczne: przed-naukową i nowoczesną, na którą się złożyły dzisiejsze dyscypliny, jak psychologia analityczna, językoznawstwo współczesne i „antropologia kulturowa"; faza nowoczesna przynieść ma wreszcie jedynie słuszne rozwiązania. Ci, co się godzą na trzeci sposób usprawiedliwiania kłopotliwej różnorodności panującej wśród systemów, chcieliby postępować na wzór Cycerona: w każdej teorii szukają cząstkowej prawdy i usiłują wszystkie je pogodzić wewnątrz bardziej giętkiego schematu.

Według Crane'a trzy powyższe wyjaśnienia łączy wspólny błąd w rozumowaniu. Zakładają one, że na działalność krytyczną składają się dwa czynniki — przedmiot i badacz tego przedmiotu. Tymczasem są jeszcze wewnętrzne „konieczności i możliwości" samej konstrukcji, jaką wznosi badacz. W XX stuleciu centrum zainteresowania przesunęło się z rozważań nad naturą rzeczy czy nad kształtami świadomości, ku studiom języka nauki — jaki jest jego charakter, jaka organizacja i jakie się w nim użytkuje symbole. Tylko ujęte w ramy określonego „języka" czyli „układu odniesienia" dane zjawisko może być w sposób sprawdzalny poznawane. W niektórych naukach — np. w fizyce jądrowej czy w bibliografii — jednolitość języka może być osiągnięta, w innych raczej nie może.

W wiedzy o literaturze różnorodność rywalizujących ze sobą języków jest nieunikniona, a każdy problem otrzymuje inne znaczenie w zależności od systemu, jaki się wybrało. Są to rzeczy przez krytyków na ogół nie dostrzegane, bo ukrywają się one pod powierzchnią wywodów badawczych, dotyczą bardziej tego c z y m się myśli, niż o c z y m: bardziej wewnętrznej struktury i trybu argumentacji pojętej jako całość, niż doktryna, którą się chce sformułować.

Aby określić przedmiot dociekań, nie wystarczy oznajmić, iż się wybrało taki temat jak „Makbet" lub „poezja w ogóle". „Makbet"

i „poezja w ogóle" istnieją dla badacza jedynie w kategoriach danego języka krytycznego, są więc za każdym razem na nowo konstruowani. Wielka jest różność metod i nie wyczerpuje jej tradycyjny podział na krytykę historyczną, biograficzną, psychologiczną, estetyczną, moralną, socjologiczną itp. Tak np. i Longinus, i Coleridge uprawiają krytykę psychologiczną, obaj też mówią o poezji. Ale właściwy przedmiot ich rozważań nie jest ten sam: jeden z nich ujmuje materiał od strony odbiorcy, drugi — twórcy. Albo „naśladownictwo" u Platona i Arystotelesa. U Platona termin ten wiąże poezję z innymi kręgami ludzkich czynności, z całym nawet światem przyrodzonym. Dla Arystotelesa będzie to fachowy zwrot na określenie odrębności pewnej kategorii bytów.

Jednakże język krytyki jest czymś więcej niż tylko zespołem wypowiedzianych (lub nie) podstawowych definicji, które określają konstruowany przez siebie przedmiot. Obejmuje on także założenia dotyczące przebiegu rozumowania. Oba aspekty są zresztą wzajemnie uwarunkowane.

Pierwszy tryb rozumowania — indukcyjny i empiryczny — stosował, powiedzmy, Longinus, kiedy opierał pojęcie „wzniosłości" na szczegółowej analizie niezbędnych dla tego efektu zabiegów; także Arystoteles, który opisywał składowe części tragedii. Tryb dedukcyjny możemy sprawdzić choćby na przykładzie współczesnego krytyka Johna Crowe Ransoma. Najpierw przyjmuje Ransom ogólną hipotezę: stosunek człowieka do świata konkretów może być, twierdzi, dwojaki — albo chęć użytkowania rzeczy, albo bezinteresowna, radosna kontemplacja. Stąd wyprowadzony będzie drogą logicznego rozbioru cały korowód przeciwieństw: idea a obraz, nauka a religia, „poezja uczuć" a „poezja metafizyczna" itd.

Przystępując do pracy musimy się przeto zdecydować, czy np. godzimy się użyć słowa „tragedia" w znaczeniu określonego gatunku literackiego, wyznaczonego charakterystycznymi cechami strukturalnymi, czy też mówimy o pewnej powszechnej postawie wobec życia, pozostającej w dialektycznej opozycji do postawy, którą określa wyraz „komedia".

Nauka, powołuje się Crane na Carnapa, wyróżnia dwa rodzaje problemów: „wewnętrzne", rozwiązywalne w ramach odpowiedniego systemu, i „zewnętrzne", dotyczące podstawy owego systemu. Te ostatnie problemy są natury praktycznej: jakiego języka badawczego należy użyć do danego zakresu bytów. Czy np. posłużyć się językiem, który doprowadzi do wykazywania łączności poezji z innymi dziedzinami, czy wybrać taki, co położy nacisk na rysy wyodrębniające. Wyboru nie można uzasadnić przez proste odwołanie się do faktów, ponieważ równie prawdziwe jest, że związki

między poezją a życiem istnieją, jak też, że istnieją odrębności. Ale wolno usprawiedliwić swą decyzję tym, iż w wybranym języku można rozstrzygnąć doniosłe problemy, których w innym nie dało by się nawet postawić.

Pluralistycznego poglądu na język krytyki nie powinno się brać za sceptycyzm. Ani też za relatywizm — historyczny czy socjologiczny. Język badawczy jest w jakiejś mierze wytworem swych czasów, ale raz sformułowany pozostaje na zawsze „prawdziwy" — w obrębie wytyczonych przez siebie zagadnień. Wróg tych, co usiłują dać „syntezę" czy „integrację" niezgodnych systemów, krytyk-pluralista uznaje wielość języków i występuje przeciw wyznawcom „jedynie właściwych" i „jedynie owocnych" sposobów analizowania poezji lub czytania Szekspira.

Są jednak pewne kryteria, które pozwalają ocenić istniejące systemy oraz postępowanie badaczy. Po pierwsze, trzeba się stosować do zasad zdrowego rozsądku i do przyjętych kanonów w rozumowaniu i stawianiu hipotez. Jak np. wiadomo, klasyczna poezja i dramat wywodzą się z prymitywnych mitów i rytuałów o symbolicznym układzie. Stąd niektórzy krytycy wnioskują o symboliczności greckiej epiki i tragedii. Opierają się oni więc na założeniu, iż z fazy pierwiastkowej można wnosić o fazie rozwiniętej. Crane im odpowiada, że embriologia mogłaby w takim wypadku zastąpić naukę o człowieku.

Następnie, konieczność dowodu. Jeżeli sądy o poszczególnych utworach mają być obiektywne, to nie mogą one pozostawać w sprzeczności z zamierzeniami twórców tych utworów. Studia gramatyczne i historyczne pozwalają ustalić pewne minimum owych zamierzeń.

Wreszcie — sprawdzalność. Czytelnik powinien nadążać za krytykiem. Nie można się powoływać na szczególną wrażliwość liryczną. Nie można też przymuszać czytelnika, aby tak długo męczył się nad tekstem i tezami, jak długo robił to sam krytyk. Krytyk nie jest tego godzien. Trzeba również uszanować naturalną, bezpośrednią naszą reakcję na utwór — kiedy go czytamy nie znając jeszcze zbawiennych hipotez krytyka.

Wydajność różnych języków ocenia się na zasadzie: lepszy język, większa precyzja analityczna i szerszy krąg wprowadzonych pojęć. Żadna metoda nie jest pozbawiona pewnych, choćby drobnych, zalet, ale krytyka „rzeczowa", która wychodzi od konkretnych obiektów, mniej jest sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem niż metoda „abstrakcyjna". Ta ostatnia zajmuje się problemami zrodzonymi raczej z gry dialektycznej niż ze stosunków zachodzących między przedmiotami. Takie właśnie były niekończące się dyskusje na

temat ogólnej natury „tragedii" — „czy tragiczny obraz da się pogodzić z wiarą chrześcijańską lub jakąkolwiek inną zakładającą istnienie osobowego i miłosiernego Boga?" Są to abstrakcje albo dowolne konstrukcje krytyków i niewiele mają wspólnego z tym, czym byli zajęci poeci, kiedy tworzyli swe dzieła, ani z tym, co pojedynczy ludzie myśleli różnymi czasy o Bogu czy tragedii. Przy analizie zaś dzieł metoda ta sprawia, że przyjęta przez krytyka skala ocen bierze górę nad budową i właściwym zamierzeniem poematu — kończy swój wywód R. S. Crane.

MORAŁ

Kiedy się obserwuje pomyślny rozkwit wiedzy o literaturze, jak zresztą wszelkich innych dyscyplin w Ameryce, to nie można się oprzeć myśli, że podstawą dobrze działającego organizmu społecznego jest podział pracy i rozwód przeprowadzony pomiędzy wierzeniami a nauką. Dyletantyzm, robota dorywcza i przypadkowa, są równie szkodliwe, co skryty przemyt lub otwarte wprowadzanie w królestwo empirycznych faktów ideologicznych ocen, które dokonują tam wywrotowej działalności.

Dla niektórych moralistów proces oczyszczania nauki ze wzruszeń i przekonań ludzkich jest jej dehumanizacją. Właśnie ten naddatek, zaczerpnięty z kręgu własnych miar wartości, jaki człowiek przysparza światu, ma byc najwyższą ceną każdego naszego poczynania, także naukowego.

A jednak akt sądzenia będzie czymś zawsze pochodnym wobec głównego zadania, jakim jest dążenie ku identyfikacji pozostających poza nami zjawisk. Odwrócenie zaś proporcji sprawia, że utrudnione zostaje porozumienie wśród ludzi. Łatwo jest znaleźć wspólny język na gruncie dotykalnych faktów, trudniej będzie przystać na cudzą interpretację filozoficzną lub reakcję emocjonalną. Im więcej obszaru w nauce wyzwolimy spod władzy ideologów, tym większa będzie sposobność harmonijnego współżycia pomiędzy jednostkami, grupami i całymi społecznościami ludzkimi.

Zdzisław Łapiński

T. S. ELIOT Tłum. WŁADYSŁAW DULĘBA

EAST COKER

Cztery Kwartety **T. S. Eliota ukazały się poraz pierwszy razem w roku 1943, w Nowym Yorku. Drugi z nich — *East Coker* — drukowany był w amerykańskiej „Partisan Review" w roku 1940. Tytuł ten jest nazwą wioski w Somersetshire, skąd Andrew Eliot, przodek poety wyruszył w XVII wieku do Ameryki. Publikujemy niżej fragmenty *East Coker*, poematu dotychczas w Polsce nie drukowanego.**

I

U mojego początku jest mój kres. Raz po raz
Domy wznoszą się, walą, rozsypują, rosną,
Rozbijają je, niszczą, naprawiają, na miejscu
Domów jest pole, fabryka, lub droga.
Stary kamień na nowe budowle, stare drwa na nowe ognie,
Stare ognie na popioły a popioły na ziemię,
Która jest już ciałem, sierścią i nawozem,
Kośćcem ludzi i zwierząt, łodygą i liściem.
Domy żyją i giną: jest czas dla wznoszenia
I czas dla życia i tworzenia
I czas dla wiatru, by tłukł rozchwiane szyby
I trząsł boazerią, w której gnieżdżą się polne myszy
I trząsł postrzępionym arrasem, utkanym w milczące motto.

U mojego początku jest mój kres. Tu światło
Pada na pole, omija cienistą aleję
Osłoniętą gałęźmi, mroczną popołudniem,
Gdzie schylasz głowę, kiedy wóz przejeżdża,
A cienista aleja kieruje cię
W stronę wsi, elektrycznym upałem
Urzeczonej. W gorącej mgiełce szary kamień
Nie odbija, pochłania, przytłumione światło.

Dalie tu drzemią w bezszelestnej pustce.
Czekają na wczesną sowę.
Tam na polu
Jeżeli nie staniesz zbyt blisko, jeżeli nie staniesz zbyt blisko,
Letnią nocą, przysłuchać się możesz muzyce
Mizernej kobzy i bębenka
I przyjrzeć się, jak tańczą dokoła ogniska
Skojarzeni z sobą chłopiec i dziewczyna
W tanach, co oznacza zaślubiny —
Godny, dostojny sakrament.
Po dwoje, po dwoje, w niezbędnym złączeniu,
Trzymają się wzajem za ręce, pod ramię,
Co jest brane za zgodę. Dokoła, dokoła
Przeskakują płomienie, lub dołączają do koła,
Po wsiowemu poważnie, albo z wsiowym śmiechem
Dźwigając ciężkie stopy w grubych butach,
Zimne stopy, gliniane stopy, stopy dźwigane z wiejskim weselem
Weselem tych, co od dawna pod ziemią
Odżywiają korzonki. Dotrzymują kroku
Dotrzymują rytmu w tańcu
Jak w życiu w porach życia
Czasu pór i konstelacji
Czasu podoju i czasu żniwa
Czasu, kiedy mężczyzna łączy się z kobietą
I kiedy łączą się zwierzęta. Wznoszą i opuszczają stopy.
Jedzą i piją. Mierzwa i śmierć.

Przeziera świt i nowy dzień
Gotuje się na upał i milczenie. Tam poranny wiatr
Marszczy i gładzi morze. Jestem tutaj
Czy tam, czy gdzie indziej. U mojego początku.

. . . .

III

O mrok mrok mrok. Wszyscy odchodzą w mrok,
W próżne przestrzenie międzygwiezdne, próżni w próżne,
Kapitanowie, kupcy, bankierzy, wybitni pisarze,
Szlachetni opiekunowie sztuki, mężowie stanu i władcy,
Wysocy urzędnicy, prezesi wielu towarzystw,
Potentaci przemysłu i drobni akwizytorzy, wszyscy odchodzą
w mrok,

I w mrok słońce i księżyc, i Almanach de Gotha
I Stock Exchange Gazette i Directory of Directors,
Stygnie rozum i pełzną motywy działania.
I my wszyscy idziemy za nimi, na milczący pogrzeb,
Na niczyj pogrzeb, bo nie ma kto grzebać.
Rzekłem mej duszy, bądź spokojna, i niech mrok zejdzie na ciebie,
I niech to będzie mrok Boga. Tak jak w teatrze,
Kiedy wygaszą światła, żeby zmienić scenę,
Jest głuche dudnienie kół, jest ruch ciemności w ciemności,
A my wiemy, że to odjeżdżają góry i drzewa
I wspaniałe budowle i cały odległy krajobraz —
Albo jak, kiedy kolej podziemna przystanie w tunelu
I stoi tak zbyt długo pomiędzy stacjami,
Gwar wzmaga się i zwolna zamiera w milczenie
I widzisz jak za każdą twarzą zapada pustka umysłowa
I tylko rośnie przerażenie przed brakiem oparcia dla myśli;
Albo kiedy, pod wpływem eteru, umysł jest świadomy, ale
świadomy niczego —
Rzekłem mej duszy, bądź spokojna, i czekaj bez nadziei
Bo nadzieja byłaby nadzieją zła; czekaj bez miłości
Bo miłość byłaby miłością zła; jest jeszcze wiara
Lecz wiara miłość i nadzieja, wszystkie są w czekaniu.
Czekaj bez myśli, bo jesteś gotowa do myśli:
Więc ciemność niechaj będzie światłem, a spokój tańcem.

Szept płynącego strumyka, i błyskawica w zimie
Niedostrzeżony dziki tymianek i dzika poziomka,
Śmiechy w ogrodzie, rozgłośne okrzyki zachwytu
Nie zagubione, lecz narzucające, zmierzające do bólu
Śmierci i narodzenia.
Powiecie, że powtarzam
To, co mówiłem kiedyś. Powiem znowu.
Czy powiem znowu? Ażeby dojść tam,
Żeby dojść tam, gdzie jesteście, ażeby wydostać się stamtąd gdzie
was nie ma,
Musicie podążać drogą, na której nie ma zachwytu.
Ażeby dojść do tego, co wiecie
Musicie podążać drogą, która jest drogą niewiedzy
Ażeby posiąść to, czego nie posiadacie
Musicie podążać drogą pozbawienia.
Ażeby dojść do tego, czym nie jesteście,
Musicie podążać drogą, na której was nie ma.

A to, czego nie wiecie, jest jedynym, co wiecie
A to co posiadacie, jest tym, czego nie posiadacie
A miejsce na którym jesteście, jest miejscem, na którym was
nie ma.

. . . .

V

A więc tu jestem, w połowie drogi, po dwudziestu latach —
Dwudziestu latach szczodrze przeszastanych, latach
dwudziestolecia
Staram się uczyć stosowania słów, a każda próba
Jest zupełnie nowym startem, i innym rodzajem porażki
Bo nauczył się człowiek tylko znajdywać lepsze słowa
Na to, o czym już nie ma nic do powiedzenia, albo znalazł
Sposób, którym już nie da się tego wyrazić. Zatem każde
Posunięcie jest nowym początkiem, natarciem na niewysłowione
Z nędznym rynsztunkiem, zawsze zawodnym
W ogólnym zamieszaniu niepewności uczuć,
Niekarnych hufców wzruszenia. A to, co można zdobyć
Siłą i uległością, to już jest odkryte
Raz albo dwa czy kilka razy, przez tych z którymi trudno się
spodziewać
Współzawodnictwa — lecz to nie zawody —
To tylko bój o odzyskanie straconych osiągnięć
I odzyskanych i znów, znów straconych: a w warunkach
Teraz na oko niekorzystnych. Ale to może ani zwycięstwo ani
klęska.

Dla nas są tylko usiłowania. Reszta nie naszą jest rzeczą.

Wszystko zaczyna się od domu. Starzejąc się widzimy,
Że świat jest coraz dziwniejszy, wzór coraz bardziej zawiły
Z umarłych i żyjących. Nie skupiona w sobie chwila
Wyodrębniona, bez przedtem i potem,
Lecz czas życia spalający się w każdym momencie
I nie czas życia jednego tylko człowieka
Ale czas starych kamieni, których nie można odczytać.
Jest czas i dla wieczoru pod gwiazdami
I czas dla wieczoru przy lampie
(Wieczoru nad albumem fotografii).

Miłość jest najbardziej sobą
Gdy tu i teraz przestaje się liczyć.
Starzy powinni widzieć szeroko
Tu i teraz się nie liczy
Musimy ciągle, ciągle dążyć
Do innego skupienia
Dla ściślejszej jedności, głębszej wspólności
Przez mroczny chłód i puste odludzie,
Wrzask fal, wrzask wichru, bezkresne wody
Mewy i foki. U mojego kresu mój początek.

T. S. Eliot
Tłumaczył Władysław Dulęba

ANKIETA:

FORMACJA KATOLICKA W DWUDZIESTOLECIU

Ks. FERDYNAND MACHAY

CHŁOP SIEWCĄ ŚWIATŁA

(O Piotrze Borowym)

I

Nie o rozsiewaniu ziarna zbożowego będzie tu mowa, lecz o rozsiewaniu światła bożego. Takie miał zlecenie od Boga od 18-go roku swego życia: Piotr Borowy, chłop orawski spod Babiej Góry. W chwili gdy go do obcowania z nami powołujemy, miał lat ponad kopę. Kronika świata pisała wówczas rok 1938.

Piotr jest u drzwi swego ks. proboszcza i puka do nich.

— Proszę! zabrzmiał głos męski wewnątrz pokoju. Piotr wszedł.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł.

— Na wieki wieków. O, jak to dobrze, żeście przyszli, drogi panie Delegacie [1]. Mam właśnie małe zmartwienie, i wiem, że rozmowa z Wami przyniesie mi nie tylko ulgę, ale mię światłem obdarzy.

— Zaś ta, zaś, księże proboszczu. Prosty chłop im ta będzie światło rozpalał. Do skoły chodziółek jacy jednę zimę, i to niecałą. Telo było mojej nauki, cók się naucół litery jedną do drugiej składać i z biedą przecytać.

— I czy Wam nie starczy, drogi Piotrze? Ten niecały rok nauki szkolnej był błogosławionym początkiem głodu i pragnienia duchowego, które Was do dziś dnia nie opuściły.

— To, to prowda. To ksiądz proboszcz nie źle odgadnął: syćko mię korci, cokolwiek się w świecie dzieje...

— Ale najbardziej Was to korci, co się w jakikolwiek sposób może przyczynić się do wzmocnienia i pogłębienia w świecie prawdy, sprawiedliwości i miłości.

— Jegomość! Nie mówcie tak piyknie. Mnie, biednemu grzesznikowi o jedno chodzi, by tępić i wyniscyć grzech... syćko zło. Nawandrowołek się doś po nasych wioskach... całymi dniami jek krzycoł, zeby ludzie przestali pić to przeklęte gorzołcysko, które rodzi choróbska, nędzę i rozpustę...

---

[1] Piotr Borowy i Wojciech Halczyn (ze Spisza) byli delegatami Polski na Konferencję pokojową w Paryżu, w marcu 1919 r.

— Wiemy wszyscy o tym, drogi Piotrze i jesteśmy Wam za to wdzięczni. A jaką tam koronę niebieską przygotowuje dla Was Pan Bóg, to tylko On wie. Piotrze! Ja dziś pragnąłbym z Wami porozmawiać o innej sprawie.

— Zebyście się tez, Jegomościu, bardzo nie dziwili, kie zobocycie, jaki Pieter głupi. Powiadom Im: skoda u mnie rady zasięgać.

— Spotkało mię, drogi Piotrze, wielkie niepowodzenie. Gdyby chodziło o moją tylko osobistą porażkę, nie wypowiedziałbym ani słowa skargi czy też żalu. Tego rodzaju upokorzenia są doskonałą choć przykrą pomocą przy oblekaniu się w Chrystusa. Należałoby za nie raczej podziękować Panu Bogu.

— Jeżeli to jakieś niepowodzenie tak wspaniały owoc rodzi — wtrącił Borowy — to mię Jegomość zaprasza chyba do wspólnego odśpiewania Te Deum...

— Toście mi, Piotrze, niemały złom pod nogi rzucili i muszę go ostrożnie obejść, by nasza rozmowa nie miała charakteru obrażonej ambicji.

— Nie dej tez Boze! Musę Jegomościowi przyznać, zeście mię do zywego zaciekawili... i, w Imię Boze powiedzcie sycko, co wom na sercu lezy.

— Nim rozpocznę moją krótką spowiedź, muszę Wam Piotrze przypomnieć, kiedy po raz pierwszy zwróciliście moją uwagę na siebie. Było to w r. 1907, na odpuście w Trzcianie na Orawie. Na Matkę Boską Szkaplerzną przybywają tam wielkie tłumy pątników. Na sumie głoszone są dwa kazania: w kościele i na świeżym powietrzu. To ostatnie wypadło wówczas nieszczególnie. Kaznodzieja pragnął uderzyć w wódkę, ale mu się to nie udało. A Wy, Piotrze, jeździliście wtedy od wsi do wsi, wojując z wielkim powodzeniem z pijaństwem. Po Waszych przemówieniach i przekonywaniach setki chłopów się zapisywało do „Bractwa wstrzemięźliwości". Wspaniałe to były żniwa. Księża Was, drogi Piotrze, z rąk do rąk oddawali, by w ich parafiach zagrzmieć głosem potężnym, przekonaniem ognistym i wiarą niebotyczną... o wielkim niebezpieczeństwie dla duszy i ciała, szczerzącym swe jadowite zęby na dnie każdego „decyka" gorzałki.

— Czy pamiętacie, Piotrze, co się stało po owym nieudanym kazaniu? Ludzie Was spostrzegli, że stoicie pod kazalnicą... i jak runęli na Was z prośbą, byście wyszli na ambonę i „poprawili" nieudolne zaklęcia kaznodziei. Wasi wielbiciele nawet do księdza proboszcza się udali, z prośbą, by Wam nie odmówił zezwolenia na „misjonarski" występ przeciw karczmom i gorzelniom...

— Downo to było, prosę księdza...

— Dawno czy nie dawno, ale było. I dzieje się rzecz dosyć dziwna: oto ksiądz katolicki, nawet „uczony" bo z tzw. „doktoratem", stoi przed Wami, najdroższy Piotrze, i pragnie Was prosić, byście snop światła rzucili na pewne zagadnienie. Rozkochałem się w sprawie niesienia pomocy ludziom, którzy cierpią niedostatek, krzywdę, upokorzenia, wyzysk i nędzę niezasłużoną.

— Ho, ho, ho! Jegomość, to się porywocie z motyką na słońce.

— Był z j a z d z całej Polski, na którym wygłosiłem odczyt o potrzebie i konieczności podziału wielkich dóbr ziemskich, by je można po cenach odpowiednich sprzedawać chłopom małorolnym i bezrolnym. Sami dobrze wiecie, Piotrze, jaki głód ziemi opanował chłopa dzisiejszego. W odczycie podkreśliłem oczywiście i to, że podzielenie ziemi wielkich właścicieli bez przeprowadzenia niezbędnej oświaty rolnej, na wsi mało albo wprost nieznanej, nie wiele by się przyczyniło do zmniejszenia niedostatku i nędzy, którą chcieliby wszyscy usunąć z powierzchni ziemi.

— Zacynom trochę rozumieć. Gdy się tłucym z moim kramem książek po kiermasach, kieloz to razy przynosą mi księdzowie i panowie książki i pisma do oprawy. Momy tej roboty introligatorskiej pod dostatkiem. A juz tako moja natura: gdy oko ujrzy nową książkę, albo pismo nieznane lub mało znane, zabieram je z pracowni do mojej izby, i cytom. W ten sposób wpadły mi do rąk i encykliki papieskie: *Rerum novarum* i *Quadragesimo anno* w tłumaceniu polskim ks. Piwowarczyka.

— A pamiętacie, Piotrze, jego wizytę w waszym „klasztorze"?

— Cy pamiętom? Było to w październiku 1927, na św. Łukosa, patrona nasej parafii lipnickiej. Mioł kozanie na sumie. Mądre, spokojne, poucające kozanie. Po połedniu przyseł do mnie w odwiedziny. Chcąc uczcić gościa tak zacnego — jak to w zwycaju bywo — sięgnółek do kąta po butelkę z winem. I nalołek do kieluska jednego i drugiego (bo i dla ks. Ferdynanda, który z nim przybył). Jak tylko ks. Piwowarczyk kielusek do warg przyłozół, okropnie się skrzywiół, i pedzioł: — O, jakieś bardzo mocne wino...

— A uno — to wino, nie było mocne, ino zepsute, cołkiem skwaśniałe, bo butelka stoła w kącie od lipca, nawet niezakorkowana.

— W takim to wej poszanowaniu u Was, Piotrze, wszelka trunkowość.

— Dzięki Panu Jezusowi: od roku 18-go zycia nie liznółek zodnego trunku. Jak mi się pić chce, sięgom po źródlaną wodę alebo po gornecek nie bardzo starego mleka kwaśnego.

— Ze wszystkich Waszych teatrów jakieście w Lipnicy grali, to „Karczma" była wprost znakomita. Ludzie nie mogli się nadziwić, że tak dobrze poznaliście karczmarzy. Po dziś dzień sobie przy-

pominają, jakeście kredą znaczyli na brudnej ścianie szynkwasu każdy niezapłacony decyk gorzałki. Ale, ale... Sam się rozgadałem na temat Waszej wrogości do trunków, a przecież o czym innym rozpoczęliśmy rozmowę.

— O, Księze mój Dobrodzieju. Kiek te encykliki przecytoł, naroz mi się przypomniały syćkie fabryki i „salony" w Ameryce, gdzie byłek na zarobkach całe dwa roki. O, ciągnęli tam z robotnika, co się tylko dało. Przyjechało nos tam setki tysięcy, by uskładać dolarów i wracać do starego kraju. Pod koniec wieku XIX-go nie było zarobków. Pokiela przed kancelarią fabryki cisnęły się tysiące chłopów zdrowych i silnych, pon dyrektor malutko płaciół. A my, przybłędy z Europy, i to „malutko" uwozaliśmy za doś duzo, bo my u siebie na zarobki do fabryk nie chodzili. Teroz i u nos, i w Ameryce inacej. Robotnicy wiedzą, co warta ich robota, a dowiedzieli się coś niecoś i o tym, kielo to zarobiali panowie dyrektorowie... Z tego to źródła wypłynęły rzeki socjalizmu i komunizmu.

— A czy się Wam, drogi Piotrze, nie zdaje, że to, co zrodziło socjalizm i komunizm w fabrykach — w stosunkach na roli nie istnieje? Czy dyrektor fabryki i właściciel ziemski, to zajęcia tak jedne od drugich oddalone pod kątem widzenia stosunku do robotnika? Czy na wsi, na majątku „dworskim" czy innym jest wykluczone porównanie robotnika rolnego z robotnikiem fabrycznym?

— Oj, Jegomość, w głowie mi się mąci... Zaroz, zaroz... Ale chodźmy na pole, bo tu w pokoju ciemno i dusznawo.

— Podoba mi się, Piotrze, ten wyraz, że Wam „dusznawo"... Jestem przekonany, że nie tylko od powietrza, lecz raczej od myśli, które się rodzą podczas takiej rozmowy.

— Niechze bedzie i tak. Ale, zabierzcie z sobą, Jegomość, Pismo Święte, bo nom bedzie bardzo potrzebne.

— Z największą przyjemnością. Chwała Bogu: czytuję codziennie Pismo Święte.

— Wiem, ze cytujecie w brewiarzu.

— Nie tylko w brewiarzu, ale i w tłumaczeniu ks. Wujka: przez 15 minut Stary i 15 minut Nowy Testament. ...Oto, i jesteśmy pod krzyżem, między starymi lipami. Tu nam będzie zdrowiej i wietrzniej.

— Jegomość! Otwórzcie Ewangelię św. Łukosa i wysukojcie rozdział 12, wiersze 13. i 14. I cytojcie: *I rzekł mu ktoś z rzeszy: Nauczycielu! powiedz bratu memu, aby się ze mną podzielił dziedzictwem. A On mu odrzekł: Człowiecze! któż mnie ustanowił sędzią albo dłużnikiem nad wami?*

— Wiecie, co Wam powiem, Piotrze? Już niezliczoną ilość razy przeczytałem te dwa wiersze św. Łukasza, ale mi dotąd ani raz nie

zaświeciła myśl w głowie, że Pan Jezus tą odmową nie radzi kapłanom — On jedyny K A P Ł A N Nowego Przymierza — by się zajmowali dzieleniem majątków albo namową do dzielenia majątków nawet między braćmi... Ewangelia św. mówi o majątku dziedzicznym, gdzie brat ma prawo do tak zwanej swojej części majątkowej. A cóż mówić wobec tego o dzieleniu majątków obcych? Wpakowaliście mi gwóźdź do mózgu, kochany Piotrze.

— Jegomość! Za casu Pana Jezusa istniała juz hipoteka i księgi gruntowe?

— Ewangelie i inne współczesne księgi mówią o bogaczach. Nie o jednym bogaczu, lecz o licznych. Jakżeż by się oni obeszli bez ksiąg hipotecznych? Oczywiście nie takich, jakie my dziś znamy, ale własność poszczególnych wielmoży była w księgach państwowych zanotowana. Ten, który się zwrócił do Pana Jezusa musiał być również człowiekiem bogatym i rozkochanym w majątku. Taki podział majątku musiał być czynnością niełatwą.

— A no widzicie, Jegomość, jak mądrze i przezornie Pan Jezus postąpił, gdy tak stanowczo odmówił jakiegokolwiek udziału w dzieleniu dziedzictwa. I za czasów Pana Jezusa, i dzisiaj: księgi hipotecne są przez ludzi światowych uwozane za nojwiękso świętość nietykalną. Pamiętocie, Jegomość, co się tu w Lipnicy działo, gdy Józek Chlebowski próbował przejezdzać przed domem swego sąsiada?

— Któżby takich rewolucyj nie pamiętał? Z Czarnego Dunajca, czy nawet z samego Nowego Targu zjechali urzędnicy z mapami, księgami i papierami. I wygrały — jak Wy, Piotrze, powiadacie: księgi o charakterze „największej świętości". Dla chłopa na wsi rzeczywiście nie ma nic bardziej świętego, jak księgi hipoteczne.

— A cy panowie na wsi, z ich setkami i tysiącami hektarów, z innej gliny są stworzeni?

— Powiadają, że ci tzw. „lepsi" mają jakąś krew niebieską.

— Niech ta mają. A w nas płynie najświętsza Krew Chrystusowa. Dar przewielki! który rozgrzewa i uszlachetnio nasą krew grzesną. Księże proboszczu, zaglądnijmy jesce do św. Łukosa, rozdział 16, 13: *Nie możecie służyć Bogu i mamonie.* Jesce wyraźniej pise na ten temat św. Mateus: *Nikt nie może dwóm panom służyć; bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował, albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi: nie możecie Bogu służyć i mamonie* (Mt 6, 24). Jakiez to bolesne, ze świat telo daje dowodów o umiłowaniu krwi cielesnej, hipoteki i klucyków od kasy. To jest ten P O N jedyny i prawdziwy, któremu się słuzy ze syćkich sił, przy pomocy syćkich przebiegłości i wymysłów...

Piotr runął na kolana. Skarżył się i modlił:

— O, Boze, Boze! Na to Ci zesło, ze ludzie pomiatają Tobą, poniewierają Twoimi świętymi Przykozaniami, boską cešć oddają mamonie, bogactwom, majątkom, wygodom zyciowym na złocie zbudowanym... O, Boze nojświętsy! Tyś Stwórcą syćkiego, Tyś Dawcą mamony, by Twoją dobroć i miłosierdzie dla człowieka opowiadała! Unicestwiom się przed Tobą i korzym przed Twoim Majestatem w Miłości, ucyń serce moje cystym i najdokładniej wypranym z przywiązania do mamony! Pragnę Cię chwalić jak przystoi i kochać jak wypada: bez posiadania cegokolwiek z mamony, której ukochanie wykluca umiłowanie Ciebie, Dobra jedynego.

— Bardzo pięknie się modlicie, najdroższy Piotrze, ale zasięg tej modlitwy musimy rozszerzyć i coś niecoś zmaterializować. Z duchowości najczystszej upadnijmy trochę na ziemię, na której człowiek żyje i ma się na niej udoskonalać w swoim „wyobrażeniu i podobieństwie" Bożym. Piotrze! Owszem, można się wyzuć z posiadania czegokolwiek, by Pan Bóg został naszą wyłączną i jedyną własnością, ale jakież znaczenie ma w tym naświetleniu zlecenie Stwórcy dla człowieka stworzonego: *Rośnijcie i mnóżcie się, i napełniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną* (Rozdz. 1, 28)?

— Syćko tu w porządku: jest zlecenie Boze, i jest wyraźno i mocno przestroga Boza, by P a n e m swym nie obierać rzecy stworzonych, ale tylko Stworzyciela. Przyznom się księdzu Jegomościowi, ze z obawą wielką korzystom z niektórych zdań Pisma świętego w zastosowaniach praktycnych i zyciowych. Całe scęście dla ludzkości, ze się rozwijomy i doskonalimy pod opieką i nadzorem nieomylnego Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. Bez tego ludzkość przemądrzało i zaślepiono w pysze zaginęłaby...

— W setkach przeróżnych wierzeń chrześcijańskich, pogańskich i bezbożnych.

— Swięto prowda. Na scęście wydany przez Zbawiciela rozkaz: *Nie możecie dwóm panom służyć...* jest tak prosty i tak jasny, ze wymaga tylko dobrej woli i wychowania chrześcijańskiego, by go włącyć jako treść nieodzowną do głównego Przykazania miłości Boga i bliźniego.

— Rozmaitość charakterów ludzkich oraz osobistych poziomów doskonałości jest tak olbrzymia liczbą, że i stopień służby Bogu czy też mamonie jest niesłychanie różnorodny...

— Nawet śród tych, którzy powinni goreć tylko umiłowaniem Boga i zagrzewać ludzkość do porzucenia słuzby dla mamony — prosę Jegomości.

— No, tak. Nie ulega wątpliwości, że tak powinno być.

— A wy tymcasem, bardzo drogi księze doktorze, mocie sami ze sobą kłopot i walkę, na którą się duzo casu i zdolności marnuje,

zamiast dawać przykład powołania kapłańskiego, ze się Bogu słuzy, i tą gorliwą słuzbą dla Boga lepiej i dokładniej się osłabio potęgę mamony, jak agitacją a nawet nauką społeczną. Wolę przy ołtarzu świętego proboszcza z Ars, Jana Vianneya, jak np. ks. Hlinkę cy tez ks. Stojałowskiego.

— Ja też wolę: jak wolę Was, drogi Piotrze z waszymi „braćmi" Józefem i Pawłem, z którymi już tyle lat żyjecie we wspólnocie religijno-gospodarczej, mimo że was nie łączy braterstwo krwi, a spaja was tylko braterstwo Krwi Najświętszej Jezusa Chrystusa. Życie nasze jest niestety tak wymieszane pierwiastkami duchowymi i materialnymi, że trzeba mieć szczególne powołanie Boże do całkowitego i bohaterskiego zlekceważenia i wyrugowania z życia pierwiastka materii, by potem w całej czystości służyć wyłącznie sprawom ducha. To są właśnie ci święci Janowie z Ars: ziemniakami i skwaszonym chlebem się wzmacniają, piją wodę i sok owocowy, i starczy im sił, by siedzieć dniem i nocą w słuchanicy, odmawiać na klęczkach brewiarz, głosić liczne kazania, i spać 2—3—4 godziny, jeżeli diabeł na to pozwoli, i nie przeszkadza, jak to czynił z św. Janem Vianneyem i z św. Janem Bosko. O, Piotrze! Cóż to za przewspaniałe dary i uzdolnienia wyjątkowe! My zaś, kapłani bez takich charyzmatów Ducha Świętego, spełniamy swe obowiązki duszpasterskie jak najlepiej możemy; rzadko kiedy nas stać na bohaterskie wspinanie się na szczyty świętości kapłańskiej. Tak samo, jak i setki gazdów lipnickich i sąsiednich, którzy przyglądają się życiu waszemu, chwalą je i podziwiają, ale trwają w swoich postawach życiowych i pod względem gospodarczym i pod względem religijno-moralnym. Widzą przecież, że codziennie bywacie na Mszy św. i codziennie do Komunii św. przystępujecie; że wczas rano idziecie w pole do prac rolniczych, ale na godzinę siódmą stawiacie się w kościele punktualnie, by nie pominąć owoców uczestniczenia w Ofierze Mszy św. i wzmocnić się Ciałem i Krwią Pańską. Codziennie Was widzą. Cała wieś podziwia waszą świętą przezorność...

— Jaką tez, Jegomość?

— Jaką? A kto to nie trzyma na wsi kur? Czy nie macie owsa dla nich? O co innego tu poszło — lepiej jest: obejść się bez kur, by która nie wlazła na zagon czy też do ogrodu sąsiedniego, i tam grzebaniem szkody nie narobiła, z czego rodzą się potem kłótnie z sąsiadkami. A krowy dlaczego trzymacie bez przerwy w stajni i na małym obejściu koło chałupy? Wiemy dlaczego: by przypadkiem która — bo macie dwie — nie uskubła coś z obcej zieleni i by nie spowodowała sprzeczki sąsiedzkiej. Ludzie o tym wszystkim wiedzą, budują się przykładem takiego życia ewangelicznego, ale w szczegółach pochwały godnych nikt was nie naśladuje. A dla-

czego? Bo są rozleniwieni i oswojeni ze swoimi zwyczajami. Wolą gnić w biedzie i nędzy, niż się narażać na trud lub jakąś niezwyczajność czy też nadzwyczajność. Gnojówki — te skarby gospodarcze — rozlewają się dalej po rowach i drogach, zamiast być omastą rolniczą. Trzeba mocnego głosu budzicielskiego, by go ludzie na wsi usłyszeli, i choć palcem ruszyli w swojej sprawie. Jest szczęściem ludzkości, że chłop, ten najzdrowszy fizjologicznie obywatel państwa, jest nie dowierzający i ostrożny wobec nowinek wszelakich. Uchroniło to ludzkość od niejednej zawieruchy społecznej. Ale, drogi Piotrze, są sprawy, które muszą być poruszane i są „nowinki", które powinny być zwiastowane. I pytam: czy w takim wypadku nie jest lepiej, że znajdzie się kapłan, który ma i wykształcenie i zrozumienie dla konieczności gospodarczo-życiowych, który posiada zaufanie wiernych, i któremu ludzie chętniej uwierzą, niż agitatorowi politycznemu... Tak, Piotrze, nagromadziło się w stosunkach społeczno-gospodarczych wiele krzywd ludzkich i zrodził się z nich krzyk światowy, w licznych wypadkach słuszny i zrozumiały. Panowanie mamony jest pozbawione hamulców Dekalogu i oparte na chęci bogacenia się coraz więcej bez oglądania się na biedę i nędzę bliźniego. Dlatego to napisali papieże encykliki, które nawołują do uporządkowania nierówności gospodarczych w imię miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej. Nawołują one do tego, co jest programem społeczno-gospodarczym i Piotra Borowego: wzywają w słowach mądrych i mocnych do służenia Bogu a nie mamonie. Ich śladem kroczę, nie chciałbym zboczyć ani na milimetr od ich nauk ani na prawo ani na lewo, lecz rozleniwiona w gnuśności duchowej i w wygodach materialnych część społeczeństwa dalej tylko o sobie i o swoich majątkach myśli, lekceważąc rady encyklik i biedę robotników. Twardy to orzech, który rzadko bywa w spokoju rozłupany.

— Bo słuzba u mamony jest bezwzględno, okrutno i ślepo, a robienie porządku społecno-gospodarcego w imię Boga, jest i mo być cynnością miłości. Dej Wom, Boze — Jegomościu — sił i wytrwania w takiej pięknej i niełatwej pracy.

II

Czytelnik domyślił się już prawdopodobnie, że powyższa rozmowa toczyła się między Piotrem Borowym i niżej podpisanym, i kto wie, czy nie zapytał: to ksiądz nie miał innego doradcy? Czyż ten „Pieter" — tak go powszechnie na Orawie nazywano — był rzeczywiście aż taką kulturą obdarzony, że można było jego rady

zasięgać w zagadnieniach (jak sądzić by można) ponad jego miarę? Proszę czytać i osądzić.

W 18 roku życia podczas letniej zabawy młodzieżowej pod wpływem potężnego natchnienia wewnętrznego Borowy wyrywa się z wesołej pośpiewanki niedzielnej i pada na ziemię w omdleniu. Nie zdołano go ocucić. Wesołość się skończyła, chłopcy się rozeszli. Kochany przez wszystkich P i e t e r zerwał z samym sobą: dotychczas był żwawym dowcipnisiem i gawędziarzem, po rzuceniu się na ziemię zawarł nierozerwalną, dożywotnią i wieczną przyjaźń z Bogiem, którą ozdobił wkrótce ślubami czystości, ubóstwa i posłuszeństwa.

W domu rodzinnym wytworzyło się napięcie między rodzicami, resztą dzieci (a było ich sześcioro) oraz Pietrem, synem najstarszym, który tylko do książek zaglądał, a nawet kupił sobie „Żywoty Świętych" ks. Piotra Skargi ku niemałemu zmartwieniu całego domu rodzinnego, że „telo pieniędzy" wydał na książkę. A że umiał zaciekawić opowiadaniami, dom Borowych zamieniał się na świetlicę, co wieczór po brzegi wypełnioną starymi i młodzieżą. W latach 1880—1900 Borowy był już wytrawnym oświatowcem o charakterze religijno-katechizmowym i antyalkoholowym. Do jego świetlicy schodziły się już tłumy nie tylko z Rabczyc — gdzie się urodził i gdzie mieszkał z rodzicami — ale i z okolicy bliższej i dalszej.

W umyśle Pietra zrodziła się wówczas myśl, by wyjechać do Ameryki. Był tam dwa lata. Uskładał tam tyle dolarów, że mógł rozpocząć rozbudowę domu rodzinnego na obszerny dom „misyjny". Z Ameryki powrócił z cennymi doświadczeniami w dziedzinie propagandy. Uzyskał zezwolenie na prowadzenie sprzedaży w kramie. Nie było odpustu ani jarmarku na Orawie, gdzieby się Pieter nie zjawił ze swoim kramem, bogato zaopatrzonym w książki religijne, gospodarcze, kalendarze i książeczki do modlenia. Sława jego pracy misyjnej a szczególnie jego życia umartwionego i świątobliwego rosła jak na drożdżach. Zgłaszali się do niego liczni młodzieńcy, by pod jego kierownictwem poświęcić się pracom tak ruchliwym i pożytecznym. Pomału dom Borowego — szczególnie po śmierci rodziców i rodzeństwa — przywdział charakter pewnego rodzaju „klasztoru". Kandydaci przybywali z krowami, koniem, z zapisem. Borowy był srogim egzaminatorem „powołania". Zostali z nim tylko dwaj młodzieńcy: Józef Kocur, sierota z Rabczyc, z 17 „siągami" gruntu i Józef Hrubos z Mętnego na Orawie, również sierota bez jakiegokolwiek „posagu". Wstąpili do III Zakonu św. Franciszka i złożyli za wzorem Pietra śluby: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa dla Piotra Borowego.

Żarty na bok: na ziemiach świata była to chyba p i e r w s z a

CHŁOPSKA wspólnota gospodarczo-religijna. Jej kierownikiem był Brat Pieter, gospodarzem Brat Paweł, a kierownikiem kramu i pracowni introligatorskiej Brat Józef. Jej celem było: pokazanie ludności wiejskiej, że przy kierownictwie i pomocy silnie rozwiniętej myśli religijnej można prowadzić szeroką działalność gospodarczą bez pobudek zysku osobistego. Należyty poziom rolniczy, zgodne życie i przyjaźń z wszystkimi — oto główne osiągnięcia tej wspólnoty.

Mózgiem i sercem wspólnoty był oczywiście Borowy, którego Bracia: Józef i Paweł, mimo rówieśnictwa i jednakowego pochodzenia chłopskiego otaczali czcią i miłością prawie że dziecięcą. W początkach wspólnoty Borowy przeprowadzał wspólne modlitwy i ćwiczenia duchowne. Nie mogło się to jednak długo utrzymać: Pieter olśnił i przewyższył obu swoich braci tak niewspółmiernie, że sam powziął postanowienie, by każdy osobno, według swojego głodu i pragnienia nadprzyrodzonego się modlił i ćwiczył duchowo. Borowy nakreślił tylko Braciom ramy: stan łaski uświęcającej utrzymywany dwutygodniową spowiedzią, codzienną Komunią św., bardzo skromnym pożywieniem i pracą bez wytchnienia. A sam Borowy wkroczył na drogę głębszej ascezy i mistyki o charakterze pokutniczym, by się móc w ten sposób coraz ściślej zaprzyjaźnić z Bogiem: DUCHEM najczystszym.

W wolnych chwilach od prac gospodarczych Piotr zatapiał się w czytaniu książek. Nowy Testament, „Naśladowanie Chrystusa" i „Żywoty Świętych" ks. Skargi znał wprost na pamięć. Często jeździł do Krakowa, gdzie bywał gościem Księży Misjonarzy na Kleparzu. Z tych pielgrzymek do grodu —— jak mawiał — św. Stanisława zwiózł do swojej świetlicy *Świątnicę Pańską* ks. Szymona Starowolskiego (1681), *Kazania* o. Bazylego Rychlewicza, franciszkanina (1689), *Żywoty Ojców* — św. Hieronima (1688), *Kazania niedzielne* ks. Adama Abramowicza TJ (1753), *Dzieło homilijno-kaznodziejskie niedzielne* ks. Józefa Męcińskiego i inne, liczne książki religijne.

Wyliczyłem tylko „starzyznę" jego blisko tysiąctomowej biblioteki, i to dlatego, by zrozumieć, skąd się brał ów czar w jego przemówieniach, wygłaszanych w mowie tak oryginalnej: ni góralskiej, ni literackiej, lecz w swojej własnej zaczerpniętej z podziwu godnej znajomości dzieł cytowanych. Borowy był mówcą natchnionym. Księża porównywali go aż z Piotrem z Amiens i z św. Franciszkiem Kapistranem. Duchowieństwo na Orawie rozpoczęło po r. 1910 starania, by Borowego wyświęcić na kapłana *ad solam missam,* i tylko zawierucha wojenna 1914—1918 przeszkodziła w przeprowadzeniu tego zamiaru.

Piotr Borowy był Orawiakiem-Polakiem z północnych Węgier. Po rozpadnięciu się Austro-Węgier przyłączył się całą duszą do działaczy, którzy przez Polaków zamieszkałe ziemie Orawy i Spisza wprowadzali do Polski na podstawie wilsonowskiego samostanowienia narodów. Jeździł nawet do Paryża z delegacją na konferencję pokojową, by tam wywalczyć przyłączenie do Polski części Orawy i Spisza, które były w 100%-ach przez Polaków zamieszkałe. Jego rozmowa z Wilsonem na ten temat ma charakter historyczny.

Rabczyce Borowego pozostały w Czechosłowacji. Piotr przeniósł się do Polski i zamieszkał w Lipnicy Wielkiej na Orawie, gdzie został do grobu złożony w r. 1932.

Postać tego oryginalnego chłopa-myśliciela-mistyka i polityka jest bogato wyposażona w „zasługi". Z tego co w „Znaku" drukujemy nie trudno uwić wieniec laurowy koło jego skroni. Oto spis jego utworów pisarskich, pozostawionych w maszynopisie, własnoręcznie pisanym:

Nauka ks. Blaszyńskiego z Sidziny, czyli wykład podstawowych prawd wiary w formie katechizmu.

Rozmyślania człowieka o sprawach boskich, czyli dzieje upadku i odkupienia człowieka według Biblii.

Mowy (trzydzieści), z których każda zaczyna się bajką. Wszystkie mają myśl dośrodkową do Boga skierowaną. Polska jest przedstawiona w tych dowcipnych mowach-bajkach jako idealne państwo Boże.

O zabobonie, Siedem głównych grzechów i *Złote myśli*... zawierają myśli przewodnie ludowych sztuk teatralnych z lat 1918—1926, których Borowy ułożył kilka i sam je z swoim zespołem amatorskim odgrywał. Piotr był wykonawcą głównej roli, zawsze improwizowanej, a tylko wykonawcom innych podrzędnych ról podyktował albo sam napisał, co mają mówić. W ten sposób nie mamy w jego spuściźnie ani jednego „tejatru".

Kazanie o krzyżu lewego łotra, w którym zastanawia się nad liczbą wybranych i potępionych.

Sąd grzesznika sam nad sobą, utwór ascetyczno-mistyczny w 10 poematach nie wierszowanych.

Ks. Ferdynand Machay

Z ROZWAŻAŃ PIOTRA BOROWEGO

CO BĘDZIE ZE MNĄ?

Mam wielki pociąg do tych rzeczy, które lubię. Choćby były dla mnie złe, to mnie nic nie obchodzi — i dlatego

co będzie ze mną?

Nie mam siły... dziwniem słaby, aby zdziałać coś cnotliwego. A ponieważ człowiek bez cnoty jest nieczłowiekiem — to

co będzie ze mną?

Raduję się, gdy swoją wolę wykonam... i w końcu ta moja wola mnie dręczy i trapi — tedy

co będzie ze mną?

Mam wielką i ciężką pracę... bom się nauczył czegoś, czego się muszę oduczyć. Chcę być szczęśliwy, ale jestem przy tym dziwnie leniwy —

co będzie ze mną?

Boleść wielką mam w nieszczęściu, ale tego, co mnie do nieszczęścia wiedzie, to się nie waruję — to jest ta

bieda ze mną!

Nie cieszy mnie żywot moralny, a bezbożność i grzech mnie trapi — to jest

bieda ze mną!

(Z *Sądu grzesznika samego nad sobą*)

MOJE GŁUPSTWA

Świat jest pełen bied niezliczonych, ale największą jest ta, że kto się w nim zagrzebie, prędko Boga obrazi. Ja zaś mam rozkosz w świecie, jak wieprze w bagnie.

To jest pierwsze moje głupstwo!

Wiem o tym, że wola ludzka jest zepsuta jeszcze z grzechu pierworodnego, i że ją hamować trzeba. A ja jestem wolnomyśliciel, swojej woli nie hamuję tak, jak konia hardego, i to mnie w końcu zabije.

To jest drugie moje głupstwo!

Lękam się wszystkiego złego, ale siebie, choć dużo złego w sobie mam, to się nie lękam.

To jest trzecie moje głupstwo!

Raduję się często, a w końcu widzę, żem się radował z mojego nieszczęścia.

To jest czwarte moje głupstwo!

Śmieję się często, a w końcu widzę, żem się śmiał z mojej biedy.

To jest piąte moje głupstwo!

Wszystkie moje prace wykonuję śmiało, a czy one będą dobre, na to nie zważam.

To jest szóste moje głupstwo!

Jestem głupi, ale uczyć się nie chcę niczego.

To jest otchłań mojego głupstwa!

(Z *Sądu grzesznika...*)

O RELIGII

Kiedy generał rzymski Tytus zwyciężół Zydów w Palestynie, do Rzymu wprowadzano go przy dźwiękach trąb i śpiewów. Przed nim nieśli świycnik siedmioramienny, na którym Zydzi poliyli siedem grubych świec podcas urocystości religijnych. Gdy ten świycnik Rzymianie zabrali, to i koniec państwa zydowskiego ogłosili.

Taki świycnik musi być i w Polsce i musi się na nim świycić siedym świec: miłość, praca, jedna wolo, prowda, umiłowanie cierpienio, sprawiedliwość i religia katolicko, ...bez której miłość się myli, praca głupio, wola roztargnięto, prowda niejasno, cierpienie niewytrzymałe, sprawiedliwość odrzucono — kraj cały wyglądo jak dom bez okien, do którego w worku zanoso światło. Bez religje katolickiej państwo podobne dziecka, co się niezywe urodziyło i jesce umarło.

(Z mowy *O siedmioramiennym świycniku generala Tytusa*)

MYŚLI RÓŻNE

Kiesik, za downych casów, było duzo mądrych, a jedna Ksantyppa. Dziś w Europie inacy: nima Sokratesów, a są jacy gadatliwe Ksantyppy.

Pycha więcej kostuje, jak głód, pragnienie i mróz.

Trzeba kochać i złych ludzi.

W polityce tak bywo: roz się kijem okładają, drugi roz się obłapiają.

Miłość bez ofiary jest zmysłowością.

(Ze *Złotych myśli*)

Piotr Borowy

(Podał do druku
ks. Ferdynand Machay)

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

ŚMIERĆ REPUBLIKI

Paryż, w czerwcu

Gdyby wierzyć afiszom, napisom na murach, transparentom czy okrzykom manifestujących przeciwko de Gaulle'owi tłumów — to należałoby dojść do wniosku, że z dniem 1 czerwca br. Francja utraciła ustrój republikański, przestając tym samym być krajem demokratycznym. W rzeczywistości — jak się wydaje — zapowiedziane reformy konstytucyjne zakończą jedynie pewien okres w historii Francji, zwany IV Republiką. Rząd generała de Gaulle który na razie przejął praktycznie pełnię władzy, ma charakter przejściowy i trudno doprawdy sądzić, by mógł się on przerodzić w formę trwałej dyktatury. Jest natomiast rzeczą niezmiernie znamienną, że mógł zaistnieć fakt nieomal że legalnego formalnie dojścia do władzy kogoś, kto w zasadzie miał przeciwko sobie zdecydowaną większość parlamentu i społeczeństwa. Co więcej: generał de Gaulle, przynajmniej pozornie, nie angażował się w toczącą się rozgrywkę — wyraził gotowość objęcia władzy i czekał. Z czasem zaczął stawiać warunki, natomiast do końca nie ogłosił swego programu, czyli że nie poinformował dokładnie ani swych zwolenników, ani przeciwników, co pocznie z powierzoną sobie władzą. Wiadomo było tylko, że domaga się na pewien okres czasu pełni władzy i że zamierza zreformować konstytucję. Jeśli więc w rezultacie wyraźna większość Zgromadzenia Narodowego zaakceptowała tego rodzaju „program", to świadczy to wyraźnie o zupełnej bezradności tych wszystkich w obliczu narastającego kryzysu, którzy jeszcze parę dni przedtem tworzyli opozycję przeciwko de Gaulle'owi.

Przede wszystkim, zbyt często nadal ulega się złudzeniu, iż typowy francuski indywidualizm i zakorzenione poczucie wolności jest czymś krańcowo przeciwstawiającym się rządom „silnej ręki". Tymczasem uczuciem dominującym wszędzie dziś we Francji jest zmęczenie i zniechęcenie polityczne, a stąd pragnienie stabilizacji stosunków wewnętrznych nawet za cenę wymuszonego posłuszeństwa. Istnieje wyraźny kryzys zaufania do parlamentu będącego w istocie instytucją wyizolowaną i oderwaną od opinii społecznej. Poza komunistami, nieomal wszystkie ugrupowania parlamentarne kontaktują się z wyborcami raz na parę lat w trakcie kampanii wyborczej, a z członkami

własnej partii raz na rok w czasie oficjalnych kongresów. Coraz częstszym zjawiskiem są partie „kadrowe" prawie że programowo rezygnujące z szerszych wpływów w społeczeństwie, nie mające nawet własnych organów prasowych w formie prasy codziennej. W dodatku wszystkie te porozbijane na grupy i frakcje partie są niezmiernie ubogie ideologicznie (pomimo że blisko połowa deputowanych to tzw. we Francji „intelektualiści"), a stąd i spory mają zazwyczaj charakter personalny, a nie ideologiczny. W konsekwencji mało już kogo obchodzą rozgrywki parlamentarne, a prawie nikt nie wierzy, by rozwiązanie sytuacji mogło wyjść od tej czy innej partii jako zespołu ludzi o pewnym jasno zarysowanym obliczu politycznym. Pozostaje więc wiara w poszczególnych ludzi, w wybitniejsze jednostki, krótko mówiąc w cudotwórców. Dlatego też owiany sławą z czasu wojny de Gaulle miał od początku większe szanse, niżby się to mogło wydawać. Bano się nie tyle jego osobiście ile wszelkich faszyzujących elementów powołujących się bezustannie na generała, od którego de Gaulle nigdy się nie odciął. Bano się wreszcie gwałtownej a masowej reakcji robotniczej. Z chwilą więc, gdy strajki okazały się niegroźne, a szybkie „załatwienie" sprawy algierskiej i ogólne uspokojenie możliwe przy pomocy de Gaulle'a, pogodzono się stosunkowo łatwo z zaistniałym stanem rzeczy. Nic nie zmieni jednak faktu, że zgoda ta została wymuszona przez mniejszość szantażującą wywołaniem wojny domowej.

Niewątpliwie de Gaulle napotkał na nieporównanie mniejszy opór niż się tego spodziewano. Deklaracje wszystkich trzech wielkich central związków zawodowych, zgodnie zapowiadające strajk generalny, okazały się jedynie pogróżką. Sporadyczne protesty i manifestacje dowiodły, że niełatwo jest zmobilizować związkowców francuskich do walki mającej charakter polityczny a nie bezpośrednio ekonomiczny. Przewidywano również konsolidację wszelkich ugrupowań lewicowych lub zbliżonych do lewicy na terenie parlamentu. Istotnie jeszcze 28 maja (czyli na pięć dni przed udzieleniem inwestytury dla obecnego rządu) Pflimlin rozporządzał 408 głosami przeciwko 165 zwolenników de Gaulle'a. Po raz pierwszy od bardzo dawna premier francuski miał za sobą tak zdecydowaną większość Zgromadzenia Narodowego. Po raz pierwszy permanentna opozycja jaką zawsze stanowią komuniści (obok poujadystów), zdecydowała się poprzeć rząd. I oto w tych okolicznościach Pflimlin kapituluje, zadawalając się słownym jedynie zapewnieniem de Gaulle'a, że nie zamierza on obalić ustroju republikańskiego. MPR-owsko-socjalistyczny rząd okazał zupełną bezradność wobec sytuacji w Algierze i na Korsyce oraz wobec niepewnego stanowiska armii. Na korzyść Pflimlina świadczy fakt, że czując własną bezsilność oddał władzę i poparł dotychczasowego przeciwnika, zamiast ryzykować

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

ŚMIERĆ REPUBLIKI

Paryż, w czerwcu

Gdyby wierzyć afiszom, napisom na murach, transparentom czy okrzykom manifestujących przeciwko de Gaulle'owi tłumów — to należałoby dojść do wniosku, że z dniem 1 czerwca br. Francja utraciła ustrój republikański, przestając tym samym być krajem demokratycznym. W rzeczywistości — jak się wydaje — zapowiedziane reformy konstytucyjne zakończą jedynie pewien okres w historii Francji, zwany IV Republiką. Rząd generała de Gaulle który na razie przejął praktycznie pełnię władzy, ma charakter przejściowy i trudno doprawdy sądzić, by mógł się on przerodzić w formę trwałej dyktatury. Jest natomiast rzeczą niezmiernie znamienną, że mógł zaistnieć fakt nieomal że legalnego formalnie dojścia do władzy kogoś, kto w zasadzie miał przeciwko sobie zdecydowaną większość parlamentu i społeczeństwa. Co więcej: generał de Gaulle, przynajmniej pozornie, nie angażował się w toczącą się rozgrywkę — wyraził gotowość objęcia władzy i czekał. Z czasem zaczął stawiać warunki, natomiast do końca nie ogłosił swego programu, czyli że nie poinformował dokładnie ani swych zwolenników, ani przeciwników, co pocznie z powierzoną sobie władzą. Wiadomo było tylko, że domaga się na pewien okres czasu pełni władzy i że zamierza zreformować konstytucję. Jeśli więc w rezultacie wyraźna większość Zgromadzenia Narodowego zaakceptowała tego rodzaju „program", to świadczy to wyraźnie o zupełnej bezradności tych wszystkich w obliczu narastającego kryzysu, którzy jeszcze parę dni przedtem tworzyli opozycję przeciwko de Gaulle'owi.

Przede wszystkim, zbyt często nadal ulega się złudzeniu, iż typowy francuski indywidualizm i zakorzenione poczucie wolności jest czymś krańcowo przeciwstawiającym się rządom „silnej ręki". Tymczasem uczuciem dominującym wszędzie dziś we Francji jest zmęczenie i zniechęcenie polityczne, a stąd pragnienie stabilizacji stosunków wewnętrznych nawet za cenę wymuszonego posłuszeństwa. Istnieje wyraźny kryzys zaufania do parlamentu będącego w istocie instytucją wyizolowaną i oderwaną od opinii społecznej. Poza komunistami, nieomal wszystkie ugrupowania parlamentarne kontaktują się z wyborcami raz na parę lat w trakcie kampanii wyborczej, a z członkami

własnej partii raz na rok w czasie oficjalnych kongresów. Coraz częstszym zjawiskiem są partie „kadrowe" prawie że programowo rezygnujące z szerszych wpływów w społeczeństwie, nie mające nawet własnych organów prasowych w formie prasy codziennej. W dodatku wszystkie te porozbijane na grupy i frakcje partie są niezmiernie ubogie ideologicznie (pomimo że blisko połowa deputowanych to tzw. we Francji „intelektualiści"), a stąd i spory mają zazwyczaj charakter personalny, a nie ideologiczny. W konsekwencji mało już kogo obchodzą rozgrywki parlamentarne, a prawie nikt nie wierzy, by rozwiązanie sytuacji mogło wyjść od tej czy innej partii jako zespołu ludzi o pewnym jasno zarysowanym obliczu politycznym. Pozostaje więc wiara w poszczególnych ludzi, w wybitniejsze jednostki, krótko mówiąc w cudotwórców. Dlatego też owiany sławą z czasu wojny de Gaulle miał od początku większe szanse, niżby się to mogło wydawać. Bano się nie tyle jego osobiście ile wszelkich faszyzujących elementów powołujących się bezustannie na generała, od którego de Gaulle nigdy się nie odciął. Bano się wreszcie gwałtownej a masowej reakcji robotniczej. Z chwilą więc, gdy strajki okazały się niegroźne, a szybkie „załatwienie" sprawy algierskiej i ogólne uspokojenie możliwe przy pomocy de Gaulle'a, pogodzono się stosunkowo łatwo z zaistniałym stanem rzeczy. Nic nie zmieni jednak faktu, że zgoda ta została wymuszona przez mniejszość szantażującą wywołaniem wojny domowej.

Niewątpliwie de Gaulle napotkał na nieporównanie mniejszy opór niż się tego spodziewano. Deklaracje wszystkich trzech wielkich central związków zawodowych, zgodnie zapowiadające strajk generalny, okazały się jedynie pogróżką. Sporadyczne protesty i manifestacje dowiodły, że niełatwo jest zmobilizować związkowców francuskich do walki mającej charakter polityczny a nie bezpośrednio ekonomiczny. Przewidywano również konsolidację wszelkich ugrupowań lewicowych lub zbliżonych do lewicy na terenie parlamentu. Istotnie jeszcze 28 maja (czyli na pięć dni przed udzieleniem inwestytury dla obecnego rządu) Pflimlin rozporządzał 408 głosami przeciwko 165 zwolenników de Gaulle'a. Po raz pierwszy od bardzo dawna premier francuski miał za sobą tak zdecydowaną większość Zgromadzenia Narodowego. Po raz pierwszy permanentna opozycja jaką zawsze stanowią komuniści (obok poujadystów), zdecydowała się poprzeć rząd. I oto w tych okolicznościach Pflimlin kapituluje, zadawalając się słownym jedynie zapewnieniem de Gaulle'a, że nie zamierza on obalić ustroju republikańskiego. MPR-owsko-socjalistyczny rząd okazał zupełną bezradność wobec sytuacji w Algierze i na Korsyce oraz wobec niepewnego stanowiska armii. Na korzyść Pflimlina świadczy fakt, że czując własną bezsilność oddał władzę i poparł dotychczasowego przeciwnika, zamiast ryzykować

wojnę domową. Tym niemniej z punktu widzenia interesów partii publiczne przyznanie się do niezdolności rządzenia równa się poważnej przegranej. Zaostrzy to jeszcze bardziej potęgujący się kryzys w łonie lewego centrum Zgromadzenia Narodowego. Bezpośrednie korzyści zbierze natomiast prawica i jedynie konsekwentnie opozycyjna jako całość partia komunistyczna. W opozycji do de Gaulle'a jest na razie również dość osamotniony wśród rozbitych na frakcje radykałów Mendes-France. Myśląc o przyszłej batalii po ustąpieniu obecnego rządu pragnie tymczasem odebrać komunistom monopol na opozycyjność.

Jeszcze raz okazało się, jak płynna i iluzoryczna jest większość podziałów w parlamencie francuskim, Podobnie jak w wypadku wszystkich poprzednich 21 rządów IV Republiki, tak i dziś ci sami ludzie zmieniają zdanie w ciągu paru tygodni, jeśli nie dni. Stąd też częstym objawem jest głosowanie przeciwko rządowi, w którym reprezentowana jest własna partia. Dotyczy to nie tylko sławnych z braku zdyscyplinowania radykałów czy prawicowych „niezależnych", lecz także ostatnio i socjalistów, którzy co prawda jako partia bynajmniej nierewolucyjnych urzędników i funkcjonariuszy nie wiele mają poza nazwą wspólnego z socjalizmem. Linia podziału biegnie więc, z wyjątkiem komunistów, nie pomiędzy lecz poprzez partie, a opinie poszczególnych deputowanych kształtują się każdorazowo w zależności od problemu będącego przedmiotem dyskusji. Prawie równie trudno jest przewidzieć na kogo będzie głosował wyborca francuski, jak to, jaką postawę zajmie deputowany w Zgromadzeniu Narodowym. W rezultacie obecnie żadna partia francuska czy też wątpliwej wartości koalicja partyjna nie jest w stanie choćby tylko utrzymać się przy władzy na przeciąg kilku miesięcy (przeciętna dla dotychczasowych rządów wynosi 6 miesięcy). Należy być jednak bardzo ostrożnym w uogólnianiu typowo francuskich wad ustrojowych na całość systemów parlamentarnych.

Błyskawicznie i bezkrwawo zmieniła się sytuacja wewnętrzna Francji. Ostateczny wynik tego legalnego, jakkolwiek pod presją dokonanego przewrotu, zaskoczył samych Francuzów. Zaskoczył i przyniósł mimo wszystko ulgę. Przychodzą bowiem czasem momenty, gdy zaczyna dominować mniej lub bardziej uświadomione pragnienie ładu i dyscypliny.

Krzysztof Kozłowski

RAZ JESZCZE: LITTLE ROCK

Na początku maja Rada Szkoły Dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku przyznała nagrody imienia Pulitzera za rok 1957.[1] Po raz pierwszy w historii nagrody ten sam dziennik otrzymał dwa wyróżnienia za omawianie tego samego wydarzenia. „Arkansas Gazette", wydawana w Little Rock, stolicy stanu Arkansas, otrzymała nagrodę za najlepsze doniesienia prasowe o zeszłorocznych rozruchach antymurzyńskich; redaktor naczelny tego pisma, Harry Ashmore, otrzymał nagrodę za świetne artykuły redakcyjne, w których poddawał ostrej krytyce zacietrzewienie części swych współziomków i wnikliwie analizował postępowanie polityków, starających się o upieczenie swej własnej pieczeni na niechęci wobec Murzynów.

Podwójne wyróżnienie „Arkansas Gazette" wywołało duże zainteresowanie w Stanach Zjednoczonych. Warto więc przypomnieć zeszłoroczne wypadki w Little Rock. Gdy zdrapie się z nich śniedź podniecenia, pozostaną następujące fakty. W latach 1954—1955 Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych wydał kilka orzeczeń, które w sumie oznaczają, że segregacja uczniów białych i czarnych w szkołach publicznych w Stanach Zjednoczonych jest niezgodna z konstytucją. Zdając sobie jednak sprawę z zadawnionych niechęci, różnic natury społecznej i kulturalnej, Sąd Najwyższy zalecił, by tempo integracji dyktowały miejscowe warunki i roztropność. Urząd szkolny w Little Rock postanowił wprowadzić w życie decyzje i zalecenia Sądu Najwyższego, opracowując plan integracji młodzieży w szkołach miejscowych. Plan ten przewidywał między innymi, że począwszy od września 1957 roku Murzyni będą mogli się zapisywać do Głównej Szkoły Średniej w Little Rock, znanej ze swego wysokiego poziomu. Miejscowy sąd federalny i władze stanowe z gubernatorem Faubusem na czele wyraziły swą aprobatę dla planu. Jednak przed rozpoczęciem roku szkolnego i zapisów do szkoły gubernator Faubus rozkazał milicji stanowej, by nie dopuściła Murzynów do szkoły. Sąd federalny nakazał wycofanie milicji. Gubernator dostosował się do żądania sądu, ale w żaden sposób nie przeciwstawił się tłumowi przeciwników integracji, którzy na swoją rękę postanowili nie dopuścić dzieci murzyńskich do Głównej Szkoły Średniej. Szereg wystąpień Faubusa trudno interpretować inaczej, niż zachęcanie do takiej nieodpowiedzialnej akcji. Wtedy to prezydent Eisenhower wysłał do Little Rock oddział spadochroniarzy i podporządkował dowództwu wojskowemu milicję stanową. Obie formacje utrzymywały porządek i umożliwiły Mu-

[1] Nagrody dziennikarskie imienia Pulitzera (1847—1911) są przyznawane corocznie za wybitne osiągnięcia w dziedzinie dziennikarstwa. Niewysokie sumy nagród (500 dolarów) są niewspółmierne ze znaczeniem, jakie im się przypisuje w Stanach.

rzynom zapisanie się a następnie uczęszczanie do szkoły. Wojsko będzie wycofane z Little Rock po zakończeniu roku szkolnego.[2]

Wydarzenia w Little Rock wywołały dużo większy rozgłos, aniżeli pomyślnie przeprowadzona w 762 szkołach na południu Stanów integracja dzieci białych i czarnych. Większa część opinii amerykańskiej śledziła całą sprawę z zakłopotaniem i wstydem, upatrując w niej symbol zacietrzewienia. Niektóre koła polityczne na Południu z oburzeniem podkreślały fakt interwencji władz i wojsk federalnych w sprawy obchodzące rzekomo tylko i wyłącznie ludność stanu Arkansas. Przypominano, że po Wojnie Secesyjnej (1861—5) Północ, która prowadziła wojnę między innymi o uwolnienie Murzynów, zachowywała się w sposób „impertynencki" wobec pobitego Południa. Sprawa Little Rock dla osób zainteresowanych zagadnieniami konstytucyjnymi stanowiła ciekawy i pasjonujący wypadek rozwiązania różnicy zdań między rządem i władzami centralnymi a stanowymi. Wymiana poglądów najczęściej daleka była cd spokoju wypowiedzi akademickich, a w Little Rock wzburzenie było znaczne.

W takich warunkach, gdy manifestujący tłum wymachiwał pięściami niedaleko redakcji, gdy redaktorzy otrzymywali listy z pogróżkami proponujące m. in. wystawienie Ashmore'owi gustownego nagrobka, „Arkansas Gazette" bez przerwy dokładnie informowała o rozwoju wypadków z nieporównanym i wcale niełatwym obiektywizmem. Redaktorzy — z Ashmore'm na czele — to południowcy (rodzina Ashmore'a od ośmiu pokoleń mieszka na Południu) i sprawiedliwa ocena powodów wzburzenia we własnym środowisku nie była zadaniem łatwym. Ashmore w artykułach wstępnych analizował bez pardonu motywy postępowania grup społecznych i gospodarczych oraz uwikłanych w spór wybitniejszych polityków. Między innymi poddał dokładnej i wnikliwej analizie stanowisko gubernatora Faubusa, przypisując woltę w jego postępowaniu chęci uzyskania popularności. Faubus już dwukrotnie był wybrany na stanowisko gubernatora i — zdaniem Ashmore'a — zamierzał wyzyskać falę popularności dla ponownego wyboru na trzecią kadencję, fakt bez precedensu w historii stanu Arkansas. Ostatnie doniesienia polityczne wskazują, że Ashmore świetnie zrozumiał motywy postępowania ambitnego gubernatora. Faubus podał do wiadomości, że

---

[2] Ostatnio sędzia federalny H. J. Lemley zawiesił na dwa lata z górą integrację w Little Rock. Twierdzi, że działa zgodnie z żądaniami ludności, zapominając, że segregacji żądała rozhisteryzowana mniejszość. Twierdzi, że w szkole dla Murzynów poziom jest równie wysoki jak w szkole dla białych, więc po co wspólna szkoła, zapominając, że przeciwnicy integracji mówią stale o niższym rzekomo poziomie umysłowym Murzynów. Związki murzyńskie będą apelować od decyzji Lemleya. Prędzej czy później integracja wejdzie niechybnie w życie. (Przyp. red.).

będzie kandydował w tegorocznych jesiennych wyborach na stanowisko gubernatora. Na marginesie warto tu dodać, że początek roku szkolnego zbiegnie się z początkiem kampanii przedwyborczej, co może doprowadzić do ponownych niepokojów w Little Rock.

Świetne analizy Ashmore'a bezpośrednio wynikają z jego zrozumienia zagadnień murzyńskich w Stanach. Należy on do tych, którzy nie sprowadzają całego zagadnienia do uprzedzeń rasowych. Nie ulega wątpliwości, że przyjazne i pozbawione uprzedzeń stosunki między białymi i czarnymi są nieodzownym warunkiem integracji. Niemniej sam tylko zanik niechęci wzajemnych nie zmieni różnic między dochodami czarnych i białych, nie wpłynie na strukturę zawodową ludności murzyńskiej, nie wpłynie bezpośrednio na gusty, zdolności, poziom kulturalny czy jej strukturę społeczną. Wszystkie te zagadnienia wymagają rozważenia i rozwiązania, jeśli integracja ludności murzyńskiej ma być nie tylko formalnością ale i rzeczywistym połączeniem dwu grup.

Przyjrzyjmy się więc kolejno kilku zagadnieniom nieco bliżej. Sam Ashmore napisał w bieżącym roku książkę pt. *Epitaph for Dixie* („Epitafium dla Południa"), gdzie stwierdza fakt rozpadu instytucji, które po uwolnieniu Murzynów miały być ostoją przewagi białych nad czarnymi. I tak system jednopartyjny na Południu, gdzie konserwatywne skrzydło partii demokratycznej rządziło nieprzerwanie, nie jest już obecnie pewnikiem a wkrótce zapewne będzie należał do przeszłości. Sytuacja społeczno-gospodarcza Murzynów zmienia się na skutek emigracji na Zachód (wybrzeża Pacyfiku) i na Północ. Uprzemysłowienie Południa prowadzi do wzrostu płac i większego niż dotychczas wymieszania ras w miejscu pracy. Niemałą rolę odgrywają dobrze zorganizowane murzyńskie akcje bojkotowe. Decyzje Sądu Najwyższego i ustawy uchwalane przez Kongres znoszą lokalne ograniczenia prawne i społeczne ludności murzyńskiej. Na skutek zmian w organizacji i typie uprawy roli zanika system dzierżawy roli Murzynom, który w połączeniu z lichwiarskim systemem kredytowym uniemożliwiał dzierżawcom osiągnięcie poziomu dochodu nieco wyższego od minimum potrzebnego dla przetrwania. Nie należy również zapominać, że każde następne pokolenie białych i ciemnoskórych jest bardziej oddalone od okresu niewolnictwa. Młodzież biała przejawia mniej uprzedzeń aniżeli pokolenie ojców. W ubiegłym roku, podczas wypadków w Little Rock, procent uczniów Głównej Szkoły Średniej odnoszących się negatywnie do kolegów Murzynów, był dużo mniejszy aniżeli odsetek osób starszego pokolenia, manifestujących przed budynkiem szkolnym. Redaktor „Arkansas Gazette" zdaje sobie sprawę, że chociaż zmierzamy ku integracji Murzynów, to jednak droga do celu będzie usiana nieodpowiedzialnymi reakcjami osób, którym duży zakres samodzielności stanowej zapewnia względną bezkarność.

Innym przykładem tego, że zbytnie upraszczanie utrudnia zrozumienie problemu murzyńskiego w Stanach, jest interpretacja różnic między poziomem dochodów ludności białej i czarnej. Na Południu przeciętny dochód Murzyna wynosi nieco ponad 50% przeciętnego dochodu białego. Nie oznacza to wszakże, że Murzyn na takim samym stanowisku jak biały jest gorzej płatny; po prostu Murzyni mają mniej kwalifikacji i dlatego mogą być zatrudniani tylko przy pracach gorzej płatnych. Połowa czarnych mężczyzn to robotnicy niewykwalifikowani.

Nikt nie neguje, że powodem takiego stanu rzeczy jest w dużej mierze dyskryminacyjna rasowa, ale samo jej usunięcie nie zmieni struktury zawodowej ludności murzyńskiej. Murzyn-niewolnik przywożony do Ameryki Północnej w połowie wieku XVIII był biedniejszy i umiał dużo mniej aniżeli anglosaski emigrant przybywający do niej w tym samym czasie. Niewola nie sprzyjała nabywaniu umiejętności zawodowych; prymityw kulturalny niewolników utrudniał zapewnienie wykształcenia młodemu pokoleniu, które z kolei musiało zadowolić się niższymi zarobkami. To zamknięte koło można przerwać używając trzech metod: udostępnienie Murzynom wykształcenia równego poziomem przeciętnej amerykańskiej (stąd znaczenie decyzji Sądu Najwyższego); uprzemysłowienie Południa, które ma do tego podstawy surowcowe w postaci metali półszlachetnych; emigracja Murzynów na Północ i nad Pacyfik, gdzie przeciętne zarobki czarnych różnią się dużo mniej od zarobków białych (w Kalifornii przeciętne dochody Murzyna wynoszą około 85% dochodu białego; jest to wskaźnikiem, że Murzyni otrzymują dużo większy niż na Południu procent dobrze płatnych stanowisk).

Migracje Polaków w ciągu ostatnich kilkunastu lat dostarczają świetnych przykładów, że do pełnego zlania się autochtonicznej ludności Śląska czy Warmii z Polakami napływającymi z terenów należących do Polski przed II wojną światową, trzeba nieco więcej niż tylko dobrej woli i braku uprzedzeń. Podobnie w wypadku Murzynów amerykańskich trzeba na przykład odpowiedzieć na pytanie, czy Murzyni mają wejść do nowej społeczności biało-czarnej jako jednostki czy też jako grupy, posiadające własną strukturę i właściwe sobie uwarstwienie społeczne. Przyjrzyjmy się, jak te trudności widzi świetny znawca problemu murzyńskiego w Stanach Zjednoczonych, sam Murzyn, profesor Frazier. Otrzymał on niedawno złoty medal Amerykańskiego Towarzystwa Socjologicznego za prace na tym polu.

Społeczność murzyńska na Południu różni się zasadniczo od wspólnoty murzyńskiej na Północy. Na Północy Murzyni są przybyszami nowymi; wewnętrzna migracja na Północ datuje się od okresu po pierwszej wojnie światowej, kiedy ustał napływ emigrantów z Europy środkowej i południowej a rozwijający się przemysł amerykański musiał

sięgnąć do nowych zasobów siły roboczej. Na Północy żyje około jednej trzeciej wszystkich Murzynów USA. Na Południu Murzyni przebywają od czasów niewolnictwa. Stanowili oni siłę roboczą w rolnictwie i na plantacjach południowych Stanów i nadal w dużej mierze czerpią z rolnictwa swe dochody, co prawda nie tylko jako robotnicy ale również jako dzierżawcy i właściciele ziemscy.

Murzyńskie instytucje społeczne na Południu mają na celu staranie o dobrobyt oraz zaspakajanie potrzeb społecznych i kulturalnych zwartej społeczności murzyńskiej. Grupują się one głównie wokół gmin baptystów i metodystów — ogromna większość Murzynów należy do jednej z tych dwu sekt. Towarzystwa wzajemnej pomocy, stowarzyszenia zawodowe, szkoły, związki kredytowe — oto przykłady instytucji murzyńskich. Na ich czele stali początkowo przywódcy rekrutujący się głównie spośród osób, które uzyskały wolność jeszcze przed zniesieniem niewolnictwa, a zajmowały się głównie rzemiosłem lub czerpały dochody z własności ziemskiej lub nieruchomości, jako że nawet dla wyzwoleńców inne zawody były niedostępne. Ci przywódcy murzyńscy kierowali życiem ludności murzyńskiej i po zniesieniu niewolnictwa stali się pośrednikami między ludnością czarną i białą. Biali byli dla nich zawsze wzorem godnym naśladowania; stąd wzorowanie ideałów wychowawczych szkół murzyńskich na zasadach powszechnie przyjętych w szkolnictwie białych. Największą uwagę zwracano na pobożność, oszczędność i dążenie do uzyskania szacunku i uznania wśród społeczeństwa *(respectability)*. Gdy się czyta opisy życia południowych Murzynów, odnosi się częstokroć wrażenie, że kwitła tam kultura obfitująca w przejawy patronatu właściwego dla ziemiaństwa oraz przejawy mieszczańskiego uznania dla własności i godności społecznej. Przywódcy murzyńscy na Południu są dość autorytatywni, a metody decydowania o sprawach obchodzących ogół dalekie od ideałów demokratycznego samorządu.

Murzyńska warstwa średnia na Północy czerpie swe znaczenie nie tyle z pozycji wśród innych Murzynów ile z wykonywanego zawodu i związanego z tym dochodu i pozycji społecznej. Coprawda Murzyni napływają na Północ przyciągnięci przez magnes rozwijającego się przemysłu, ale nie wszyscy są robotnikami przy taśmach produkcyjnych. Wielu z nich, zwłaszcza w drugim pokoleniu, to sprzedawcy, komiwojażerowie, urzędnicy, robotnicy wysoko kwalifikowani i technicy. Dorównując białym pod względem zawodowym nie troszczą się oni zbytnio o ideały murzyńskiej szkoły z Południa; chcą się nauczyć fachu, by móc zarabiać i osiągnąć upragnione stanowisko. Znaczenie społeczne starają się uzyskać nie przez godne przodowanie swym współbraciom, lecz przede wszystkim przez wysoki poziom konsumpcji. Podczas zabaw towarzyskich Murzynów z Północy nieraz ustawia się fontannę, z któ-

rej płynie szampan, panie noszą drogie futra i często zajeżdżają kosztownymi autami, prowadzonymi przez szoferów.

Więzy społeczne między Murzynami na Północy są dużo słabsze aniżeli na Południu, instytucje ich mają mniejszy wpływ. Często należą do organizacji mieszanych (np. związki zawodowe), gdzie zdobywają stanowiska i wpływy.

Jak te różnice mogą wpłynąć na proces włączania Murzynów do społeczeństwa amerykańskiego? Jeśli nastąpi pełna integracja, wiele instytucji i firm murzyńskich na Południu może stracić znaczenie i klientelę, opierają się one bowiem bardziej na solidarności rasowej niż na swych możliwościach konkurencji z przedsiębiorstwami białych. Warstwa przodująca może łatwo stracić swe znaczenie, zwłaszcza gdy odpadnie konieczność pośredniczenia między wspólnotą murzyńską i społeczeństwem białych. Stąd brak entuzjazmu dla pełnej integracji.

Na Północy trudności tego typu są dużo mniejsze. Murzyni już obecnie konkurują i współżyją z białymi w miarę posiadania odpowiednich umiejętności i wykształcenia. Odrębność murzyńska nie jest wartością, o którą warto walczyć. Jednocześnie jednak Murzyni z Północy często odzwyczajeni są od życia społecznego w ogóle i chodzą samopas. Stąd na Północy problem integracji będzie w dużej mierze polegał nie na włączaniu do społeczeństwa jednostek o innym pigmencie skóry i wyglądzie, ale na uspołecznianiu jednostek aspołecznych. Jak widać, byłoby dużym błędem stosowanie jednolitego schematu do wszystkich wypadków.

Rozsądni Murzyni zdają sobie świetnie sprawę z wspomnianych trudności i różnorodności aspektów sprawy murzyńskiej; ich wypowiedzi są dużo mniej demagogiczne niż głosy niektórych postronnych obserwatorów o gorących sercach lecz niewielkiej znajomości zagadnienia.

Stanisław Wąsowski
Pittsburgh USA

ZAKONY CHORYCH

Czasy obecne dają wiele dowodów żywotności Kościoła, który nieustannie stara się uwzględniać powstające potrzeby współczesnego życia religijnego. Jeśli tego wymaga dobro duchowe wiernych, Kościół nie waha się zmieniać dotychczasowych metod działania. Była już na tym miejscu uczyniona wzmianka o zakonie Małych Braci i Sióstr o. Karola de Foucauld.

Może warto jeszcze wspomnieć o nowym rodzaju życia zakonnego, który rozszerza zasięg powołania do doskonałości w duchu rad ewangelicznych.

Życie zakonne wymaga pewnych wysiłków i wyrzeczeń, stąd jednym

z warunków przyjęcia do klasztoru jest zdrowie. W myśl kanonu 538 Kodeksu Prawa Kanonicznego przepisy poszczególnych zakonów lub zgromadzeń przewidują badanie lekarskie kandydatów celem stwierdzenia ich zdolności do spełniania obowiązków i znoszenia trudów życia zakonnego. Brak pełni sił fizycznych uważano do niedawna za wystarczający dowód, że kandydat nie posiada powołania zakonnego.

Stanowisko Kościoła w tej sprawie uległo obecnie ewolucji. Świadczą o tym powstałe i przez Kościół zatwierdzone Zgromadzenia zakonne i Instytuty świeckie, do których są przyjmowane osoby o słabym zdrowiu lub chore nie w drodze wyjątku, ale normalnie, zasadniczo, a nawet niemal wyłącznie. I nie są to Zgromadzenia zakonne o złagodzonej regule, dzięki której mogą być przyjmowane osoby zdrowe, a od czasu do czasu prawdziwie chorzy; przeciwnie — cierpienie chroniczne, słaby stan zdrowia, ułomność fizyczna stają się koniecznym warunkiem przyjęcia, podstawą pracy duchowej członków takich zgromadzeń, okolicznością pozwalającą naśladować cierpiącego Chrystusa.

Na powstanie takich zgromadzeń wpłynęła rosnąca ilość rzeczywistych powołań zakonnych wśród ludzi o słabym zdrowiu lub wprost chorych. Kościół w swoich wysiłkach przy rozszerzaniu Królestwa Bożego na ziemi mobilizuje siły duchowe ukryte w cierpieniach, znoszonych z poddaniem się woli Bożej i w łączności z Chrystusem, Głową Ciała Mistycznego. Rola cierpiących członków Mistycznego Ciała Chrystusowego jest ogromna i coraz lepiej rozumiana.

„Być chorym to cierpieć, a cierpienie pojęte i znoszone pod kątem wiary chrześcijańskiej jest ostatecznie bronią potężniejszą od modlitwy i wszelkiego dobrego dzieła" — pisze w swym dzienniku Kamil Beerlandt, Flamandczyk, który mając 20 lat zapadł na nieuleczalną chorobę i, przykuty do łóżka, leży już 27 lat bez ruchu.

Zgromadzenia zakonne chorych dają przykład i naukę poglądową, jak wykorzystać cierpienia dla własnego uświęcenia i dla celów apostolskich.

Współczesna wiedza lekarska uczyniła wielkie postępy w dziedzinie rehabilitacji, czyli przywracania zdolności pracy i wartości życia ludziom chorym i kalekom. Dzięki tym osiągnięciom chorzy w zakonach mogą w pewnej mierze pracować i w ten sposób przyczyniać się do własnego utrzymania.

Dotychczas najwięcej zgromadzeń zakonnych dla chorych powstało we Francji. Jedne z nich są jakby odgałęzieniem istniejących zakonów, np. Benedyktynki lub Dominikanki prowadzące życie kontemplacyjne dostosowane do chorych. Natomiast Siostry Jezusa Ukrzyżowanego, Służebniczki Baranka Bożego, Misjonarki chorych, Siostry chorych itp. przedstawiają nowe typy życia zakonnego, umożliwiając chorym poświęcenie się Bogu przez złożenie ślubów zakonnych i wspólne życie.

Wśród żeńskich zakonów zapewniających chorym autentyczne życie zakonne wyróżnia się szybkim rozwojem Zgromadzenie SS. Jezusa Ukrzyżowanego założone już w 1930 roku, a zatwierdzone przez Rzym w 1950 r. W 1957 r. Zgromadzenie to liczyło w kilku domach we Francji i w jednym w Stanach Zjednoczonych ponad 100 sióstr po ślubach wieczystych i ok. 60 sióstr tzw. oblatek, żyjących w swoich domach. Kandydatki w wieku do lat 30, oprócz cierpiących na choroby nerwowe, odbywają postulat przez 6 miesięcy i przez 2 lata nowicjat. Jest to zgromadzenie kontemplacyjne oparte na regule św. Benedykta i czerpiące wytyczne z życia liturgicznego.

W myśl hasła tego zgromadzenia: *Amen, Alleluja* — siostry starają się znosić chorobę w duchu radości i w zjednoczeniu z cierpiącym Chrystusem w intencji uświęcenia stanu kapłańskiego. W swym codziennym życiu zakonnice te wypełniają nakaz Pawłowy: Jeden drugiego ciężary znoście oraz każdy swój ciężar poniesie przed Boga.

Przepisy lekarskie regulują udział sióstr w ćwiczeniach duchowych, określają czas wypoczynku, dietę, rodzaj pracy takiej, jak hafciarstwo, szycie, oprawa książek itp. Dla całości obrazu wspomnieć jeszcze należy o Instytucie Braci św. Jana Apostoła.

Dom macierzysty tego Instytutu powstał pod Paryżem w 1946 r. Celem Zgromadzenia jest umożliwienie złożenia ślubów zakonnych mimo braku zdrowia oraz roztoczenie opieki duchowej nad chorymi. Bracia chodzą po świecku, tylko idąc do chóru na wspólne modlitwy wkładają habit. W miarę możności oddają się pracy ręcznej w ogrodzie, w warsztacie mechanicznym, pasiece, zajmują się hodowlą itp.

Co ciekawe, wśród chorych braci zrodziły się powołania kapłańskie. Po skończeniu studiów teologicznych w pobliskim kolegium dominikańskim Saulchoir kilku członków zgromadzenia otrzymało święcenia kapłańskie i teraz pracuje bardzo owocnie w charakterze kapelanów w okolicznych sanatoriach. Osobiste doświadczenie uczy ich właściwego podejścia do chorych.

U nas w Polsce szerszą działalność w tej dziedzinie prowadzi jedynie Apostolstwo Chorych pomagając chorym wykorzystywać cierpienie dla własnego uświęcenia i ofiarowania go dla duchowego dobra drugich.

o. Marcin Chrostowski OP.

DZIENNIK KS. PIOTRA SEMENENKI C. R.

Obszerna i cenna „Bibliografia pamiętników polskich i Polski dotyczących", pióra E. Maliszewskiego (W-wa 1928), obejmująca nie tylko druki, ale i rękopisy nie notuje Dziennika ks. P. Semenenki C. R. Nie wymieniają go również poważni recenzenci dopełniający znacznie be-

nedyktyński trud Maliszewskiego. Nie wie nic o nim nawet taki znawca i posiadacz ponad 2000 pozycji pamiętnikarskich, jakim jest dr Józef Rybicki. Nie znali Dziennika ks. Semenenki również potomkowie duchowi ich autora, gdyż rzecz leżała długie lata w rzymskim archiwum oo. Zmartwychwstańców. Korzystali z niego w części dotyczącej głównie dziedziny mistyki katolickiej, której Dziennik ks. Semenenki jest znakomitym studium, księża P. Smolikowski, W. Kwiatkowski i W. Kosicki, biografowie tej niezwykłej postaci. Natomiast w części odnoszącej się do kontaktów towarzyskich i naukowych autora z licznymi, a wybitnymi postaciami XIX wieku, ułatwiającej zarazem lepszą znajomość wzajemnych stosunków Polski z Rzymem, Dziennik ten nie był dotychczas znany. Przygotował go do druku i zaopatrzył piękną przedmową ks. Edmund Elter T. J., z przypisami ks. Piotra Naruszewicza. Rzecz wyszła u progu tysiaclecia chrześcijaństwa w Polsce w drugim tomie monumentalnego wydawnictwa *Sacrum Poloniae Millenium* (*Rozprawy — Szkice — Materiały historyczne*, Rzym 1955) i w osobnym wytwornym wydaniu. Wartość i potrzebę edycji wyboru notatek z obszernego, z czterech zeszytów złożonego Dziennika ks. Semenenki, ocenił dobrze autor przedmowy, którego zainteresowała genialna postać pamiętnikarza, głębokiego filozofa, teologa, mistyka i ascety, piastującego wysokie godności kościelne, spełniającego razem z kilku innymi wybitnymi Zmartwychwstańcami funkcję rzecznika Polski wobec Watykanu. Ks. Semenenko, pisząc swój Dziennik na gorąco z dnia na dzień przeważne, czasem z długimi nawet przerwami, nie myślał o jego druku, za czym przemawia strona formalna dzieła, w wielu miejscach zaniedbana. Autor zamierzał rozwinąć w przyszłości liczne szczegóły i szkicowe notatki, ale brakło mu na to czasu. Lakoniczność ich nie odebrała dziełu jego wdzięku i oryginalności; czytamy je po latach z wielkim zainteresowaniem, poznając szeroki krąg postaci głównie ze świata Słowiańszczyzny i wypadki z dziejów minionego wieku. Ks. Semenenko zaczął pisać swój Dziennik w 1851 roku w Paryżu, a skończył tamże w roku 1886, na trzy tygodnie przed śmiercią. Pisarstwu sprzyjały liczne podróże odbywane przez ks. Semenenkę na przestrzeni wielu lat z racji zajmowanych stanowisk i urzędów, które ułatwiały mu kontakty z ludźmi ze sfer duchownych, literackich i artystycznych. Pociągał ich głównie wielki urok osoby autora, jego ogromna wiedza, a przy tym prawdziwa pokora i dar ujmowania sobie ludzi, z którymi utrzymywanie stałych kontaktów nie było wcale łatwe. Podtrzymywały je świętość życia ks. Semenenki, promieniująca całymi latami na jego otoczenie.

Już za naszych dni, w roku 1951 rozpoczął się proces beatyfikacyjny wielkiego Sługi Bożego; miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości otrzymamy świętego patrona filozofów i uczonych naszego wieku. Dla historyka Kościoła w Polsce wielką wagę mają notatki ks. Semenenki opisujące wypadki mało lub wcale

nieznane nie tylko ówczesnej Kurii Rzymskiej, ale i nawet dzisiejszym naszym historykom. Badacza dziejów literatury i kultury polskiej zainteresuje to co autor pisze o naszych czołowych przedstawicielach świata literackiego. I tak notuje ks. Semenenko m. in. rozmowę z Mickiewiczem, pisze o długoletniej przyjaźni z Bronisławem i Bohdanem Zaleskimi oraz z Teofilem Lenartowiczem i z Walerym Wielogłowskim. Z braci literackiej znał też dobrze Gustawa Olizara i Edwarda Łubieńskiego. Godne uwagi jest również to, co pisze ks. Semenenko o J. I. Kraszewskim.

Z uczonych polskich wspomina ks. Semenenko szczególnie rzewnie przyjaciela lat młodości Ignacego Domeykę, z którym spotkał się po 48 latach niewidzenia i odbył z nim wspólną podróż do Ziemi św. przez Kraków, gdzie jakiś czas zatrzymali się obaj i byli owacyjnie witani.

Na kartach Dziennika spotykamy też nazwiska filozofów polskich, jak Józef Gołuchowski i August Cieszkowski. Z tym ostatnim miał nasz autor wiele poważnych dysput filozoficznych, streszczonych dość obszernie w Dzienniku.

Pisał on równie interesująco o kontaktach z niektórymi muzykami i artystami. Z obcych najwięcej miejsca poświęcił Franciszkowi Lisztowi, który w roku 1875 prosił ks. Semenkę „o muzykę, jakiej w Krakowie używają do nabożeństwa św. Stanisława". Ks. Semenko znał dobrze jednego z najzdolniejszych uczniów Fr. Liszta, Witolda Tadeusza Czeczota, późniejszego kapłana. Autor omawianego Dziennika kontaktował się również z Antonim Kątskim, sławnym naszym pianistą i kompozytorem oraz z księżną Marceliną Czartoryską, uczennicą Chopina.

Ze świata malarzy i rzeźbiarzy na wspomnienie zasługują tutaj serdeczne kontakty z Janem Matejką, Władysławem Oleszczyńskim, Wojciechem Kornelim Stattlerem, Oskarem Sosnowskim, Janem Kryńskim, L. Nowotnym, F. Drewaczyńskim i innymi. Do zbliżenia nie przyszło jakoś z Henrykiem Siemiradzkim, chociaż Matejko zabiegał o to gorliwie.

Przypisy ks. P. Naruszewicza, oparte o obszerną literaturę pomocniczą, są przeważnie rzeczowe, zwięzłe i wystarczające. Szkoda, że znaleźć w nich można kilka pomyłek, zwłaszcza w datach i imionach.

Z przykrością należy wspomnieć o bardzo niedokładnym — mówiąc delikatnie — skorowidzu nazwisk umieszczonym na końcu Dziennika. Na karcie tytułowej — wbrew przyjętym zwyczajom — nie wydrukowano daty, miejsca edycji i wydawcy. Dobrze się stało, że wydawcy zamieścili zwięzły życiorys ks. Semenenki i bibliografię jego prac, która wymaga jednak uzupełnień. Przydałaby się jednak w tym miejscu bibliografia ważniejszych prac o autorze Dziennika, np. rozprawa prof. Mariana Zdziechowskiego z roku 1887.

Jednakże mimo tych usterek w objaśnieniach, sam Dziennik z przypisami stanowi istną kopalnię wiadomości. Historycy kultury

polskiej znajdą w nim, wśród mnóstwa szczegółów dotyczących naszego życia religijnego, politycznego, historycznego i naukowego XIX stulecia prawdziwe perły układające się w misterny wieniec chwały dla uczonego tej miary jakim był ks. Piotr Semenenko, chluba Zgromadzenia oo. Zmartwychwstańców.

Franciszek German

DANILO DOLCI

Sycylia — ongiś najżyźniejsza kraina i spichrz całych Włoch — jest dzisiaj siedliskiem nędzy, głodu i przestępstwa. Uprawa ogranicza się do winnic, zboże jest rzadkością. Brak elementarnych urządzeń cywilizacyjnych, w tym nawet dróg, łączących ze sobą poszczególne miejscowości i dzielnice. Brak pracy dla większości mieszkańców. W rezultacie poszczególne rodziny muszą być samowystarczalne, co w najlepszym razie pozwala na wegetację poniżej minimum egzystencji. Taki stan rzeczy sprzyja szukaniu chleba różnymi ułatwionymi sposobami: mężczyźni w zorganizowanych bandach rabują, kobiety trudnią się prostytucją. Przestępczość pogarsza jeszcze bardziej nędzę ogółu mieszkańców. Rozbicie społeczeństwa na zamknięte rody sprzyja utrzymywaniu się krwawego zwyczaju „zemsty rodowej" i pogłębia antagonizmy społeczne.

Faktyczną władzę na wyspie sprawują wielcy właściciele ziemscy, prowadzący rabunkową gospodarkę gruntową. Sprzeciwiają się oni podniesieniu kultury rolnej przez meliorację, budowanie dróg, ponieważ wymagało by to od nich doraźnych wkładów finansowych. W rezultacie nie prowadzi się na Sycyli żadnych inwestycji, choć w ten sposób można by opanować bezrobocie.

Do takiej krainy przybył w styczniu 1952 r. młody włoski architekt — Danilo Dolci. Postanowił pozostać w Trapetto, zamieszkać wśród najbiedniejszych i w miarę sił ulżyć ich doli. Zdawał sobie sprawę z tego, na co się waży. Poprzednio po zakończeniu wojny 2 lata pracował w Nomadelfii, w sierocińcu ks. Zeno Saltini, mieszczącym się w barakach dawnego obozu koncentracyjnego w Fossoli. Sierociniec ten prowadzony był w sposób eksperymentalny: podstawą jego było kilka małżeństw, które adoptowały opuszczone dzieci i sieroty. Wszyscy mieszkańcy fossolskich baraków — dorośli i dzieci — żyli we wspólnocie ekonomicznej, którą ks. Saltini uważał za doskonałą metodę pedagogiczną.

Potem przez 3 lata pracował Dolci wśród sycylijskich wieśniaków, budując dla nich domy. Wtedy to zobaczył, do czego prowadzi bezrobocie, nędza, bezrozumne przesądy i zwyczaje. Doszedłszy do przekonania, że jego dotychczasowa praca świata nie naprawi, postanawia szukać nowych metod. Wie, że stosowanymi dotychczas na Sycyli środkami

niczego zmienić nie zdoła. Znał wiele organizacji, działających metodami politycznymi. Widział ludzi, którzy ginęli w walce od kul włoskich karabinierów i widział nędzę i głód, które niezmiennie pleniły się nadal. Pomocą stały się dlań dzieła i przykład Gandhiego. Postanowił spróbować w warunkach europejskich jego metody nie używania przemocy.

Swą pracę w Trapetto rozpoczął Dolci od zbierania informacji o życiu i sposobie myślenia bezrobotnych, wśród których miał pracować. Robił to przy pomocy ustnych wywiadów, których treść notował, by wyciągnąć z nich wnioski do dalszej pracy. Warto dodać, że stąd zrodziła się jego książka *Wywiad z Palermo,* która otrzymała nagrodę Viareggio za rok 1957. Z owych wstępnych ankiet, przeprowadzonych w Trapetto wynikało, że ludność tamtejsza nie wierzy w możliwość jakiejkolwiek zmiany, a ta niewiara powoduje całkowitą obojętność i przygnębienie.

Zapoznawszy się z sytuacją Danilo Dolci rozpoczął tworzenie swego pierwszego „Bożego miasteczka". Był to ośrodek, w którym ludzie żyli we wspólnocie. Niestety zaraz na wstępie napotkał na trudności ze strony władz, które nie chciały dopuścić do tego, by bezrobotni organizowali się nawet w małe grupy. Wtedy — za wzorem Gandhiego — rozesłał listy ostrzegawcze do demokratycznych posłów i rozpoczął głodówkę. Po 8 dniach odniósł częściowy sukces.

Powodzenie pierwszej próby zachęciło go do rozwinięcia dalszej działalności. Przeniósł się do Partinico, 25-tysięcznego miasta w okolicach Palermo. Zamieszkał w najbiedniejszej dzielnicy miasta zwanej Spina Sancta — Święte ciernie — i tam rozpoczął tworzenie drugiego „Bożego miasteczka". Znów zaczął od ankiet, w których zbierał informacje o bezrobotnych, ich życiu i pragnieniach. Publikował wyniki tych ankiet, wzywając pomocy dla Sycylii. Wyjeżdżał do północnych Włoch, by zachęcić swych przyjaciół do pójścia w jego ślady, lub by uzyskać ich poparcie. Tylko pieniędzy nie żądał nigdy. Zdawał sobie sprawę, że nie o filantropię tu chodzi. Temu przekonaniu pozostał wierny.

W 1953 roku Danilo Dolci ożenił się z Vincenziną, młodą wdową po sycylijskim robotniku z Trapetto, zamordowanym przez bandytów. Zamieszkali w trzech maleńkich izbach. Młoda żona wniosła mu w posagu pięcioro dzieci. W ciągu ostatnich lat mieli jeszcze dwoje dzieci. Oboje postanowili stworzyć dom otwarty dla najbiedniejszych dzieci wieśniaków i bezrobotnych. Dotychczas adoptowali siedmioro sierot, by uchronić je od grożącej nędzy i wykolejenia.

Wkrótce Dolciemu udało się stworzyć zespół młodych sycylijczyków, który rozpoczął pracę nad podnoszeniem stanu cywilizacyjnego wyspy. Rozpoczęto od organizowania tak zwanych świąt pracy. W dni takie bezrobotni, a także — o ile odbywał się jakiś strajk — również i strajkujący robotnicy bezinteresownie wykonywali roboty publiczne,

zaniedbywane przez ludzi zobowiązanych do tego. Działalność Dolciego napotkała na opór ze strony władz włoskich. 2 lutego 1956 r., gdy setki bezrobotnych podjęły naprawę opuszczonej drogi, Danilo Dolci został aresztowany za naruszenie porządku publicznego.

Jednakże represje przyniosły skutek przeciwny zamierzonemu. Sprawa Danilo Dolci stała się głośna nie tylko w jego ojczyźnie, ale również poza granicami Włoch. Proces zakończył się uniewinnieniem. Odtąd co roku na Sycylię przybywają studenci zagraniczni, a także dziennikarze, by spędzić kilka tygodni z Dolcim. Uczą się od niego pacyfistycznych metod działalności społecznej, a jednocześnie — w miarę swych sił i umiejętności — pomagają mu w pracy. Wraz z nim pracują przy budowie dróg, opiekują się opuszczonymi dziećmi.

Poważną trudność sprawia Dolciemu skorupa przesądów i nawyków społecznych. Ciężko jest pracować wśród ludzi, którzy nie rozumieją, że spokojem i wytrwałością można lepiej niż walką zmusić przeciwnika do kapitulacji. Trudno jest przekonać człowieka, który nie ma czego do ust włożyć, że istnieje rzecz taka jak wspólne dobro. Trudno jest zmieniać społeczeństwo, w którym załatwianie porachunków kulą czy nożem jest uświęconym tradycją zwyczajem. Na fanatyzm i ciemnotę Danilo Dolci odpowiada argumentem irracjonalnym: postem i głodówką. Siła, której daje w ten sposób dowody, zyskuje mu autorytet.

W głębi serca Danilo Dolci pozostał artystą, którym był za młodu, gdy oprócz architektury zajmował się poezją i grafiką. Zapewne dlatego wychowuje dzieci w stałym kontakcie ze sztuką. Codziennie w chwilach rozrywki pokazuje im reprodukcje najświetniejszych dzieł sztuki czy przegrywa im płyty z utworami czołowych kompozytorów. Rozumie, jak ważnym elementem wychowania jest rozbudzenie w człowieku jakiegoś bezinteresownego zamiłowania. Najwyżej stawia zainteresowania artystyczne. Ciekawe jest, że dzieci, które przedtem żyły w warunkach nieopisanej nędzy, bardzo żywo reagują na doznania artystyczne.

Ostatnio Danilo Dolci postanowił utworzyć na Sycylii nowy zespół młodych działaczy społecznych. W tym celu udał się w lutym 1958 do szeregu krajów Europy. Chce znaleźć poparcie dla swojej akcji. Jak zwykle nie przyjmuje pieniędzy. Szuka tylko ludzi dobrej woli — przede wszystkim o wykształceniu technicznym — którzy by zdecydowali się pracować z nim na Sycylii.

W swej podróży odwiedził także Francję. Na wstępie udzielił wywiadu przedstawicielce „Le Monde" i oświadczył, że nie zamierza szukać we Francji współpracowników. Motywacja tej decyzji była bardzo charakterystyczna dla Dolciego: Francja ma zbyt wiele własnych problemów społecznych, których rozwiązanie poprzedzić winno udzielanie pomocy innym krajom. Z wywiadu udzielonego przedstawicielowi „L'Express" wynika, że — mimo trudnych warunków, w jakich rozwija się jego dzia-

łalność — Danilo Dolci jest pełen optymizmu. Zapytany o pracę, utrudnianą presją zewnętrzną, odpowiedział: „Ważne jest, aby przełamać bierność, która czyni terror możliwym, a wówczas terroryści stracą grunt pod nogami". Oto dewiza jego działalności. Dolci nie sprecyzował nigdy swych metod postępowania. Droga, którą kroczy, nie została przez niego nigdy ściśle określona, więc łatwo byłoby — pod naciskiem rzeczywistości — zboczyć z niej. Dlatego przyjaciele i najbliżsi współpracownicy Dolciego — a przede wszystkim Aldo Capitivi — spisali prawa „rewolucji otwartej". Trudno jednakże ustalić, czy opracowana przez nich synteza jest całkowicie zgodna z poglądami ich mistrza i czy ta „kodyfikacja" nie jest przedwczesna. Dlatego też trudno w tej chwili „podsumowywać" jego działalność i głosić na jej temat takie lub inne poglądy bez dokładnej znajomości wszystkich trudności i powikłań życia społecznego Sycylii. Dolci nie jest katolikiem i bardzo często popada w konflikty z miejscowym klerem, niemniej nie trzeba podkreślać, że działalność jego musi budzić najwyższe zainteresowanie katolików.

Antoni Łubkowski

ZAGADNIENIA BIBLIJNE WOBEC NAUKI

Stworzenie świata, czołowa w dziejach Starego Testamentu postać Abrahama i osoba Chrystusa — to przedmioty ustawicznego zainteresowania zarówno ludzi wierzących, jak i wszystkich, którzy poważnie szukają prawdy. Dlatego dużą radość sprawiają prace profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, które w odpowiedzi na to zainteresowanie przynoszą rzetelne wiadomości, wykazując równocześnie brak sprzeczności (a częstokroć zupełną zgodność) między tym, co na omawiane w nich tematy mówi Pismo św. i nauka [1].

O przydatności tych prac dla uczących religii — którzy tak często stają wobec pytań w sprawie stosunku danych objawienia do nauki — przekonywać nie trzeba.

Obszerny odczyt ks. St. Stysia T. J.: BIBLIJNE UJĘCIE STWORZENIA ŚWIATA WOBEC NAUKI, Lublin, 1955, T-wo Naukowe KUL, s. 36 — ukazał się w wydaniu trzecim, powiększonym.

Wywody swoje, jasne i bardzo interesujące, ujął ks. Styś w pięć paragrafów: I. Stworzenie z nicości. II. Uporządkowanie wszechświata według Biblii. III. Powstanie świata według nauki. IV. Jedna z prób pogodzenia sprzeczności. V. Rozwiązanie problemu. W zakończeniu zawarte jest streszczenie zasadniczych myśli wykładu.

---

1 Omówione poniżej rozprawy ks. Stysia i ks. Gryglewicza mają charakter popularno-naukowy; studium ks. Łacha jest ściśle naukowe. Wszystkie prace, z wyjątkiem odczytu ks. Gryglewicza o historyczności Chrystusa Pana, są jeszcze na składzie w wydawnictwie: T-wo Naukowe KUL, Lublin, Aleje Racławickie 14.

Przytoczone przez autora argumenty w pełni uzasadniają jego tezę, że „nie istnieje żadna sprzeczność między tzw. kosmogonią biblijną a naukami przyrodniczo-astronomicznymi; ponieważ opowiadanie biblijne ma całkiem co innego na celu niż pouczać o konkretnym sposobie uformowania wszechświata i zapełnienia go, co właśnie należy do dziedziny tych nauk" (s. 31). Celem kosmogonii biblijnej jest wyłożenie prawdy o samym tylko fakcie stworzenia i zależności od Boga dalszego rozwoju świata oraz wpojenie w ludzi obowiązku święcenia siódmego dnia tygodnia.

*

RELACJA O ABRAHAMIE W GEN. XI, 26 — XXV, 18 W ŚWIETLE HISTORYCZNEJ KRYTYKI — to tytuł artykułu ks. St. Łacha, zamieszczonego w „Rocznikach Teologiczno-Kanonicznych KUL", t. 3, z. 1, Lublin 1956, s. 39—71.

Na wstępie artykułu podkreślona jest ważność roli, jaką Abraham odegrał w dziejach religii objawionej: był on na mocy wybrańswa Bożego nie tylko depozytariuszem Bożych objawień, ale nadto ich przekazicielem późniejszemu narodowi wybranemu. Zadaniem studium ks. Łacha jest rozpatrzenie historycznej wartości tych źródeł biblijnych, które kreślą życie i działalność Abrahama. W rezultacie rozważań nacechowanych gruntowną erudycją biblijną autor dochodzi do wniosku, że dotychczasowe odkrycia naukowe stwierdziły w wielu punktach historyczną wierność relacji Pisma św. o Abrahamie, co uprawnia do przypuszczenia, że relacja ta jest zgodna z historyczną rzeczywistością również „w tych punktach, których dotąd nie zdołali uczeni skonfrontować z odkryciami pozabiblijnymi" (s. 71).

*

Na temat historyczności postaci Chrystusa Pana pisze ks. F. Gryglewicz w szkicu pt. JEZUS POSTAĆ HISTORYCZNA, Lublin 1956, T-wo Naukowe KUL, s. 39.

Szkic ten posiada dwie, rzadko w parze idące cechy: popularność i rzeczowość. Po zwięzłym omówieniu hipotez sprzecznych z nauką katolicką autor przedstawia źródła naszej obecnej wiedzy o osobie Jezusa Chrystusa i pierwszych chrześcijanach, wykorzystując przy tym rezultaty nowych odkryć archeologicznych (z r. 1952). Cennym uzupełnieniem wywodów autora są zamieszczone w przypisach wskazówki bibliograficzne, odsyłające czytelnika do odpowiednich obszerniejszych prac z literatury chrystologicznej.

Druga praca ks. F. Gryglewicza, nawiązująca tematycznie do poprzedniej, nosi tytuł: CHRONOLOGIA ŻYCIA CHRYSTUSA PANA, Lublin 1957, T-wo Naukowe KUL, s. 24.

Ponowne zbadanie chronologii życia Jezusa z Nazaretu ma na celu określenie dat trzech zdarzeń: narodzenia Chrystusa Pana, początku i trwania Jego publicznej działalności oraz ukrzyżowania. Osiągnięcie tego celu wymaga, zdaniem autora, wykorzystania nie tylko notatek chronologicznych, które zawarte są w Ewangeliach, lecz również wszystkich dostępnych nam źródeł historii sta-

rożytnej. Badania ks. Gryglewicza, przedstawione w syntetycznej i przejrzystej formie, wiodą do wyników różnych w pewnej mierze od obliczenia, jakie zrobił dla początków naszej ery Dionisius Exiguus (556 r. po Chr.). Autor podkreśla także, iż przy datach narodzenia Chrystusa i Jego krzyżowej śmierci występują wahania w ramach około czterech lat. Jednakże mimo te wahania przy dzisiejszym stanie wiedzy nie ulega wątpliwości, że zarówno narodzenie jak i ukrzyżowanie Chrystusa Pana oraz wszystko, co miało miejsce pomiędzy tymi wypadkami, a co jest opowiedziane w Ewangeliach, działo się pomiędzy 7 rokiem przed datą przyjmowaną tradycyjnie za datę narodzin Jezusa a 33 rokiem po tej dacie (s. 24).

Ks. B. B.

PRZEGLĄD KRAJOWEJ PRASY KATOLICKIEJ

Drugi tegoroczny numer „Ateneum Kapłańskiego" (nr 2/295, marzec—kwiecień 1958) poświęcony jest w całości problematyce małżeństwa (nr 1, poświęcony przygotowaniu do małżeństwa, omawialiśmy w poprzednim nrze „Znaku"). Od ogólnej problematyki numeru odbiega tylko art. o. T. Karczewskiego CSSR „Pastor Angelicus" zawierający życiorys i omówienie działalności Papieża Piusa XII w związku z 19 rocznicą Jego elekcji i koronacji.

Materiały numeru dotyczące małżeństwa dadzą się podzielić na dwie grupy: pierwsza obejmuje artykuły poświęcone niezmiennym zasadom i stałej problematyce małżeństwa; druga dotyczy aktualnych aspektów tej problematyki i poszukiwań jej społecznego rozwiązania. W pierwszej grupie wyróżnia się ciekawy art. ks. Rzeszewskiego „Obrzędy ślubne i ich sens życiowy", ujmujący w sposób pełen realizmu i głębokiego zrozumienia zasadnicze trudności wspólnego życia. „Młodzi ludzie — pisze autor — pobierający się pod wrażeniem romantycznego uniesienia, sądzą, że z pierwszą sprzeczką wszystko skończone; tymczasem właśnie teraz dopiero się zaczyna. Jedności nie osiąga się bez trudu, a może i bez łez. W miłości ludzkiej jest wczesny etap wiosenny, gdy wszystko jest pogodne, szczęśliwe, harmonijne, bezchmurne. Potem jest drugie stadium, swary, nieporozumienia, a może i głębokie krzywdy. Ale niedorzecznością byłoby sądzić, że to koniec wszystkiego. Zło wyrządza ból, ale może się stać materiałem dobra i głębszego zrozumienia niż w pierwszym etapie miłości. Z tych nieporozumień, traktowanych odpowiednio, może wyjść głęboka mądrość, współczucie i miłość, cierpliwość, będąca owocem miłości i pokój, owoc cierpliwości. Mądrość, współczucie, cierpliwość i pokój wpływają na całe życie, osobowość staje się przez nie bogatsza i pełniejsza. Z kolei przyj-

dzie jedność serca i woli. Nie jest to kwestia usunięcia wszystkich różnic, smaku, skłonności i potrzeb zewnętrznych. Jest to sprawa jedności głębokiej, osobistej jedności woli. Bez tego nie może być wspólnego dzielenia życia, budowania wspólnego domu. Wszystko to stanowi tworzenie miłości przez wspólne życie, a proces ten jest długi".

W grupie drugiej najbardziej ogólny charakter posiada art. W. Majdańskiego „Drogi przezwyciężenia kryzysu życia małżeńskiego". Punkt wyjścia autora jest tu ten sam, co w jego poprzednim artykule zamieszczonym w pierwszym tegorocznym numerze „Ateneum": zasadnicze trudności dzisiejszych młodych małżeństw, zasadnicze ogniska zapalne kryzysu to sprawy szczęśliwego współżycia, godziwej regulacji potomstwa i skutecznego wychowania dzieci. Przyczyną generalną tego stanu rzeczy jest fakt, że „młode pary małżeńskie są za słabe moralnie w stosunku do potrzeb i trudności dzisiejszego małżeństwa". Źródłem tej słabości moralnej są podstawowe braki we współczesnej kulturze europejskiej. Pomyślne rozwiązanie trudności możliwe jest tylko poprzez doskonalenie kultury współżycia, nie dającego się odłączyć od doskonalenia moralnego. Jednakże szereg zjawisk we współczesnej kulturze skutecznie przeciwdziała temu, wskazując rozwiązania łatwiejsze. Są to zjawiska takie, jak legalizacja i rozpowszechnienie rozwodów, osłabienie kontroli opinii publicznej, atmosfera współczesnej książki, prasy, filmu. Tu autor konkluduje: „Nie chodzi o likwidację kultury, ale chodzi o likwidację nieszczęśliwych małżeństw"... Aby tedy ułatwić naszym młodym małżeństwom szczęście, a więc aby uzdolnić je do przetrwania, do wierności, do harmonijnego współżycia, by uzdolnić je do odróżniania kultury chorej od zdrowej, należałoby umożliwić im być ludźmi kultury, nowoczesności i postępu, ale — zdrowej kultury, zdrowej nowoczesności i prawdziwego postępu. Umiejętność wyodrębnienia zdrowej kultury to jedna ze sprawności nowoczesnego małżeństwa szczęśliwego; a prasa, film, radio, filozofia, socjologia, książka i cała sztuka — o tyle ułatwiają młodym kulturę współżycia, o ile ułatwiają im owo wyodrębnienie i życie zdrową kulturą. Nade wszystko jednak jest tu konieczna pomoc wychowawcza Kościoła".

Społeczność chrześcijańska pierwszych wieków była dostatecznie zwarta i silna moralnie, aby jako całość zdecydowanie przeciwstawić się ogólnemu zepsuciu otoczenia. Dzisiaj sytuacja jest niestety zupełnie inna: „Obecnie, w Kościele jako całości, w narodzie katolickim jako całości, w parafii jako całości — nie ma już członek Kościoła odpowiednich warunków moralnych do postępowania po chrześcijańsku, a szczególniej nie ma ich młody mąż, młoda żona, od kiedy się pobiorą... Trzeba tworzyć środowiska dla dobrej młodzieży, dla dobrych małżeństw, dla porządnych ludzi — w parafii, diecezji, Polsce, świecie".

Obok tworzenia takich, przenikniętych wspólnym duchem środo-

wisk, drugą formą działalności Kościoła jest klasyczna indywidualna praca wychowawcza prowadzona poprzez kierownictwo duchowne i konfesjonał, ale w tym wypadku przez księży odpowiednio wyspecjalizowanych. Jednym z zasadniczych źródeł upadku rodziny jest, zdaniem autora, rozpowszechnienie praktyk neomaltuzjańskich, których wpływ wykracza daleko poza zagadnienie fizjologiczne. Duch powściągliwości rodzi natomiast ogromny kapitał moralny i staje się prawdziwą szkołą kultury współżycia. Niewątpliwy jest również jego związek z tzw. pedagogiką przedurodzeniową.

Jakkolwiek Majdańskiemu należy się uznanie za interesujące i wielopłaszczyznowe potraktowanie problemu, trzeba zauważyć, że bardziej szczegółowa analiza źródeł kryzysu młodych małżeństw, niewątpliwie wiążąca się ze zjawiskiem ogólnego kryzysu życia społecznego, czeka jeszcze na swoje opracowanie.

W numerze znajdujemy poza tym materiały poświęcone lekarskiemu poradnictwu małżeńskiemu i w ogóle roli lekarza w problematyce życia małżeńskiego w jego katolickim ujęciu (m. in. art. A. Jackowskiego „Naturalna regulacja poczęć"). Ciekawe jest opracowanie doświadczeń z działalności wojewódzkiego Domu Matki i Dziecka w Słupsku, pióra ks. J. Zieji i A. Urbanowiczowej.

Nr 3 „Więzi" (kwiecień 1958 r.) poświęcony jest w przeważającej części problematyce społecznej i społeczno-wychowawczej. Po otwierającym numer „Ojcze nasz — pracujących społecznie" ks. Jana Zieji znajdujemy art. Danuty Zandt „Człowiek, który jest niczym", będący *sui generis* wstępem do problematyki numeru. Niewątpliwym „gwoździem" numeru są natomiast zamieszczone pt. „Współdziałanie czy dezintegracja" fragmenty dyskusji zorganizowanej przez redakcję z działaczami oświatowymi dzielnicy Mokotów w Warszawie. Dyskusja odpowiedziać miała na trzy pytania: „Czy różnorodne instytucje społeczno-wychowawcze mogą i chcą współdziałać ze sobą? — Czy tam, gdzie spotykają się one bezpośrednio z młodzieżą, pracują w oparciu o dobre rozpoznanie faktycznej sytuacji? — Jaka postawa cechuje działaczy oświatowych; czego można po ich postawie oczekiwać w zakresie wzajemnej koordynacji wysiłków?" Wzięli w niej udział m. in. przedstawiciele Komisji Oświaty Prezydium DRN, Oddziału Oświaty DRN, Frontu Jedności Narodu, dyrektorzy szkół, członkowie komitetów rodzicielskich, jak również pracujący wychowawczo księża. Zawiera ona szereg ciekawych materiałów z praktyki pedagogicznej i problematyki współczesnej młodzieży oraz szereg wypowiedzi na temat możliwości i konieczności jednoczenia wysiłków różnych instytucji wychowawczych niezależnie od zajmowanych przez nie stanowisk światopoglądowych. „Wszyscy stwierdzali — czytamy w podsumowaniu dyskusji — że istnieje wielka potrzeba współdziałania instytucji społeczno-wychowawczych, pracujących na danym terenie; — wszyscy też oświadczali wyraźnie, iż pragną takiego współdziałania i są prze-

świadczeni, iż mimo różnic może się ono pomyślnie ukształtować. Ta zgodność w zasadniczej sprawie przedstawionej do dyskusji wydaje się nam jej najważniejszym rysem charakterystycznym. Z jednej strony dyskusja ta wykazała, jak poważne szkody wynikają z dezintegracji społecznej, nie mówiąc już o takich formach walki ideowej, które prowadzą do wzajemnego niwelowania oddziaływania wychowawczego. Z drugiej strony — i to wydaje się najważniejsze — dyskusja ta ujawniła zarazem, że w środowiskach działaczy społeczno-wychowawczych istnieją podstawowe elementy więzi społecznej, w oparciu o którą może tworzyć się współdziałanie w wychowaniu, niezbędne dla całego procesu społecznej integracji"... „Zamieszczona dyskusja nasuwa nam w tym zakresie wniosek konkretny: proponujemy organizowanie periodycznych problemowych spotkań przedstawicieli wszystkich instytucji społeczno-wychowawczych określonego terenu".

Bardzo cenną pozycją są fragmenty tłumaczenia książki Simone Weil „Zakorzenienie" *(L'Enracinement)* ze wstępem biograficznym pióra Andrzeja Wielowieyskiego, który jest również autorem tłumaczenia. Poza tym numer zawiera ciekawy artykuł Ludwika Dembińskiego „Perspektywy niepodległości ludów Afryki", a w części poświęconej literaturze wiersze Grochowiaka oraz artykuły: Szpotańskiego „Nad Conradem i Huxleyem" i Pędzińskiego „Czy knock-out jest dozwolonym chwytem literackim?" (o współczesnej literaturze amerykańskiej). W dziale „Fakty i komentarze" ze społeczną problematyką pierwszej części numeru wiążą się szczególnie dwie pozycje: J. Zabłocki rozważa aktualne wartości wychowawcze wzoru młodzieży okupacyjnych Szarych Szeregów („Nad jednodniówką o Rudym"); W. Auleytner pisze o założeniach i krótkich, ale interesujących doświadczeniach Spółdzielczej Poradni Życia Rodzinnego „Ognisko" w Warszawie. Jest to pierwsza tego rodzaju placówka w Polsce i to startująca odrazu z bardzo szerokim wachlarzem działalności. Oprócz poradni lekarskiej prowadzi działy: porad psychologicznych w trudnościach życiowych dla dorosłych, porad psychologiczno - pedagogicznych dla dzieci ze szczególnym uwzględnieniem dzieci trudnych, porad w zakresie kultury życia codziennego oraz dział usług (pielęgniarki i opiekunki dla dzieci i osób chorych). Artykuł ten wiąże się ściśle z problematyką omawianego wyżej numeru „Ateneum".

J. A. E.

Résumé

Tant que durait la dernière guerre mondiale les Anglo-Saxons et les Soviets avançaient côte à côte vers la victoire. Après celle-ci ce motif de solidarité cessa d'exister. Les interêts contradictoires-jusqu'alors tenus à l'écart prirent le dessus. Les négotiations entre les vainqueurs préludèrent à la guerre froide. L'auteur veut nous présenter les circonstances qui favorisèrent sa naissance et son développement. Une lutte acharnée s'engagea entre l'URSS d'un côté et les puissances anglo-saxonnes, la France et l'Allemagne Occidentale de l'autre; il s'agissait des sphères d'influence sur presque tous les territoires en dehors des états engagés dans le conflit. Les deux adversaires principaux s'accusaient mutuellement de propager leurs régimes, d'armer des sympathisants, de violer les traités et de faire de la propagande hostile. Ensuite une série de conflits locaux éclata entre les adhérents des deux grands adversaires. L'Occident obtint au début quelques menus profits, l'Orient avec le temps en eut de plus grands. L'URSS retira ses forces de l'Iran. Elle perdit le blocus de Berlin, et évacua l'Autriche. Le sort de la Yugoslavie reste incertain. L'Orient gagne une position préponderante en Chine. La guerre en Corée finit par la transition de l'Indochine du nord dans l'orbite orientale. L'Indonésie entra aussi dans cette orbite. Dernièrement nous voyons l'Orient renforcer sa position dans le bassin de la Méditerranée au prix de la France, vaincue dans l'Indochine en 1954. L'URSS domine dans la propagande. Les succès étonnants de ce pays se manifestent dans la résistence du régime vis à vis de l'opposition à l'intérieur du pays, dans le fait d'avoir surmonté la crise provoquée par la mort de Staline ainsi que ses suites: les révoltes de Berlin et de Budapest, d'avoir évité la dictature militaire, dans un développement brillant des finances de l'état, de l'industrie de guerre en sens le plus large du mot et de certaines autres branches de l'industrie, de l'exploitation des matières premières et dans l'exportation des capitaux, malgré un certain sous-développement de la

production agricole. L'Occident est à présent parvenu à la conviction, que contrairement à ses prévisions, qu il poursuivait avec une foi aveugle, les progrès inattendus de l'URSS ont permis à celle-ci d'établir un équilibre de forces entre Moscou et Washington. Cet état de choses ouvre de nouvelles perspectives sur une limitation convenue d'armement.

Treize ans se sont déjà écoulés depuis la fin des hostilités en Europe, mais aucun traité n'est encore conclu. Cependent le nouveau partage de l'Europe est devenu une réalité. Personne en Pologne ne veut voir contesté la nouvelle frontière polonaise à l'ouest sur l'Oder et la Neisse lusace. Mais depuis le discours de W. Churchill à Fulton et de M. Burns à Stuttgart les grandes puissances occidentales manifestent assez clairement leur attitude négative envers notre frontière occidentale. C'est pourquoi il faut accueillir avec un grand intérêt le livre de Mme Elisabeth Whiskemann sur les Voisins orientaux de l'Allemagne On a demandé a Mme Whiskemann de peser les arguments dans la controverse qui oppose la Pologne et la Tchecoslovaquie à l'Allemagne. L'auteur a fait un grand effort pour accomplir cette tâche. Mais puisque Mme Whiskemann n'a pas reçu la permission d'entrer en Pologne on trouve dans son livre beaucoup d'erreurs historiques, géographiques et ethnographiques, qui auraient pu être evitées, si l'auteur avait consulté les sources d'information accessibles en Pologne et celles qui furent publiées par des émigrés polonais. Les passages sur le redressement économique de l'Allemagne occidentale sont très intéressants, l'auteur exprime l'opinion que du point de vue de la sécurité, le bilan négatif de l'agriculture en Allemagne n'est pas défavorable à l'Europe. L'auteur émet aussi l'opinion qu'on pourrait formuler ainsi la politique allemande envers les voisins à l'Est: il faut d'abord que l'Allemagne se servant du chancelier Adenauer comme bouclier, reprenne ses forces; pour le moment on peut discuter des changements insignifiants de frontière, en peut admettre la perte de la Prusse orientale; plus tard avec la reprise des forces, la question de l'enracinement des réfugiés ne jouera aucun rôle; l'armée alemande permettra de profiter d'une nouvelle situation politique pour obtenir au nom de l'Allemagne ou de l'Europe des frontières qui ressembleront à celles de 1914.

Le système économique américain, appelé volontiers capitaliste par les habitants des Etats-Unis, ne ré-

Résumé

Tant que durait la dernière guerre mondiale les Anglo-Saxons et les Soviets avançaient côte à côte vers la victoire. Après celle-ci ce motif de solidarité cessa d'exister. Les interêts contradictoires-jusqu'alors tenus à l'écart prirent le dessus. Les négotiations entre les vainqueurs préludèrent à la guerre froide. L'auteur veut nous présenter les circonstances qui favorisèrent sa naissance et son développement. Une lutte acharnée s'engagea entre l'URSS d'un côté et les puissances anglo-saxonnes, la France et l'Allemagne Occidentale de l'autre; il s'agissait des sphères d'influence sur presque tous les territoires en dehors des états engagés dans le conflit. Les deux adversaires principaux s'accusaient mutuellement de propager leurs régimes, d'armer des sympathisants, de violer les traités et de faire de la propagande hostile. Ensuite une série de conflits locaux éclata entre les adhérents des deux grands adversaires. L'Occident obtint au début quelques menus profits, l'Orient avec le temps en eut de plus grands. L'URSS retira ses forces de l'Iran. Elle perdit le blocus de Berlin, et évacua l'Autriche. Le sort de la Yugoslavie reste incertain. L'Orient gagne une position préponderante en Chine. La guerre en Corée finit par la transition de l'Indochine du nord dans l'orbite orientale. L'Indonésie entra aussi dans cette orbite. Dernièrement nous voyons l'Orient renforcer sa position dans le bassin de la Méditerranée au prix de la France, vaincue dans l'Indochine en 1954. L'URSS domine dans la propagande. Les succès étonnants de ce pays se manifestent dans la résistence du régime vis à vis de l'opposition à l'intérieur du pays, dans le fait d'avoir surmonté la crise provoquée par la mort de Staline ainsi que ses suites: les révoltes de Berlin et de Budapest, d'avoir évité la dictature militaire, dans un développement brillant des finances de l'état, de l'industrie de guerre en sens le plus large du mot et de certaines autres branches de l'industrie, de l'exploitation des matières premières et dans l'exportation des capitaux, malgré un certain sous-développement de la

production agricole. L'Occident est à présent parvenu à la conviction, que contrairement à ses prévisions, qu il poursuivait avec une foi aveugle, les progrès inattendus de l'URSS ont permis à celle-ci d'établir un équilibre de forces entre Moscou et Washington. Cet état de choses ouvre de nouvelles perspectives sur une limitation convenue d'armement.

Treize ans se sont déjà écoulés depuis la fin des hostilités en Europe, mais aucun traité n'est encore conclu. Cependent le nouveau partage de l'Europe est devenu une réalité. Personne en Pologne ne veut voir contesté la nouvelle frontière polonaise à l'ouest sur l'Oder et la Neisse lusace. Mais depuis le discours de W. Churchill à Fulton et de M. Burns à Stuttgart les grandes puissances occidentales manifestent assez clairement leur attitude négative envers notre frontière occidentale. C'est pourquoi il faut accueillir avec un grand intérêt le livre de Mme Elisabeth Whiskemann sur les Voisins orientaux de l'Allemagne On a demandé a Mme Whiskemann de peser les arguments dans la controverse qui oppose la Pologne et la Tchecoslovaquie à l'Allemagne. L'auteur a fait un grand effort pour accomplir cette tâche. Mais puisque Mme Whiskemann n'a pas reçu la permission d'entrer en Pologne on trouve dans son livre beaucoup d'erreurs historiques, géographiques et ethnographiques, qui auraient pu être evitées, si l'auteur avait consulté les sources d'information accessibles en Pologne et celles qui furent publiées par des émigrés polonais. Les passages sur le redressement économique de l'Allemagne occidentale sont très intéressants, l'auteur exprime l'opinion que du point de vue de la sécurité, le bilan négatif de l'agriculture en Allemagne n'est pas défavorable à l'Europe. L'auteur émet aussi l'opinion qu'on pourrait formuler ainsi la politique allemande envers les voisins à l'Est: il faut d'abord que l'Allemagne se servant du chancelier Adenauer comme bouclier, reprenne ses forces; pour le moment on peut discuter des changements insignifiants de frontière, en peut admettre la perte de la Prusse orientale; plus tard avec la reprise des forces, la question de l'enracinement des réfugiés ne jouera aucun rôle; l'armée alemande permettra de profiter d'une nouvelle situation politique pour obtenir au nom de l'Allemagne ou de l'Europe des frontières qui ressembleront à celles de 1914.

Le système économique américain, appelé volontiers capitaliste par les habitants des Etats-Unis, ne ré-

pond pourtant pas aux définitions classiques du capitalisme, formulées par Smith et Marks. Une libre concurrence illimitée n'y existe pas et les monopoles ne s'y forment pas au sens strict du mot. On n'observe pas non plus l'appauvrissement des ouvriers. Contre toute attente, la grande crise de 1930 ne se reproduisit pas après la dernière guerre et ce que l'on appelle les récessions, ne furent jusqu'à présent que des arrêts momentanés du développement économique.

La majeure partie de l'économie américaine est contrôlée par les grands consortiums, qui pourtant ne deviennent pas des monopoles, grâce à une législation qui les contrôle. Ces consortiums ont aussi leur contrepoids dans des syndicats puissants et dans des entreprises commerciales, qui servent d'intermédiaires dans la vente de marchandises. L'état, qui a une influence considérable sur l'ensemble de la vie économique, veille à la préservation de l'équilibre des forces et prend soin d'assurer le développement économique.

Le régime politique des Etats-Unis répond, dans un certain sens, au régime économique, pusqu'il est basé sur le „principe de l'équilibre", réalisé par la division du pouvoir. C'est le résultat de l'individualisme des Américains et de leur méfiance envers chaque autorité qui, selon leur opinion, constitue toujours une menace possible à leur liberté.

Dans le premier article de cette série („Znak" No 46) l'auteur a présenté quelques traits charactéristiques de la minorité catholique en USA et les problèmes nouveaux qui se posent à cette minorité, pour la plupart immigrante, à la veille d'une adaptation inévitable à la société américaine en pleine évolution.

C'est cette société même, une société laïque, hédoniste et moralement indifférente, qui est à son tour analysée dans l'article présent. Par suite de l'urbanisation et de l'industrialisation rapides des dix dernières années, un mode de vie nouveau et un modèle spécifique des relations humaines sont en train de s'établir en USA. Ces changements économiques et sociaux, bien qu'ils présentent des avantages indubitables quant au comfort matériel et aux chances d'une carrière pour tous ceux qui la veulent faire, ne sont pas sans danger pour le système des valeurs catholique.

L'impétueuse expansion industrielle des USA, due aux progrès rapide des sciences au cours des deux dernières décades, aboutit à une situation, où une

quantité inouïe et toujours grandissante de marchandises et de services de toute sorte doit être absorbée par le marché intérieur, à moins qu'une crise économique n'arrête les usines énormes, dont les frais d'automation ne permettent point une production limitée. Cet état des choses absurde, où le progrès technique semble avoir échappé aux pouvoirs et à la volonté de l'homme, a établi, par conséquence, un système des valeurs subordonné aux exigences du développement économique, qui devient une valeur soi-disant „absolue".

Les relations humaines de plus en plus nombreuses dans les conditions urbaines, ne tendent pas à s'approfondir, mais au contraire, dégénèrent souvent en une concurrence permanente. Ce n'est d'ailleurs point étonnant dans un monde, où la valeur et le succès personnel s'expriment avant tout par la possession des objets de luxe, dont la quantité et les qualités sans cesse variables sont dictées par les décisions arbitraires des agents de publicité. La pression psychologique qu'exèrcent les spécialistes de la „persuasion commerciale", s'emparant des découvertes scientifiques pour mieux manier les gens à leur insu, pénètre jusqu'au sein de la famille en en ruinant souvent l'harmonie (le surmenage du mari qui veut satisfaire la vanité de sa femme etc.).

Une société „des classes ouvertes", où le succès social et matériel n'est pas limité d'avance par la généalogie et ne dépend que des talents personnels a été, depuis des siècles, un idéal démocratique des humanistes de la vieille Europe, et, sans aucun doute, une telle société présente des avantages énormes. Néanmoins, il est évident que la liberté de s'enrichir peut rendre les hommes esclaves du succès, dont ils ne choisissent même pas le charactère: ce sont souvent les agents de commerce qui en décident aux USA.

La crise de la culture humaniste en Amérique, qui s'exprime dans tous les domaines de la vie par une recherche de la sécurité matérielle, par un conformisme irréfléchi, par une dépersonnalisation progressive des relations humaines — est avant tout une crise du système des valeurs.

Bien qu'on a jamais admis ouvertement en Amérique, que la moralité chrétienne n'est plus „valable", le système des valeurs qu'elle représente n'est plus respecté ni dans la vie publique ni dans la vie privée.

L'acceptation totale des exigences du progrès technique est d'autant plus dangereuse, qu'elle n'exige point un abandon conscient du système des valeurs humanistes. L'incompatibilité des critères personnalistes et des critères purement et premièrement éco-

nomiques n'est point évidente dans les habitudes et dans les réactions-types de tous les jours. Il n'est pas toujours facile de discerner à quel moment ou par quelle action précise on s'est engagé définitivement du côté de la toute-puissante économie contre la personne humaine.

Le choix conscient du système des valeurs qui conditionne les décisions et les attitudes quotidiennes et l'élaboration des moyens par lesquels le système choisi pourra être réalisé dans chaque situation précise de la vie moderne, voilà les problèmes qui se posent à la minorité catholique aux USA et qui, s'ils ne sont pas encore résolus, devront l'être prochainement, si l'ensemble des valeurs et des qualités humaines que nous autres, en Europe, appelons toujours „la culture", doivent survivre au progrès technique.

Zdzisław Łapiński: La critique littéraire aux USA 815

L'article parle sommairement de la diversité et du niveau élevé de la critique littéraire contemporaine aux Etats Unis. Il présente plus à fond un courant qui s'efforce de donner à la critique le caractère d'une discipline scientifique. En s'appuyant sur le livre de R. S. Crane „Les Langages de la Critique et la structure de la Poésie" l'article discute la méthode nommée sémantique.

Les représentants de cette Ecole traîtent la littérature comme une sorte de langage spécifique, exprimant ou communiquant un genre spécifique de pensées, inexprimables au moyen d'autres „mediums". Le mouvement sémantique a joué un rôle fort utile, mais en même temps il a limité le domaine de l'analyse littéraire à certains élements structuraux en omettant les autres. De plus, les représentants de cette école manifestent une tendence dangereuse à attribuer une valeur absolue à certains traits qui distinguent uniquement la poésie moderne d'avant garde. R. S. Crane et le porte-parole du groupe de Chicago, dit „néoaristotélicien". L'auteur de l'article n'analyse pas en détail le point de vue de ce groupe, il note seulement qu'il existe en Pologne des oeuvres d'histoire littéraire, qui réalisent en pratique des théories proches de celles des „néoaristotéliciens". Par contre les idées de Crane sur les „Langages de la critique" sont resumées en détail. Ici le savant américain suit les directions méthodologiques formulées par l'empirisme logique. Un phénomène peut-être connu de manière vérifiable seulement s'il est exprimé dans les limites d'un „langage" cohérent, qui fournit à ce phénomène un système réferentiel. Le pluralisme que propose Crane, n'est identifié ni avec l'eclectisme, ni

avec le relativisme. On admet ici divers systèmes, mais on fournit aussi le moyen de définir leur portée et leur valeur. Enfin Z. Łapiński réfléchit sur les circonstances qui favorisent aux Etats Unis le développement brillant des sciences et parmi elles de l'étude de la littérature. L'Amérique doit l'épanouissement de la création scientifique au fait qu'on y a séparé les croyances et la science. Cela facilite aussi l'entente entre les hommes. Car il est aisé de trouver un langage commun sur le terrain des faits tangibles, tandis qu'il est plus difficile d'admettre l'interpretation philosophique ou la réaction émotive d'autrui. Plus la sphère de la science se libère de l'authorité des idéologues, plus s'élargit la possibilité d'une symbiose harmonieuse entre les individus, les groupes et les communautés.

Pierre Borowy (1858—1932), paysan agriculteur, qu'il faut porter au rang des penseurs, écrivains et mystiques chrétiens, sans instruction (il ne termine qu'une école primaire d'un an), habitant un village perdu dans la région d'Orawa aux pieds de Babia Góra, à 18 ans rompit avec le monde et organisa, avec deux autres jeunes gens, une communauté économique et religieuse. Etrangers par la naissance, ils devinrent f r è r e s. Leur communauté à Rabczyce fut nommée „Maison de Missions", parce que Borowy y organisait, depuis l'automne jusqu'au printemps, des catéchisations, des conférences contre l'alcoolisme et des cours d'agriculture. Dans toute la région, il faisait des discours „missionnaires" contre l'ivrognerie et la débauche qui l'accompagne. Il composait même des pièces de théâtre sur l'action pernicieuse de l'alcool et y jouait toujours le rôle principal. Il avait une bibliothèque de plusieurs centaines de volumes pour son usage personnel et pour pouvoir les prêter aux autres. Il possèdait aussi une boutique avec des livres qu'il emportait dans ses pérégrinations aux pieds des monts Tatry. Il ne manquait aucun pardon ni aucune foire et en profitait pour propager une saine instruction. Les frères possèdaient aussi un atelier de relieur. Leur vie privée était exemplairement chrétienne. Ils étaient tertiaires et tous trois avaient fait les voeux d'obéissance, de chasteté et de pauvreté.

En 1919, Borowy joua un rôle politique important. Après le désagrègement de l'Autriche-Hongrie, il se

rendit à Paris comme délégué à la conférence de la paix, pour demander la réunion du Spisz et de l'Orawa à la Pologne. Sa conversation avec le Président Wilson ne donna qu'un résultat partiellement positif. Le Conseil des Ambassadeurs n'attribua à la Pologne que des bribes des territoires du Spisz et de l'Orawa (28. VII. 1920). Le village de Rabczyce n'échut point à la Pologne. Borowy s'installa alors à Lipnica Wielka et se mit à écrire des oeuvres religieuses, politiques et morales. La plus connue est: „Le jugement du pêcheur sur lui-même", ainsi que ses discours de propagande au sujet du Spisz et de l'Orawa. Il mourut en odeur de sainteté le 18 janvier 1932.

Chronique.

TREŚĆ ZESZYTU

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

IN HOC
SIGNO
VINCES